Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr Indeksu 36762

NUMER 2 (1398) ROK XXVIII 12 STYCZNIA 1985 ROKU CENA 15 ZŁ

■ Być harcerzem?
■ Jesteśmy w ich domu
■ Wierzenia religijne w Chinach
■ Włamanie na ulicy Spacerowej
■ Szczur

Foto: Grzegorz Gałasiński

TOMASZ SAS

Czterdziesty pierwszy

1.

Już przez pół dekady każdy kolejny nadchodzący rok zapowiadamy sobie nawzajem jako trudny, ale trzymając się niewolniczo tradycji życzymy sobie szczęścia co najmniej, jeżeli nie potrafimy być bardziej oryginalni w czasie pierwszego noworocznego kwadransa. Ciekaw jestem, czy kiedyś nadejdą jeszcze — za życia mego pokolenia — łatwe lata... Ciekaw też jestem, jakie może być szczęście w „trudnym roku" — wielka miłość, która pozwoli zapomnieć o drożyźnie, czy też wielka wygrana, która też pozwoli zapomnieć...

W każdym razie jesteśmy po bilansie. W czterdziesty pierwszy rok Polski Ludowej wkraczamy, podsumowawszy to i owo, wzbogaciwszy się o pewien zasób refleksji i zamyśleń nad własną historią. W ubiegłym roku — zdając sobie sprawę z tego, że w pełni (i odpowiedzialnie wobec historii) nie jest to możliwe — dokonaliśmy krytycznego rozbioru naszej wspólnej narodowej i państwowej przeszłości w ustroju socjalistycznym. Okazało się niezbicie, że osiągnęliśmy sporo. Byliśmy zresztą tego świadomi, ci zwłaszcza, którym dopisuje bezlitosna i obiektywna pamięć, jeśli nie jest upośledzona przez sklerozę lub fanatyzm.

Nie ulega jednak wątpliwości, że świadomość ta żyje w nas jakby utajona, w stanie hibernacji, że nie posługujemy się nią na co dzień. Sukces Polski Ludowej łatwiej — w wymiarze syntetycznym i w szczegółach — znaleźć w tablicach roczników statystycznych, albo w faktach ze zbiorowych życiorysów współczesnych pokoleń Polaków, niż w nas samych w każdym z nas z osobna. Nie jest to efekt jakiejś szczególnej konstrukcji psychicznej obywateli PRL. To tylko oddziaływuje na nas ciśnienie rzeczywistości. Ta ostatnia zaś nie sprzyja aktywnemu dyskontowaniu zaprzeszłych, czy nawet zupełnie współczesnych osiągnięć. Najwyżej wyzwala nostalgię lub żal za utraconymi możliwościami... i poczucie winy. Tylko jednostki chorobliwie zdeformowane, żyjące „osobno", tworzą sobie psychiczny komfort, zrzucając cały trud odpowiedzialności na „onych" i czekając na interwencje sił nadprzyrodzonych.

My — pozostali — rozpoczynamy rok czterdziesty pierwszy mniej ze świadomością sukcesów, a więcej strat. Są to nie tylko straty wobec naszych własnych aspiracji — to przede wszystkim gorzkie, bolesne uczucie wydłużania się utraconego dystansu wobec tych, co przed czterdziestu laty stali razem z nami na tych samych, albo obiektywnie gorszych polach startowych; a pogoda w czasie biegu była dla wszystkich taka sama...

Nie jest łatwo zaczynać nowy rok z tą porcją bagażu, zwłaszcza gdy dusze przeciętnego naszego współobywatela w nierównych proporcjach wypełniają egzystencjal-

3

Premiera w Teatrze Wielkim

Dla jakiej publiki!

JERZY KWIECIŃSKI

Kiedy podnosi się kurtyna, na scenie ukazuje się — usytuowana pośrodku — potężna metalowa konstrukcja w kształcie walca, przypominająca obudowę kotła gazowni miejskiej bądź cyrkowej klatki w czasie tresury drapieżników. Wśród świstu i szumu wichrów (wiatr historii?!) ożywają znieruchomiałe dotychczas w swoim zamknięciu postacie tancerzy, odzianych ni to w łachmany, ni to w kombinezony robocze i rozpoczynają przy akompaniamencie muzyki, wypełnionej pogłosami jakby detonacji czy grzmotów, dookolny taniec, złożony z ruchów wyrażających niepokój, chwilami spazmatyczny lęk czy bunt, czołgają się i kotłują po ziemi, to znów wspinają się na kraty obudowy, spychają się i spadają, krążąc ciągle, jakby popędzani ruchem niewidzialnego kieratu.

Sam ten początek może zaciekawić, ale wkrótce zaczyna nużyć monotonia układu całości i pewna jakby niezborność ruchowych poczynań, jakiś niby improwizacyjny bezład, a może niedostateczna perfekcja techniczna, czemu towarzyszy z wielką natarczywością nieustannie, natężoną do maksimum, lawina dźwięków, co pozbawia muzykę całkowicie walorów dynamicznych, nie mówiąc o przekraczaniu dopuszczalnego nasilenia decybeli aż do fizycznie odczuwanego bólu uszu. Wrażliwszy słuchacz czuje się wtłoczony w fotel tą potworną masą dźwiękową, przed którą nie znajduje ani chwili wytchnienia. Co do mnie, to niecierpliwie czekałem na przerwę, coraz mniej interesując się tym co na scenie, a tam zresztą stale to samo, z wyjątkiem może wspinania się tancerzy po obu stronach rozstawnej drabiny, jakiej używają (z niekwestionowanym pożytkiem!) pokojowi malarze. Ta drabina jednak nie spełniała konsekwentnie swojej funkcji.

Druga część, po której wolno było oczekiwać jakiegoś nastrojowego kontrastu, zapowiadała się z początku obiecująco, głównie zresztą dzięki scenografii, która wnosiła nowe propozycje, ciekawie posługiwała się formami geometrycznymi zawieszonych w powietrzu konstrukcji, podświetlonymi wykresami, a umieszczone z boku zjeżdżalnie rodem z wesołego miasteczka czy ogrodu zabaw i wreszcie ustawione po bokach manekiny składały się w sumie na jakąś współczesną symbolikę, obrazującą kondycję człowieka zagubionego wśród znaków technicznej cywilizacji, a jednocześnie nie pozbawione to było elementów ludycznych.

Ale to co miało tę scenerię wypełnić treścią ludzkich przeżyć, a więc taniec i towarzysząca mu muzyka nie wniosły niczego szczególnie odkrywczego, ponieważ ponowne rozpasanie się dźwięków, wydawanych zarówno

9

Tramwajów starych czar

MAREK MAMOS

Czy warto ratować stare tramwaje? W wielu miejscach naszego globu ludzie uznali że tak. Najbardziej znane w świecie muzeum komunikacji miejskiej znajduje się w Crich w Wielkiej Brytanii. Urządzono je na terenie byłego kamieniołomu, wykupionego przez prywatną spółkę miłośników komunikacji. Zbudowano całe miasteczko z początku naszego wieku, ułożono tory, a na nich ustawiono pieczołowicie odrestaurowane tramwaje.

Czego tam nie ma... Są tramwaje konne i elektryczne pietrowe, z odkrytą platformą dla publiczności. Wszystkie oczywiście na chodzie. Jest to niezwykle potężna atrakcja turystyczna, przynosząca pomysłodawcom duże pieniądze. Podobne muzea znajdują się w Czechosłowacji, Austrii, Stanach Zjednoczonych. Nie ma żadnych szczególnych powodów aby coś podobnego nie powstało i u nas. A jest co wspominać.

„Goniec Łódzki" z 23 grudnia 1898 r. donosił: *„Dziś o godzinie 13.00 w obecności gubernatora piotrkowskiego, władz miejscowych, akcjonariuszy nastąpiło uroczyste otwarcie ruchu tramwajowego w naszym mieście. Dwa wagony pierwszej klasy przybrane zielenią wyruszyły ze stacji centralnej przy ulicy Dzielnej (Narutowicza) do Helenowa a stamtąd do Paradyża. Z powrotem zatrzymano się przy Grand Hotelu. Następnie puszczono kilkanaście wagonów, do których przyjmowano już pasażerów za biletami płatnymi. Amatorów znalazło się bardzo dużo, aż wagony były przepełnione".*

Łódzkie tramwaje z tamtych lat uwiecznił Julian Tuwim — w „Kwiatach Polskich".

Na cmentarz żółta
trójka wiedzie,
Do domu szostka
granatowa,
Zieloną czwórką się
dojedzie

5

Odgłosy

Adres redakcji: 90-438 Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.
Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddziału w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc., dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.
Zam. 3841, P-2.

Igor Sikirycki (1920–1985)

Było to wiosną 1980 roku. W Wydawnictwie Łódzkim wyszła książka „Spotkanie z Suwalszczyzną" i Jerzy Gos wpadł na pomysł, aby pojechać do Suwałk i zorganizować tam kiermasz, na którym autorzy WŁ podpisywaliby swoje książki. Pojechało nas kilku: Władysław Orłowski, Edward Kopczyński, Igor Sikirycki i Jerzy Wawrzak. Byłem w tej grupie jedynym dziennikarzem, ale moją obecność usprawiedliwiał tom reportaży — „Żyć w ciekawych czasach". Był to wyjazd bardzo udany. Okazało się, że w Suwałkach dopiero po raz pierwszy zorganizowano kiermasz książki. Mieliśmy sporo spotkań autorskich. Na kiermaszu najbardziej oblężonym był, oczywiście, Igor. Inni też mieli ręce pełne roboty. Ale do niego garnęły się przede wszystkim dzieci. A Igor, jak nikt, potrafił rozmawiać z dziećmi.

Wieczorami spotykaliśmy się w którymś z pokoi i opowiadaliśmy nie tylko o tym, co się nam w ciągu dnia przydarzyło, jakie mieliśmy spotkania, ale i o sobie i swoich życiowych przygodach. Wtedy to właśnie dowiedziałem się, jakie bogate życie miał Igor Sikirycki. Zaproponowałem, że zrobię z nim wywiad. Zgodził się.

Rozmawialiśmy chyba ze dwa wieczory. Oczywiście, po jakimś czasie i już w Łodzi. Wypiliśmy butelkę koniaku i kilka szklanek dobrej herbaty, i tak powstał przeszło 30-stronicowy maszynopis rozmowy z Igorem Sikiryckim o Igorze Sikiryckim. Skrócona wersja tej rozmowy ukazała się w „Odgłosach" na 60 rocznicę urodzin poety.

Igor urodził się w Brześciu nad Bugiem w 1920 roku, ale już w 1926 r. jego ojciec, kolejowy telegrafista, przeniósł się wraz z rodziną do Lublina. I tu młody Igor chodził do szkół, przeżywał pierwszą, młodzieńczą miłość. Od 1942 roku był w partyzantce na Zamojszczyźnie. Od 1944 r. w Wojsku Polskim.

Miał jechać na front, ale spotkał szkolnego kolegę, poetę, Jerzego Pleśniarowicza i poszedł z nim na wieczór autorski. Czytał tam swoje wiersze i jakiś oficer pogratulował mu... głosu. Był to Jerzy Putrament. Zamiast na front poszedł Igor w dziennikarzy. Był sprawozdawcą frontowym, spikerem radiowym, relacjonował przebieg pierwszego posiedzenia KRN, pierwszej promocji oficerów LWP, a także zapowiedział... koniec wojny.

11 maja 1945 roku został skierowany służbowo wraz ze Zbigniewem Lutogniewskim do Łodzi, aby rozpocząć odbudowę Łódzkiej Rozgłośni PR. I tak został już na zawsze w Łodzi. Tu poznał wielu wspaniałych ludzi. Z Kazimierzem Rudzkim prowadził na zmianę w „Casanovie" podwieczorki przy mikrofonie. Ze Stefanią Grodzieńską prowadził „Antenę na bakier". Z Ludwikiem Jerzym Kernem pisywał do wychodzącego wówczas w Łodzi pisma satyrycznego „Rózgi". Aleksander Zelwerowicz wyrzucił go ze studiów aktorskich, bo Igor — studiując jednocześnie polonistykę — nie miał czasu na zajęcia choreograficzne. Poznał Leona Schillera. Przyjaźnił się z Adolfem Dymszą i Janem Brzechwą.

Gdy bliżej poznałem Igora, zafascynował mnie wielością swoich zainteresowań. Rysował, zajmował się archeologią i numizmatyką, fotografował, podróżował, prowadził w Łodzi wraz z Romanem Sykałą teatr satyryczny, był wykładowcą Uniwersytetu Ludowego w Rudziskach, no i wędkował. Jeździł na ryby z Adolfem Dymszą, a Jerzy Putrament śmiał się z Igora, że zawsze bierze z sobą w podróż wędkę, ale później sam poszedł w jego ślady. Zawsze po powrocie z wakacji opowiadaliśmy sobie, co złowiliśmy. Igor był mistrzem. W bagażniku przywoził z urlopu kilka słoików zawekowanych ryb. Nigdy nie potrafiłem mu dorównać. Wielekroć umawialiśmy się, że wreszcie razem pojedziemy na ryby. I nie udało się. Już nie pojedziemy. Ale gdy w tym roku złapię pierwszą rybę, wypuszczę ją do wody. Tak jak uczył mnie tego Igor. I dla uczczenia jego pamięci...

Był tłumaczem, który odkrył dla polskiego czytelnika poezję narodów południa Związku Radzieckiego. Wyjątem z półki pięknie wydany tom „Poezji armeńskiej". Poszukałem wierszy tłumaczonych przez Igora. Oto fragmenty wiersza Georga Emina:

„Zamieć zasypać ziemię wciąż się stara;
A tu żałoba pasmem czarnej wstęgi
Jak nasza boleść legła na sztandarach.

A on spoczywa w trumnie,
w kwiatach tonie,
Wielki, od wszelkich spraw daleki..."

Był w życiu Igora okres mazurski. Wędrował śladami Michała Kajki, poznał żyjących wówczas pisarzy Warmii i Mazur. Napisał wiersz pod tytułem „Hełm". Kończy się ten wiersz tak:

„Nie wiem, skąd żołnierz hełm ten niósł?
Czy z Gruzji, czy z Tobolska?
Lecz wiem, że po to padł,
by tu sławiła wolność mowa polska."

Recytując mi zakończenie tego wiersza powiedział, że jego wiersze, jego książki wyznaczały mu marszruty jego zagranicznych podróży. Gdy był w Gruzji przyszła wieść o zaproszeniu do Tobolska na uroczystość odsłonięcia pomnika Piotra Jerszowa, autora „Konika Garbuska". I to właśnie Igor odsłaniał ten pomnik. A później w Surgucie wygrał konkurs na nazwę nowej restauracji — „Konik Garbusek" Jeśli komuś zdarzy się być w Surgucie i trafić do restauracji „Konik Garbusek", to niech wypije toast za pamięć tego, kto tę nazwę wymyślił...

Najbardziej lubił spotkania z dziećmi. Mówił, że to Jan Brzechwa nauczył go, iż dla dzieci trzeba pisać bardzo dobrze, mądrze, uważnie i z sercem. Dzieci dały mu w zamian najpiękniejsze odznaczenie, jakie tylko nieliczni mogą otrzymać — Order Uśmiechu. Był człowiekiem pogodnym i chciał, aby inni byli pogodni, uśmiechnięci, nie mieli zmartwień. Miał licznych przyjaciół, ale i ludzi mu niechętnych nie brakowało. Nie ma w tym nic złego, bo tylko człowiek nijaki nie ma ani przyjaciół, ani wrogów. Za parę miesięcy ukończyłby 65 lat, ale czuł się ciągle młodo, był młody duchem, choć serce miał chore. I coraz częściej chwytał się za to serce.

W marcu 1982 roku zadzwoniłem do Igora i zapytałem, czy znajdzie dla mnie chwilę czasu. Znalazł. Leżał akurat przeziębiony. Powiedział, żebym się nie przejmował. Zaproponowałem mu pracę w „Odgłosach", właśnie kompletowałem zespół. Był to trudny okres dla pisma. Zgodził się. Martwił się razem z nami porażkami, cieszył sukcesami. Wykłócał się o miejsce dla poezji. Wielu młodych zawdzięcza mu debiut na łamach „Odgłosów". Starał się w każdym wierszu dostrzegać coś, co mogło zapowiadać przyszłego, dojrzałego poetę. Rozumiał poezję i wiedział, jak ważną odgrywa rolę w naszym życiu. Kiedy tylko, z tych czy innych przyczyn, nie mogliśmy zamieścić wierszy w numerze, wiedziałem, że albo zadzwoni, albo przyjdzie z pretensjami. Kochał poezję i chciał, aby inni ją też kochali.

Mieliśmy jeszcze tyle planów...

Gdy w połowie 1980 roku kończyliśmy naszą rozmowę, której maszynopis przechowuję z zamiarem publikacji, powiedział wtedy:

— ...kiedy teraz piszę, to uważam na nazwy miast i krajów, aby znów sobie jakiejś nieoczekiwanej podróży nie przepowiedzieć.

I napisał słowami armeńskiego poety:

„A tu żałoba pasmem czarnej wstęgi
Jak nasza boleść legła na sztandarach.

A on spoczywa w trumnie,
w kwiatach tonie,
Wielki, od wszelkich spraw daleki..."

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Dnia 2 stycznia 1985 roku zmarł w wieku 65 lat, kierownik działu literackiego tygodnika „Odgłosy", pisarz, tłumacz, działacz społeczny

IGOR SIKIRYCKI

Zmarły odznaczony był Krzyżem Oficerskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, był Zasłużonym Działaczem Kultury, Kawalerem Orderu Uśmiechu.

Wyrazy współczucia Rodzinie zmarłego składa

Zespół tygodnika „ODGŁOSY"

Pożegnanie

4 stycznia 1985 roku, cmentarz rzymskokatolicki przy ulicy Ogrodowej. Jest mroźne popołudnie, prószy śnieg. Żegnamy Igora Sikiryckiego. Żegnamy Człowieka niepospolitego czynu, żegnamy redakcyjnego Kolegę.

Stoimy pośród ludzi, którzy przyszli tu, by pokłonić się zmarłemu Pisarzowi; złożyć ostatni hołd. Są Jego najbliżsi, przyjaciele, znajomi; i anonimowi czytelnicy; literaci i społecznicy. Jest członek Biura Politycznego, i sekretarz łódzkiej instancji partyjnej — Tadeusz Czechowicz; prezydent Łodzi — Józef Niewiadomski; członek Prezydium Komitetu Wykonawczego Rady Krajowej PRON — Jerzy Grzybczak.

Brzmią dźwięki żałobnego marsza. Na ramionach żołnierzy Kompanii Honorowej spoczywa trumna ze zwłokami Igora Sikiryckiego. Wokół morze kwiatów spowite kirem sztandary, odkryte głowy zebranych. W żołnierskich dłoniach, na przyprószonych śniegiem poduszkach, leżą oryginały wysokich odznaczeń państwowych: medale, odznaki honorowe. Jest też wyróżnienie szczególne, dowód przyjaźni, jaki ofiarowują najmłodsi: Order Uśmiechu. Bo był Pan Igor tym autorem, który potrafił pisać dla dzieci tak, jak pisze się dla dorosłych — tylko jeszcze lepiej.

Żałobny kondukt zbliża się do otwartej mogiły. Tutaj jest miejsce ostatniego spoczynku Pisarza. Tutaj kończy się Jego ostatnia droga. Na dnie mogiły osiadają płatki śniegu.

Zmarłego żegna prof. Mieczysław Serwiński — przewodniczący Rady Narodowej Miasta Łodzi, poseł na Sejm PRL; Wiesław Jażdżyński — literat, działacz RL PRON; Władysław Orłowski — prezes Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich.

Gdzieś z boku terkoce filmowa kamera, trzaskają migawki aparatów fotograficznych. Bo był Igor Sikirycki człowiekiem, który ofiarował się służbie społecznej — był publiczną postacią.

Stoimy w milczeniu, słysząc tylko jak zmarznięta ziemia upada na drewnianą trumnę. A potem kładziemy wieniec na świeżej mogile. Kładziemy go obok innych wieńców i wiązanek, obok pojedynczych kwiatków złożonych dziecięcymi rączkami.

Tego dnia w stolicy obraduje prezydium RK PRON wraz z przewodniczącymi rad wojewódzkich Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Tego dnia redakcyjna poczta przynosi kolejne utwory młodych poetów, pragnących wysłuchać opinii, uwag i rad literackiego kierownika „Odgłosów". Lecz ani tam, w Warszawie, ani tu, w Łodzi, Igora Sikiryckiego już nie ma.

Wyrazy serdecznego współczucia Rodzinie z powodu zgonu naszej byłej pracownicy

WANDY WOJTCZAK

składa

zespół „ODGŁOSÓW"

Czy zła była polityka kulturalna czy jej realizacja? (2)

ZBIGNIEW ANTOSZEWSKI

OCENY I WNIOSKI

Po krótkim przypomnieniu specyficznych cech poszczególnych okresów w naszej polityce kulturalnej pora na sprecyzowanie pewnych ocen i wniosków.

1. Nie da się podważyć, że w czterdziestoleciu powojennym osiągnięcia w dziedzinie kultury są poważne. Jest to wynikiem demokratyzacji kultury, awansu kulturalnego klas i grup społecznych w okresie międzywojennym najbardziej upośledzonych. Nierównomiernie wyglądają natomiast nasze osiągnięcia w poszczególnych dyscyplinach twórczości artystycznej. Najwięcej sukcesów międzynarodowych odnieśliśmy w dziedzinie muzyki (E. Penderecki, Lutosławski, Baird), teatru eksperymentalnego (Grotowski, Tomaszewski, Jasiński, Szajna, Kantor) i filmu (Wajda i Zanussi). Najmniej „rozchwytywana" jest nasza literatura o problematyce współczesnej. A więc najmniej stworzyliśmy w dziedzinie szczególnie czułej ideologicznie i bezpośrednio związanej z realiami rozwoju społecznego.

2. Nie da się podważyć, że z trzech charakteryzowanych okresów za najbardziej płodny i podmiotowo traktujący twórców możemy uważać okres pierwszy (1944—48). A przecież w tym okresie sytuacja społeczno-polityczna w kraju była najbardziej złożona. Jednym z największych błędów lat następnych było przerwanie naturalnego rozwoju literatury i myśli krytycznej. Nie mniej destrukcyjna dla procesu tworzenia była próba sztucznego *przyśpieszenia procesów. Wprowadzenie (odgórne* zadekretowanie) „nowej metody twórczej", nazwanej na nieszczęście „realizmem socjalistycznym" doprowadziło do późniejszej niezasłużonej kompromitacji kierunku literackiego o tej nazwie. Zaatakowano przecież realizm socjalistyczny nie za błędy w jego teorii, a za polityczną praktykę okresu „kultu jednostki". Tej różnicy nie mogą lub nie chcą widzieć niektórzy nasi krytycy do *chwili obecnej.* Nie ulega wątpliwości, że głównym tematem dla twórców na wiele lat była problematyka wojny i okupacji. Dawała ona nie gorszą możliwość tworzenia literatury coraz bardziej uświadamiającej celowość procesów politycznych, które zaszły w Polsce po wojnie.

Niestety, ta naturalna tendencja została sztucznie przerwana przez polityków już na początku 1949 r. Co prawda niektórym pisarzom w tym trudnym okresie udało się uciec do „współczesności", którą wręcz programowo należało upiększać. Tylko dzięki temu powstały w tym okresie: „Pamiątka z celulozy" J. Newerlego, „Wrzesień" Putramenta, „Dni klęski" Żukrowskiego i in. Dlatego nie można zgodzić się z niektórymi ocenami okresu drugiego operującymi jako jego osiągnięciami, właśnie tymi utworami. Nie mieściły się one w „zadaniach" nowej polityki kulturalnej. A uciec jedynie potrafili pisarze bardziej doświadczeni. Młodym to się nie udało. Stąd tyle załamań, a nawet tragedii w latach następnych. Późniejsze lata to z kolei próba zaprzeczenia temu wszystkiemu, co było do tej pory. O ile możemy powiedzieć, że ostatnio mieliśmy do czynienia z bardzo nieudanym importem (ominęło to tylko Jugosławię) wynaturzonego w okresie kultu jednostki „realizmu socjalistycznego", to teraz gwałtownie zaimportowaliśmy bez większego rozeznania wszystko, co zachodnie.

W poprzednim okresie większość błędów polegała na złej teorii. Obecnie teoria (wytyczne) polityki kulturalnej była bardzo liberalna, aż eklektyczna, ale nad praktyką nikt nie panował. Co gorsza — nie panowała również krytyka marksistowska, która przecież powinna być prawą ręką polityki kulturalnej państwa socjalistycznego. Większość krytyków, którzy aktywnie działali w okresie poprzednim, nie liczyła się w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Część zrezygnowała i odeszła do historii literatury. Inni zmienili pozycje i zaatakowali okres poprzedni. Niewielu spośród nich było marksistami z prawdziwego zdarzenia. Dla większości z nich marksizmem były kolejne uchwały plenum Komitetu Centralnego. Nic dziwnego, że ich marksizm załamał się z chwilą załamania się polityki wynikającej z tych uchwał. Dlatego wydaje się błędem kwalifikowanie ich jako krytyków marksistowskich. Zrobili oni marksizmowi więcej szkody niż pożytku. Ich zasługi do dziś są wykorzystywane przeciwko pisarzom i krytykom zaangażowanym w realizację socjalistycznej polityki kulturalnej.

Różne są stanowiska w ocenie polityki kulturalnej lat siedemdziesiątych. Niektórzy wręcz twierdzą, że był to, poza wyjątkami, okres bardzo udany, dopuszczający wielość form i sposobów wyrażania indywidualności twórczej. Wydaje się, że to jest właśnie problem określony przez J. Tejchmę jako „tolerancja fałszywa". Co najmniej od roku 1976 nie było łatwo pisać na tematy współczesne. Znamy już zresztą wielu „półkowników" z zakresu produkcji filmowej. Nie było łatwo pisać o współczesności przed żadnym „zakrętem". Wtedy to powstawały najczęstsze konflikty między twórcami i politykami, najczęściej zakończone zablokowaniem we wszystkich wydawnictwach niepoślusznego autora. Z drugiej zaś strony, ciągle oskarżaliśmy literaturę o nienadążanie za życiem, o zamknięcie się w „*kawiarni literackiej*". *Jest to jeden z największych* paradoksów naszej polityki kulturalnej. Dlatego właśnie mogło dojść na początku lat osiemdziesiątych do sytuacji zaskakującej dla wielu polityków, którą trafnie określił profesor K. Żygulski w jednej z dyskusji: „(...) łączy się (to — Z. A.) z ujawnieniem sytuacji (...) dla wielu nieoczekiwanej. Jedną z cech tej sytuacji jest bardzo duża aktywność środowisk, które uważano za mało aktywne. Jest to dla wielu zaskoczeniem. Przy czym aktywność ta obejmuje także aktywność kulturalną".

3. Czołowe miejsce w krytyce literackiej, zaczynając od 1949 r., zajmowała sprawa bohatera literackiego. Doszło do przegięć w obie strony. Sztucznemu, nieżyciowemu bohaterowi, dla którego jedynie sprawy społeczne są ważne, literatura popaździernikowa przeciwstawiła człowieka zajętego własnymi przyziemnymi problemami. Wydaje się, że najtrafniej podsumował ten problem W. Sokorski w „Czasie, który nie mija". Jest tam następujące stwierdzenie: „Bohater naszych czasów ani w życiu, ani w książce nie może narodzić się z dnia na dzień. Jest to złożony proces krystalizowania się postaw, wydarzeń, układów społecznych i osobistych. Zwłaszcza jeżeli ma przemówić do kogokolwiek nie może być papierowy. Nie istnieją bowiem ludzie bez skazy, nigdy nie bywali i nigdy nie będą. Problem polega na tym, co w nich przeważa i jaki jest stopień moralnej mobilności w chwilach decydujących".

Problem bohatera literackiego jest więc nadal otwarty. Nie musi to być, jak wynika z powyższego, ideał. Takie ujęcie zaszkodziłoby mu raczej.

4. Nie rzadziej podejmowana przez krytykę literacką praktycznie przez całe czterdziestolecie była tematyka pracy tradycji i kultury robotniczej. Nawarstwiło się wokół niej chyba najwięcej nieporozumień i, co najgorsza, przeważnie podbudowanych znaczącymi cytatami klasyków marksizmu, czyli nie pozwalających na jakiekolwiek wątpliwości. A jest ich sporo. Nie zaprzeczam, oczywiście potrzebie pogłębionego widzenia tej problematyki, ale nie lansowania jej na siłę. Dostało się także pisarzom za zbyt inteligenckie rozumowanie i postawy ich bohaterów, za „kontynuowanie jedynie kultury inteligenckiej i szlacheckiej".

Postawmy sobie pytanie: skąd wywodzi się nasza inteligencja? Na ogół z chłopstwa i klasy robotniczej. A szlachty, przeważnie przecież szaraczkowej, nie należy utożsamiać z magnatami lub arystokracją francuską. Było jej w niektórych regionach kraju aż 25 proc., czyli co czwarty chłop. Był to plebs szlachecki. W związku z tym i jego kultura nie może być dziś przeciwstawiana kulturze plebejskiej. Była to przecież kultura powszechna, masowa. Tę kulturę od kultury wielkich magnatów dzieliła przepaść. Jakie więc są powody, aby się od niej odcinać?

Zastanówmy się także nad kulturą robotniczą. Na pytanie, dlaczego nie ma dobrej literatury, z „robotniczym rodowodem", T. Hołuj odpowiada tak: „...po prostu dawna kultura robotnicza w Polsce nie stworzyła tak wyraźnego systemu wartości, że zdolny on byłby odzywać się już w obecnym pokoleniu pisarzy. (...) Skoro społeczeństwo polskie było chłopsko - szlachecko - inteligenckie, to będziemy mieli w kolejnym literackim pokoleniu (...) przewagę tych właśnie wątków". Dla nikogo przecież nie jest tajemnicą, że przeważająca część klasy robotniczej jest pochodzenia chłopskiego. Nie mogła więc ona już stworzyć własnej, odrębnej kultury. Dotychczas możemy mówić słowami Hołuja „jedynie o pewnej tradycji kultury przedmiejskiej", wytworzonej przez proletariat.

Na niepowodzenie powieści o pracy bardzo poważny wpływ *miały zasady i zakazy normatywno-etycznej doktryny* pierwszej połowy lat pięćdziesiątych. „Dydaktyzm, przesadny optymizm i zasada konstruowania powieści na postaciach i konfliktach typowych — to zręby programu socrealistycznego, wewnętrznie zresztą sprzeczne, bo optymizm musiał poważnie ograniczać typowość tego, czym powieść zająć się miała" — pisał W. Nawrocki w pracy „Czy mały realizm".

Poza wszystkimi zauważonymi sprzecznościami istniał podstawowy powód niepowodzenia literatury tego okresu — niemożność prawdziwej interpretacji rzeczywistości społecznej.

5. Problem literatury zaangażowanej w sprawy współczesności jest chyba jednym z najbardziej nurtujących społeczeństwo, twórców i władzę. Wiadomą jest rzeczą, że mamy w chwili obecnej do czynienia nie tylko z konfliktami będącymi „przeżytkami okresu kapitalistycznego". Budownictwo socjalizmu wytworzyło sporo konfliktów własnych. Nie może powstać literatura afirmatywna, ale krytyczna w stosunku do rzeczywistości, dopóki będą stale udzielane ostrzeżenia, że wróg tylko czeka, na ujawnienie jakiegokolwiek błędu lub słabości. Przecież nie od dziś wiadomo, a mówił o tym przekonująco już w połowie lat pięćdziesiątych L. Kruczkowski, że „wroga cieszą bardziej nasze błędy i trwanie w błędach, niż po męsku otwarte ujawnienie ich przez nas samych! Że wróg — ten mądry, w sztabach redakcyjnych — stawia na zło, na krzywdy i niedole ludzkie istniejące w naszym życiu, a nie na naszą jawną walkę z nimi — że nasze lakiernictwo jemu właśnie służy, a nie nam, nie socjalizmowi".

Przypominał autor „Niemców" o tym, że wykorzenianie istoty zła, docieranie do jego przyczyn, może być źródłem naszej siły, naszych pięknych osiągnięć. Stawiał to jako główny obowiązek stojący przed pisarzem komunistą. A więc pisarze partyjni — zdaniem Kruczkowskiego — mają obowiązek podejmowania tematyki trudnej, stawiania pytań, inicjowania nowych myśli. Do tej pory jednak w tej dziedzinie „orzodują" często pisarze opozycyjni.

Mówi się słusznie, że literatura stworzona przez członków partii ma służyć partii. Ale już nie zawsze potrafimy ustalić komu konkretnie w tej partii. Kto ma prawo ostatecznej interpretacji i oceny utworów. Znany postulat literatury zaangażowanej przez zbyt wielu polityków był kojarzony ze służeniem doraźnej taktyce pełniących funkcje partyjne z wyboru lub nominacji. Od pisarza partyjnego zbyt często żądano „lojalności" prowadzącej do pisania wypracowań na zadany temat. W czterdziestoleciu powojennym doprowadziło to do sporej ilości dramatów, a partię opuściło wielu wybitnych twórców. Część z nich została zresztą wykluczona z partii przed kolejnymi zakrętami politycznymi.

6. Nawet pobieżny przegląd współczesnej literatury polskiej wskazuje na wciąż obszerne „białe plamy", obejmujące prawie wszystkie zwrotne i burzliwe momenty naszej historii najnowszej. Zubożą to świadomość współczesnego Polaka i nierzadko go irytuje. Zbyt często bowiem sąsiadują w niej dwie nieprawdy: jedna — z winy władzy, druga — z winy opozycji. Czas najwyższy, aby literatura, ta poważna i wielonakładowa, poruszyła problemy, których pogłębionej interpretacji z pozycji socjalistycznych oczekują czytelnicy. Nie należy przy tym zapominać, że dzisiejszy czytelnik posiada określoną świadomość faktów historycznych i ma wyrobiony do nich stosunek. Jeśli w autorze nie odnajdzie partnera do dyskusji, a jedynie dydaktyka lub lakiernika, spowoduje to zniechęcenie i lekceważenie literatury dostępnej w księgarni. Lukę tę zapełni przypadkowo dobranymi „prohibitami" i w nich będzie szukał odbicia własnych rozterek duchowych i intelektualnych. Udawanie, że się tych ucieczek nie dostrzega prowadzi w konsekwencji do załamania pomostu między książką a jej odbiorcą, a więc odbiera sens procesowi powstawania dzieła literackiego i zaprzecza podmiotowości czytelnika.

7. Od roku 1949 daje się zauważyć stałą ucieczkę najwybitniejszych krytyków do historii literatury. Zamiast być trwałym ramieniem przetwarzającym w czyn politykę kulturalną państwa boją się oni podejrzenia o jednoznaczność z tą polityką. Ustalenie powodów tego stanu rzeczy zdaje się być jedną z najpilniejszych spraw na najbliższą przyszłość.

Jest jednak niemal pewne, że jedną z głównych przyczyn zastoju było zastępowanie życia intelektualnego działaniem taktycznym. Tak dalej być nie może. Bez inteligentnej, aktywnej, znającej najnowsze tendencje literatury światowej, marksistowskiej krytyki literackiej niemożliwa jest prawidłowa polityka kulturalna państwa socjalistycznego.

8. Należy raz jeszcze podkreślić, że główne błędy polityki kulturalnej nie polegały na złym programowaniu. Uchwały obowiązujące administrację kulturalną niczym praktycznie nie ustępują podobnym dokumentom funkcjonującym w innych krajach obozu socjalistycznego. Jednak związki twórcze, komisje kultury Komitetu Centralnego, Sejmu, związków zawodowych i innych organizacji zajmujących się sprawami kultury nie miały praktycznie większego wpływu na określone decyzje aparatu wykonawczego. Często nawet o tych decyzjach nie wiedziały. Praktyka nierozliczania się z decyzji negatywnych przed ciałami kolegialnymi, reprezentującymi interes społeczeństwa i twórców, doprowadziła do wielu sprzecznych z interesami polskiej kultury decyzji.

Wiele trzeba będzie zacząć od nowa.

■

Dokończenie ze strony 1

ny „ból istnienia" i twórczy niepokój — z przewagą tego pierwszego. Idzie teraz o to, by proporcje te odwrócić.

2.

Ale jak? Pierwsza trudność polega na tym, że jest to operacja, której najpierw trzeba dokonać na sobie samym — potem dopiero uczestniczyć w zbiorowej aktywności. Druga trudność przypomina klasyczny dylemat Cygana, który patrząc na swą brudną progeniturę bawiącą się w przydrożnym rowie, duma: umyć czy zrobić nowe? W naszym przypadku dylemat ten sprowadza się do wyboru — zwiększyć tempo posuwania się przetartym przez innych szlakiem, doskonaląc tylko mechanizmy, czy w nowy sposób ruszyć nową drogą...

Cygan był w gorszej sytuacji — nie mógł bowiem połowicznie umyć stare i połowicznie zrobić nowe. My możemy sobie pozwolić na rozsądny kompromis między doskonaleniem już funkcjonujących struktur naszego życia społecznego i poszukiwaniem nowatorskich rozwiązań. Można przypuszczać, że rok czterdziesty pierwszy będzie kluczowy i decydujący dla wypracowania tego porozumienia. Prawdę mówiąc, idzie tu o przezwyciężenie z jednej strony społecznego bezwładu, z drugiej zaś — świadomego oporu części struktur państwa wobec konieczności jego zreformowania, przede wszystkim zreformowania gospodarki.

3.

Gdy piszę te słowa — leży przede mną zwiastun najbliższych trudności roku czterdziestego pierwszego — propozycje wariantów podwyżek cen i sposobów rezygnacji z reglamentacji przedstawione do konsultacji społecznej. Jest to już jakby część noworocznego rytuału.

Podstawowy problem polega tu na znalezieniu zadowalającej każdego z nas „przekładni" między tzw. prawdą statystyczną a sytuacją życiową. Statystycznie założono bowiem, że ceny wzrosną o około 12 proc. i tyle samo wzrosną przychody ludności. Tyle że ceny wzrosną dla wszystkich jednakowo (choć niekoniecznie w argumentacji należy powoływać się na tezę o „równości żołądków"...), natomiast tzw. przychody nie. Pomiędzy milionerami a klientami pomocy społecznej znajduje się ogromny obszar społecznego bytowania obsadzony przez ludzi nie tylko o zróżnicowanych dochodach, ale o nierównych szansach ich powiększania teraz i w przyszłości.

Tylko dlatego mówię o trudnościach i problemach społecznych, które niesie ze sobą projekt podwyżek cen, skądinąd uzasadniony ekonomicznie i niezwykle potrzebny, zważywszy, że stoimy przed szansą pozbycia się zmory reglamentacji (Wyłączywszy chyba cukier, gdyż zniesienie ograniczeń jego sprzedaży otworzy przede wszystkim raj ekonomiczny dla konkurentów monopolu spirytusowego, zwłaszcza tych drobnych — czajnikowo-garnkowych — a najdokuczliwszych...).

Czterdziesty pierwszy

TOMASZ SAS

Właśnie te obiektywnie istniejące nierówne szanse powiększania dochodów, nie dające się niczym wyrównać ani zrekompensować w sprawiedliwych rozmiarach, stanowią największą pułapkę już w fazie konsultacji — wyboru lub mieszania wariantów. Niezależnie od motywacji ekonomicznych od rozmiarów asekuracji i ochrony socjalnej proponowanej przez rząd, od zachęt do wydajniejszej pracy itp., zawsze będzie tak, że jednym się nawet poprawi, innym nie pogorszy, a jeszcze inni — i będzie ich wcale niemało — dostaną po kieszeni. Takie są koszty osiągania równowagi.

4.

Wydaje się zresztą, że w roku czterdziestym pierwszym będziemy mieli aż nadmiar konsultacji społecznych. Zgodnie z tendencjami wśród organizatorów naszego życia zbiorowego a może modą, rozszerza się zakres angażowania obywateli do współtworzenia praw i podejmowania decyzji. Wielokrotnie już na tych łamach, aż do znudzenia występowałem przeciwko konsultacjom traktowanym jako panaceum na niedostatki demokracji w naszym kraju. Konsultacje na wszystkie możliwe tematy, jeżeli nadal będą w rozkwicie, staną się zmorą dla sprawnego administrowania. Związki zawodowe — jak się wydaje — są już teraz gotowe do oprotestowania każdej decyzji operatywnej rządu i resortów, jeżeli nie była konsultowana. Niebawem dorobimy się czegoś w rodzaju pata konsultacyjnego dodatkowo wzmocnionego tzw. paranoją konsultacyjną, polegającą w skrócie na tym, że konsultujący zaczną się domagać kontroli nad decyzjami — tak by procesy zarządzania przebiegały wedle objawionych przez nich koncepcji, nie bacząc na to, że koncepcje te stanowią na ogół wiązkę wzajemnie wykluczających się propozycji. Cóż to bowiem za konsultacje — zaczną mówić — skoro nie postępuje się wedle naszego zdania...

Postępy demokracji bezpośredniej poza granice zdrowego rozsądku grożą paraliżem postępowym funkcji państwa.

5.

Opamiętanie się w tej mierze i zwrot ku porządnej demokracji przedstawicielskiej, dającej sobie samodzielnie radę z problemami państwa i narodu, jest tym bardziej konieczne w roku czterdziestym pierwszym, gdyż właśnie w tym roku najważniejszym zbiorowym aktem politycznym obywateli polskich będą wybory posłów na Sejm.

Skoncentrujmy raczej swą energię i wolę aktywnego działania dla spraw kraju na porządnym skonstruowaniu ordynacji wyborczej do parlamentu, wnikliwym i odpowiedzialnym doborze kandydatów i uczciwym głosowaniu. Wybierzmy do najwyższej władzy w państwie naszych przedstawicieli obdarzonych naszym pełnym zaufaniem; bądźmy jednocześnie gotowi do bezapelacyjnego podporządkowania się ich decyzjom. Staranność w wyborze winna gwarantować nam — szeregowym podmiotom władzy ludu — że nasi przedstawiciele w ciągu następnej kadencji Sejmu będą sprawnie i wiarygodnie rządzić. Mandat parlamentu musi być niewzruszalny, wsparty nie tylko na normie konstytucyjnej, lecz przede wszystkim na wspólnocie racji, przekonań i interesów mandatariuszy i wyborców. Ja chcę przynajmniej mieć parlament silny i odpowiedzialny, posłów, którzy nie będą w każdej kwestii pytać mnie osobno o moje zdanie czy opinię; nie chcę niepewnych, ostrożnych i powątpiewających. Pragnę im wierzyć na dobre i złe, pragnę, by i oni byli pewni mojego poparcia również na dobre i złe (wyjąwszy łamanie prawa i podstawowych norm moralnych).

6.

Wybory w czterdziestym pierwszym roku Polski Ludowej mogą współtworzyć jeszcze jeden, niezwykle ważny aspekt teraźniejszego i przyszłego bytowania Rzeczypospolitej. Mam tu na myśli możliwość powstania realnej płaszczyzny narodowego porozumienia. Właśnie wokół wyborczego programu i wyłonienia autentycznej reprezentacji ogółu obywateli, reprezentacji sprawującej władzę, mają szansę skupić się ci wszyscy, dla których coś znaczą rok czterdziesty pierwszy i lata następne, wiele następnych lat.

■

Świat – nurty – idee

EDMUND LEWANDOWSKI

Wierzenia religijne w Chinach

Chińczykiem jest co piąty człowiek na świecie. Według spisu z 1982 r. Chiny liczyły 1 mld 8 mln 175 tys. osób. Z tego rdzenni Chińczycy stanowili 93 proc. obywateli. Niemal 80 proc. ludności kraju mieszkało na wsi. W armii służyło 4 mln 230 tys. osób, a do Komunistycznej Partii Chin należało 40 mln członków. W porównaniu z Polską Chiny mają 30 razy większy obszar i 28 razy więcej ludności.

Początki cywilizacji chińskiej sięgają III tysiąclecia, lecz pierwsze potwierdzone historycznie państwo istniało w XVIII wieku przed naszą erą. Kolebką tej kultury był niewielki obszar w środkowym biegu Rzeki Żółtej (Huangho), gdzie uchodzi do niej rzeka Wei.

Chińczycy stopniowo pokonywali obce ludy i rozszerzali własne terytorium, zachowując przy tym specyfikę kulturową i tożsamość narodową. Na zdobywanych obszarach powstawały małe państwa chińskie, między którymi długo toczyły się walki o hegemonię. Aż w końcu dzieła zjednoczenia wszystkich ziem dokonało w III wieku p.n.e. księstwo Ts'in. Podbiło ono w krótkim czasie (od 230 do 221 r. p.n.e.) pozostałe państwa i utworzyło jedno wspólne cesarstwo. Wprowadzony wtedy system polityczny przetrwał aż do rewolucji 1911 roku i proklamowania republiki. Już pod koniec II wieku p.n.e. — po trwającej ok. 1500 lat ekspansji — Chiny zajmowały obszar zbliżony do obecnego.

Rządy w cesarstwie sprawowała wykształcona biurokracja. W celu objęcia stanowiska państwowego należało zdać niezwykle trudny egzamin konkursowy. Począwszy od 165 roku p.n.e. kandydaci z wszystkich klas społecznych mogli przystępować do rywalizacji o uzyskanie dyplomu naukowego będącego przepustką do władzy. Na różne szczeble urzędowe organizowano trzy rodzaje egzaminów: powiatowo-gminne, prowincjonalne i stołeczne. Te ostatnie odbywały się pod nadzorem samego cesarza raz na trzy lata w Pekinie. Spośród kilku tysięcy zdających tylko 300 osób mogło zdobyć najwyższy tytuł otwierający drogę do centralnych stanowisk. Od każdego kandydata wymagano jedynie świadectwa moralności, w którym sąsiedzi potwierdzali, że nie był karany sądownie i od trzech pokoleń nie miał przodków uprawiających podłe profesje: cyrulika, aktora, sutenera, prostytutki.

W społeczeństwie chińskim zawsze wysoko ceniono wiedzę i uczonych, a zawód nauczycielski uważano za najbardziej zaszczytny. Analfabetyzm od dawna należał tam do rzadkości. Ale szczególnym uznaniem cieszyła się nie wiedza techniczna, lecz etyczna i historyczna. Należało przede wszystkim znać dużo mądrych cytatów z dzieł klasyków oraz wiedzieć, jak powinno się zachować w każdej sytuacji. Kultura chińska wyróżnia się dominacją elementów wychowawczych. Chińskie odpowiedniki terminów „kultura" (wen-hua) i „religia" (kiao) mają głównie sens pedagogiczny. Słowo „wen-hua" oznacza kształtowanie człowieka bez użycia siły, za pomocą wiedzy i dobrych wzorów. Natomiast „kiao" znaczy nauka, wykształcenie, pouczanie.

Chińczycy są narodem praktycznym. Dlatego nie przywiązywali nigdy dużej wagi do czystości religijnej. Z każdej doktryny chętnie przyjmowali wszystko, co sprzyjało moralności. Mało obchodziły ich zagadnienia dogmatyczne i teologiczne; liczyła się tylko efektywność etyczna, a w szczególności dobro rodziny, społeczeństwa i państwa. Stąd też w Chinach uderza synkretyzm religijny i swoisty ateizm. Najważniejszą rolę odgrywają tam trzy religie: konfucjanizm, taoizm i buddyzm. Każda z nich ma swój udział w kulturze narodowej, lecz największy wpływ na świadomość i postawy Chińczyków miał jednak konfucjanizm — religia inteligencji i biurokracji chińskiej.

Twórca konfucjanizmu żył w latach 551—479 przed naszą erą. Nazywano go „Mistrz K'ung" (K'ung fu-tsy), a formę Konfucjusz utworzyli później jezuici. Prawdopodobnie również w VI wieku p.n.e. powstał taoizm, założony przez Lao-cy. Natomiast buddyzm pojawił się w Chinach w I wieku naszej ery. Z czasem nastąpiło zmieszanie elementów tych trzech religii i zapanował — jak trafnie określił pewien badacz rosyjski — „chaos synkretyczny".

Wspólną cechą myśli chińskiej jest monistyczne pojmowanie rzeczywistości. Świat był i jest dla Chińczyków całością — jednością Przyrody, Społeczeństwa i Człowieka. Nie uznaje się tu dualizmów: natura — kultura, ciało — świadomość, przyroda — człowiek. Cały wszechświat jawi się jako jeden wspólny ład naturalno-moralny, w którym nie ma miejsca dla wymiaru nadprzyrodzonego (transcendentnego). Wszelkie duchy i bóstwa mają charakter immanentny, znajdują się wewnątrz świata.

W tej wielkiej jedności kosmicznej działają dwie przeciwstawne siły energetyczne, dwa sprzeczne czynniki: dodatni „jang" oraz ujemny „in". Początkowo owymi nazwami określano oświetloną i pozostającą w cieniu strony szczytu górskiego. Chodzi więc o dwa aspekty jednego i tego samego, dwie przeciwstawne i zarazem komplementarne energie. Jang symbolizuje: niebo, mężczyznę, aktywność, dominację, twardość, czystość, jasność, słońce, ogień, ciepło, dzień, wiosnę, lato, twierdzenie. In zaś oznacza: ziemię, kobietę, bierność, uległość, miękkość, mętność, ciemność, księżyc, wodę, zimno, noc, jesień, zimę, przeczenie. Jang zaznaczano linią ciągłą in — przerywaną. Już w VIII stuleciu p.n.e. przyjmowano, że walka tych dwóch pierwiastków jest źródłem wszystkich zmian w świecie. Tę pierwszą w dziejach koncepcję dialektyczną uznali bez zastrzeżeń Konfucjusz, Lao-cy i ich kontynuatorzy. W pewnej księdze czytamy: *„Wszystkie rzeczy zaczynają się i tworzą w wielkiej jedności, zmieniają się zaś dzięki in i jang"*. Chińczycy najwcześniej zrozumieli, że ruch i zmiany wynikają ze sprzeczności, że każdej akcji towarzyszy reakcja i w konsekwencji utrzymuje się względna równowaga. Także w życiu ludzkim trzeba godzić różne dążenia, unikać przesady, zachowywać umiar i cierpliwość. W przeciwnym bowiem razie będziemy nieszczęśliwi.

Panujący w świecie ład uznaje się w Chinach za bezosobową wolę boską, której każdy powinien się podporządkować. Jest to nieosobowy Bóg zwany Niebem (T'ien). Z woli tej abstrakcyjnej, regulatywnej siły etycznej sprawował rządy cesarz. Był on „synem Nieba" i „ojcem Ziemi". Głównym jego obowiązkiem było realizowanie woli Nieba, którą — co ciekawe — utożsamiano z wolą ludu i zmarłych przodków. Władca musiał uwzględniać życzenia mas ludowych i tradycję. Jeśli tego nie czynił, to działał sprzecznie z wolą Nieba i tracił „mandat niebios", a wtedy lud miał prawo go obalić i zastąpić kimś innym. Znakiem wygaśnięcia mandatu były też kryzysy i inne klęski oraz upadek moralny władzy.

Obok kultu Nieba, istniały w Chinach bogate wierzenia i praktyki animistyczne. W zwierzętach, roślinach, rzekach, górach, różnych przedmiotach i zjawiskach dostrzegano siły duchowe, które należało pozyskać ofiarami lub zabezpieczyć się przed nimi zabiegami magicznymi. Wśród ludu dużą popularnością cieszył się kult smoka. Ten mityczny potwór, inaczej niż u Słowian, był w Chinach dobrym bóstwem i symbolem szczęścia. Wiele obaw i przesądów dotyczyło lisów. Wierzono, że zwierzęta te potrafią przeobrażać się w mężczyzn lub kobiety i mogą wyrządzać ludziom poważne szkody. Rozmaitym złym duchom miały ułatwiać działanie linie proste, dlatego wszędzie starano się budować kręte drogi i ulice, a dachy domów wyginano na krajach.

Trzecią sferę sakralną stanowił manizm, czyli kult zmarłych przodków. O ile animizm najbardziej rozpowszechniony był wśród prostego ludu, to manizm dominował w życiu religijnym warstw wyższych. Rodziny zamożne budowały duchom przodków specjalne świątynie, natomiast biedniejsi poprzestawali na urządzeniu ołtarzyka domowego. W ten sposób dom rodzinny był dla Chińczyków kościołem. Nabożeństwa poświęcone zmarłym przodkom celebrowali przywódcy rodów, naczelnicy gmin i prowincji oraz cesarz. W Chinach nie wytworzył się bowiem nigdy stan kapłański.

Każda jednostka miała duże poczucie bezpieczeństwa i zakorzenienia, ponieważ należała do wielkiej rodziny żyjących i długiego szeregu zmarłych pokoleń. W skład rodów i społeczeństwa zaliczano również duchy zmarłych — uwzględniano ich wolę przy podejmowaniu ważnych decyzji. Kiedyś, zanim około XI wieku p.n.e. przyjęło się pojęcie „T'ien", najwyższym bóstwem był „Pan na Wysokości" (Szang-ti), przez co rozumiano wolę ogółu duchów zmarłych przodków. Chińczycy zawsze byli niewolnikami tradycji. Ale już z Epoki Wiosen i Jesieni (770—480 p.n.e.) pochodzi charakterystyczna maksyma polityczna: *„Kraj rozkwita, jeśli (władca) przysłuchuje się ludowi, a ginie, jeśli (władca) słucha duchów"*.

Mimo olbrzymiego znaczenia animizmu i manizmu, Chiny nie znają w zasadzie koncepcji duszy nieśmiertelnej i zmartwychwstania ciał. Życie pozagrobowe pojmuje się tam jako trwanie zmarłego w dwojaki sposób: w rozwoju biologicznym jego potomstwa oraz w pamięci żyjących pokoleń. W podobnym duchu pisał w Notatniku z lat 1863—64 Fiodor Dostojewski: *„Głoszą, że człowiek przestaje istnieć i umiera cały. A przecież wiemy, że nie cały, bo część swojej osobowości przekazuje w fizyczny sposób swemu potomstwu. Pozostaje też w pamięci ludzi (znamienna jest prośba o wieczną pamięć, na panichidach), wchodząc częścią swojej poprzedniej, istniejącej na ziemi osobowości w przyszłe pokolenia"*.

Naród chiński nie zna także idei nieba i piekła jako retrybucji (odpłatności moralnej) za dobro i zło. Religie chińskie nie obiecują wyznawcom pozagrobowych nagród i kar. Ludziom uczciwym powinny wystarczyć satysfakcja z dobrze spełnionego obowiązku, uznanie otoczenia i pamięć zasług po śmierci. Oczekiwanie innych korzyści za moralne życie jest dowodem prostactwa. Człowiek zresztą nie może mieć żadnych praw, lecz jedynie obowiązki wobec innych ludzi i społeczeństwa.

Nie mogę w tym miejscu powstrzymać się przed istotną dygresją. Otóż podobnie chrześcijański Stary Testament zasadniczo nie zna idei duszy nieśmiertelnej, zmartwychwstania ciał oraz koncepcji nieba i piekła, a tym bardziej czyśćca. Problem ten dręczy bohaterów powieści Isaaca B Singera. Umierający cadyk Johanan z Marszynowa zadaje sobie pytanie: *„Jak to się stało, że w Piśmie nie ma wzmianki o nieśmiertelności duszy? A może, niech Bóg uchowa, rację mieli Saduceusze?"* A zięć Kalmana, Azriel, powiada: *„Czy w Pismach jest jakaś wzmianka o życiu przyszłym lub zmartwychwstaniu? Nie, nie ma. Księga Kohelet twierdzi kategorycznie, że wraz ze śmiercią wszystko się kończy. Wszystkie opowieści o przyszłym życiu, Sądzie Ostatecznym, przypowieści o Mesjaszu, o Szor Haborze i o Lewiatanie to późniejsze dodatki. Jeśli jest coś takiego jak nieśmiertelność, jeśli dusza otrzymuje nagrodę w raju, a karę w piekle, to dlaczego prorocy o tym nie wspominają?"* O tych frapujących brakach Starego Testamentu mało chrześcijan wie.

Ale ad rem. Społeczeństwo chińskie przez blisko 4 tysiące lat obywało się bez łudzenia niebem i straszenia piekłem. I w dodatku Chińczycy imponowali zawsze moralnością publiczną, która wynikała nie z religii, lecz całej kultury. Konfucjusz mówił: *„Gdzie nie ma prawdziwego ducha moralności, tam nie pomogą żadne formy religijne"*. Na potwierdzenie tego można podać wiele przykładów historycznych.

Po ogólnej prezentacji wspólnych elementów kultury religijnej Chin, można dokładniej przedstawić konfucjanizm i taoizm. Obie religie akceptują podstawy tej samej wizji światopoglądowej (z teorią in i jang), lecz różnią się pod względem antropologicznym i etycznym; odmiennie ujmują sprawę powołania człowieka.

KONFUCJANIZM

Konfucjusz żył w tym samym czasie co Budda. O ile jednak mędrzec hinduski stworzył system psycho-etyczny, to myśliciel chiński socjo-etyczny. Konfucjusz zakładał prymat grupy i społeczeństwa w stosunku do jednostki. Bagatelizowane przez Buddę więzi społeczne były dla Konfucjusza najważniejszą rzeczywistością. Powinności społeczne traktował Konfucjusz jako ważniejsze nawet od religijnych. Chińczycy nazywają jego doktrynę „szkołą żu", tzn. szkołą inteligencji, ponieważ głównymi jej promotorami byli uczeni, literaci, nauczyciele, urzędnicy.

Ortodoksyjny konfucjanizm był nie tyle religią, co nauką społeczno-moralną. Mistrz K'ung z pewnym dystansem podchodził do spraw kultowych. Można odnieść wrażenie, że tylko tolerował praktyki religijne, ale sam nie przywiązywał do nich większego znaczenia. Gdy pytano go o sprawy eschatologiczne, odpowiadał, że najpierw wypada zgłębić problemy życiowe. Nie można, jego zdaniem, pojąć śmierci bez zrozumienia życia. I tak samo nie można służyć duchom, jeśli nie potrafimy służyć ludziom. Mądrość polega na tym, żeby postępować szlachetnie, a duchy należy szanować i czcić, ale bez przesady.

W konfucjanizmie podstawowe znaczenie mają trzy pojęcia: tao (droga), siao (przywiązanie) i żen (humanitarność). Tao oznacza ogólne zasady rządzące światem i odpowiadające im słuszne postępowanie moralne. Według Konfucjusza ludzki sens tao wyraża się w prawdzie, że interesy jednostek i grup są wspólne, a nie sprzeczne. I stąd bierze się siao — miłość synowska łącząca człowieka z rodziną, społeczeństwem i państwem. A z kolei żen — to prawo etyczne, szlachetne postępowanie, które stanowi warunek poznania tao. Na żen składają się: tolerancja, wiedza, odwaga i dobre maniery.

Konfucjusz twierdził, że wytyczną na całe nasze życie powinna być zasada wzajemności. Jednemu ze swych uczniów tłumaczył: *„Jeśli sam nie chcesz, by ci czegoś nie czyniono, nie czyń tego innym"*. Postawa tolerancji musi być uzupełniona wiedzą, jak należy się zachować w każdej sytuacji. Ale sama wiedza mało jest warta bez odwagi wypełniania obowiązków. Szczególne znaczenie ma pięć wzajemnych zobowiązań: 1 władca ma być dobry dla poddanych, a ci wierni i lojalni wobec niego; 2. ojciec ma być sprawiedliwy dla dzieci, a te absolutnie przywiązane do rodziców i służące im we wszystkim; 3. ludzie starzy mają być życzliwi, a młodzi winni ich szanować i wspomagać; 4 mężczyzna ma sprawiedliwie traktować kobietę, a ona powinna być mu posłuszna i uległa; 5. przyjaciele mają być sobie bezgranicznie wierni.

Ostatnim elementem humanitarności (żen) są dobre maniery. Chińczyk powinien zawsze zachowywać się zgodnie z ustalonym zwyczajowo rytuałem i przestrzegać etykiety. Nawet spać musi, że tak powiem, w sposób zdyscyplinowany, a nie dowolnie rozkładać ręce i nogi. Tadeusz Konwicki trafnie zauważył, że *„Chiny to jeden ogromny wariacki formalizm"*. Pisze on: *„Cała kultura chińska jest wielkim i przejmującym świadectwem walki człowieka z animalnością człowieka, z pozostałościami zwierzęcia w człowieku albo raczej z jego drugą zwierzęcą naturą. Jest świadectwem supremacji idei nad materią"*.

Żen jest umiejętnością przestrzegania zawsze i wszędzie pięciu zasad: godności, szlachetności, prawdomówności, pilności i dobroci. Konfucjusz uczył: *„Jeśli będziesz godny, nie będą cię traktować bez szacunku. Jeśli będziesz szlachetny — pozyskasz wszystkich. Jeśli będziesz prawdomówny — ludzie ci będą ufać. Jeśli będziesz pilny — dokonasz wiele. Jeśli będziesz dobry, zdołasz korzystać z usług innych ludzi"*. Według konfucjanizmu doskonałym człowiekiem jest ten, kto stale myśli o bezinteresownym wypełnianiu obowiązków i stawia sobie wysokie wymagania. Natomiast człowieka marnego i prostaka poznać po tym, że myśli o korzyściach osobistych, a wymagania stawia innym.

Człowieka humanitarnego powinno ponadto cechować unikanie skrajnych reakcji. W każdej sytuacji winien hamować emocje i zachowywać godny spokój. *„Stan duszy nie pobudzonej radością, gniewem, smutkiem* — mówił Konfucjusz — *nazywa się stanem równowagi. Stan duszy, w której zrodziły się radość, gniew, lub smutek, lecz nie osiągnęły jeszcze najwyższego stopnia — nazywa się harmonią. Kiedy równowaga i harmonia istnieją nienaruszone, wówczas Niebo i Ziemia znajdują się w stanie doskonałego spokoju i wszystko, co istnieje, może osiągnąć swój rozwój"*. Chińczycy zawsze wysoko cenili umiar i cierpliwość, także w miłości i rozpaczy. Zbytnie uleganie nastrojom traktowali jako przejaw barbarzyństwa.

Konfucjusz zakładał, że ludzie nie są z natury źli, lecz nabywają wad i słabości w niewłaściwej atmosferze wychowawczej. Przyjmował też za oczywiste, że nie sama rodzina, lecz całe społeczeństwo wychowuje. Jego zdaniem postawy ludzi zależą w znacznym stopniu od cech władcy i systemu administracji państwowej. Władza musi być przede wszystkim kompetentna i przykładnie moralna. Tylko takim osobom — bez względu na ich pochodzenie społeczne — powinno się powierzać urzędy. Jeśli władca dobiera sobie mądrych i uczciwych urzędników a oddala nieprawych, to może liczyć na uległość ze strony ludu. Rządzić — to znaczy naprawiać.

Sztuka przewodzenia ludowi polega na tym, żeby ów „pracując w pocie czoła nie odczuwał trudu". Rząd dobry zabiega głównie o trzy rzeczy: dostateczną ilość żywności, silną armię i zaufanie u prostego ludu. W razie trudności z realizacją wszystkich trzech wymogów można ewentualnie zrezygnować z pierwszego, a następnie z drugiego, lecz nigdy z trzeciego, czyli zaufania ludu.

Ideałem Kunfucjusza był człowiek wykształcony oraz dobrze wychowany. W sprawach religijnych tolerujący wierzenia innych, lecz sam postępujący racjonalnie, odrzucający przesądy i kontemplację mistyczną. Wbrew temu, około 500 lat po śmierci Konfucjusza, narodził się jego kult i powstała religia konfucjańska.

TAOIZM

W przeciwieństwie do konfucjanizmu, który miał wyraźnie świecki charakter, taoizm kultywował wierzenia i praktyki religijne. W doktrynie tej wprawdzie również nie ma koncepcji wiecznego Boga osobowego, duszy nieśmiertelnej i życia pozagrobowego, ale istnieje bogaty świat mitów, duchów i obrzędów magicznych. Przez to taoizm był religią ludu, a nie wykształconej inteligencji.

Podstawowymi pojęciami taoizmu są: tao (droga) oraz te (cnota). Przez tao rozumie się tutaj bezosobowy ład wszechświata, istniejący wiecznie i będący źródłem wszelkiego istnienia. Na początku świata było tylko samo jedyne tao. Natomiast drugie pojęcie (te) oznacza odbicie tao w ludzkiej moralności. Każdy człowiek powinien postępować zgodnie z naturalnymi prawami tao, jak funkcjonuje cała przyroda. W głównym dziele taoizmu, „Księdze Drogi i Cnoty" (Tao-te-king), czytamy:

„Jeden byt istnieje, jeden niepojęty;
istniał on, zanim nastały niebo i ziemia.
Cichy on jest i samotny, samoistny i niezmienny.
Wiecznie się porusza, nie utyka nigdy,
godzien być matką wszechrzeczy.
Nie znam jego nazwy, dlatego zwę go tao...
Człowiek trzyma się prawa ziemi,
ziemia trzyma się prawa nieba,
niebo trzyma się prawa tao,
tao trzyma się samego siebie".

Tao przypomina heglowski absolut (rozum, duch świata) czyli system praw dialektycznych, stanowiący prawdziwą istotę świata oraz zasady jego funkcjonowania. Tao jest jednością przeciwieństw jang i in. Najważniejsze prawo tao głosi, że „gdy rzecz osiągnie w rozwoju swój kraniec, odwraca się w swoje przeciwieństwo". W kierunku własnego przeciwieństwa zmierzają wszelkie zjawiska.

Taoizm uznaje prymat praw przyrodniczych, a lekceważy jako wtórne i sztuczne prawa społeczne. Człowiek ma żyć w zgodzie z naturą, wyzwolony z ograniczeń i przymusów zewnętrznych, wyzbyty nadmiernych pragnień. Należy poprzestawać na skromnych potrzebach, obojętnie traktować świat zewnętrzny i podporządkować się losowi. Taoiści propagują zasadę „wu-wei" (niedziałania), która polega na rezygnacji z dążeń i potrzeb przekraczających pewien umiar. Niektórzy z wyznawców wybierali życie pustelnicze i ascezę, co konfucjaniści stanowczo potępiali. Pierwsi misjonarze buddyjscy w Chinach wykorzystywali analogie z taoizmem i tą drogą pozyskiwali masy ludowe dla nowej religii.

Lao-cy, w odróżnieniu od Konfucjusza, był przeciwny upowszechnianiu wiedzy w społeczeństwie. Twierdził on, że ludem oświeconym trudniej jest rządzić niż ciemnym. Poza tym mniej cenił wiedzę empiryczną, a bardziej intuicyjno-kontemplacyjną. Ale jedna z jego obserwacji socjologicznych zasługuje na szczególne uznanie i warto ją zacytować. *„Jeśli ludzie bogaci i na wysokich stanowiskach są aroganccy* — czytamy w biblii taoizmu — *zdążają ku nieuniknionej zgubie"*.

W dzisiejszych Chinach życie religijne nie odgrywa dużej roli. Ateizm marksistowski nie napotkał tu silnej opozycji, ponieważ konfucjanizm, taoizm i buddyzm nie znają pojęcia transcendentnego Boga. Z poglądami religijnymi trzeba było walczyć z innych względów. Pewne przesądy hamowały rozwój społeczny, a moralizm sprzyjał woluntaryzmowi. Nawet wybitni przywódcy komunistyczni naiwnie przeceniali znaczenie moralności rewolucyjnej; wydawało im się, że zdyscyplinowani Chińczycy dokonają „wielkiego skoku" i szybko zlikwidują zapóźnienia cywilizacyjne.

Religia chińska kształtowała również świadomość społeczną Wietnamczyków. Jeszcze w XIII wieku panował w Wietnamie buddyzm, lecz później ustąpił miejsca konfucjanizmowi. Współczesny uczony wietnamski, Nguyen Khac Vien, zwraca uwagę, że ruch konfucjanizmu miał niemały wpływ na komunistycznych działaczy rewolucyjnych. Podkreśla on, że chociaż dziś nie ma sensu wskrzeszać konfucjanizmu, to jednak marksiści uznają go za spuściznę narodową, którą nowe społeczeństwo powinno sobie przyswoić.

10843-A

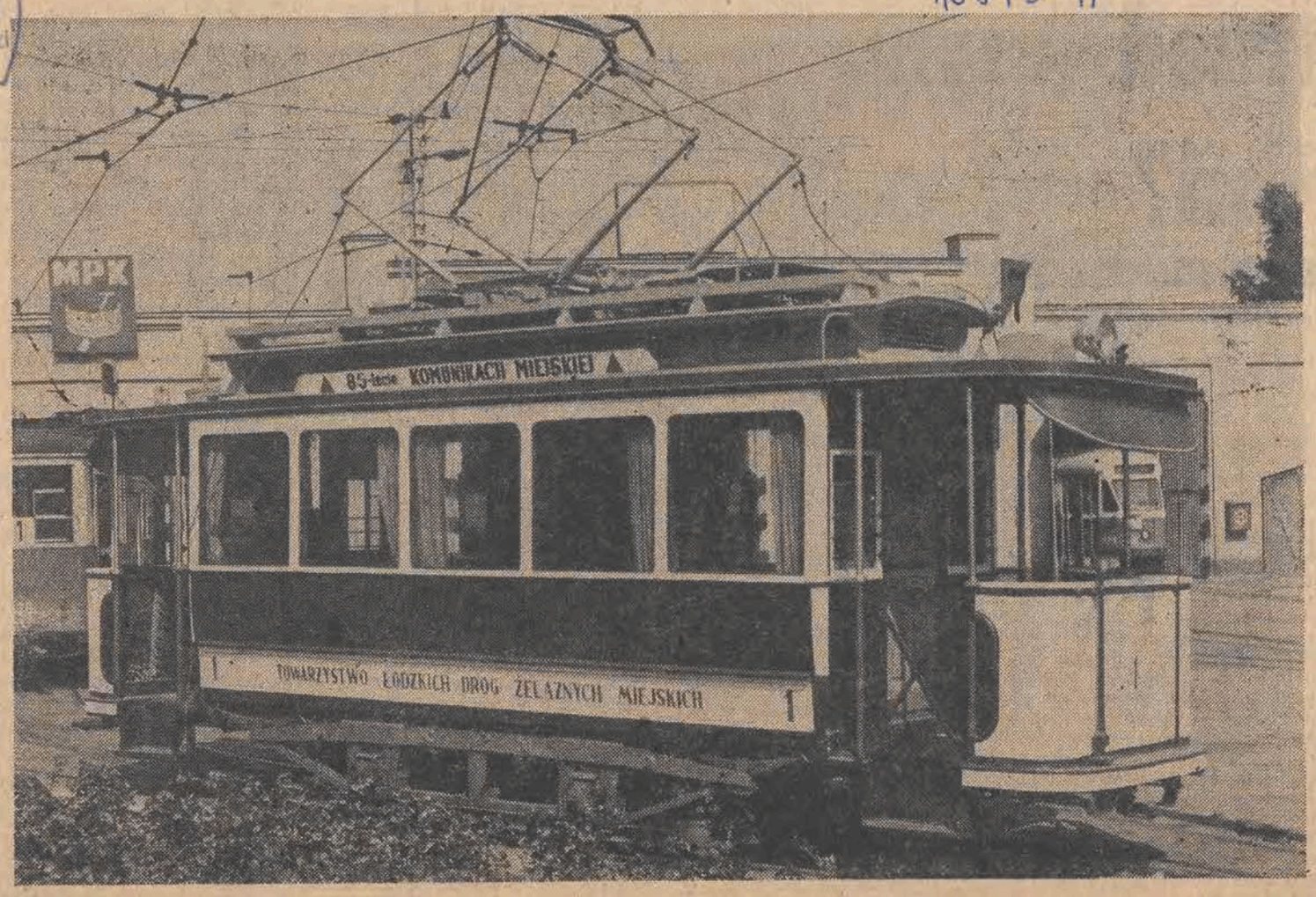

Tramwajów starych czar

Dokończenie ze strony 1

Do zielonego Helenowa

Ze względu na to ze znaczną część mieszkańcow Łodzi na początku wieku stanowili analfabeci poszczególne linie oznaczano kolorami Później, gdy przybywało linii i zaczęło brakować kolorów zasadniczych wprowadzono oznaczanie dwukolorowe. Na przykład „7" z Górnego Rynku do dworca Łódź-Fabryczna miała kolory biały i czerwony.

Początkowo tramwaj elektryczny był atrakcja, gdzie zakochani zapraszali swoje sympatie w niedziele na przejażdżkę. W dni powszednie tramwajami jeździli przemysłowcy, inteligencja, przedstawiciele wolnych zawodów, majstrowie z zakładów włókienniczych. Dla robotników tramwaj był za drogi.

Przed pierwszą wojna światową bilet kosztował 5 kopiejek za miejsce w wagonie drugiej klasy. Wagon pierwszej klasy miał firanki i miękkie poduszki na siedzeniach, a za przejazd płaciło się 8 kopiejek — średnie zarobki wysoko wykwalifikowanego robotnika wynosiły miesięcznie około 50 rubli. Funt chleba kosztował 3 kopiejki, funt słoniny 20 kopiejek funt kartofli 15 kopiejek.

Drogie bilety, krótkie linie prowadzące przez centrum miasta obliczone na przewiezienie największej liczby pasażerów dawały w efekcie zysk właścicielom KEŁ. Już w pierwszym tygodniu działalności wyniósł on ponad 2 tys. rubli po pierwszym roku zaś prawie 114 tysięcy.

Niektóre przepisy dla pasażerów KEŁ mogą wywoływać dziś tylko uśmiech. Zezwalano na przykład na otwieranie okien, ale tylko z jednej strony, zwróconej w kierunku wiatru. Wstępu do tramwajów nie miały osoby nieodpowiednio ubrane jak na przykład malarze, murarze, handlarze naftą i śledziami. Na platformie stać mogło tylko osób siedem.

Policmajster Łodzi Józef Chrzanowski podał przy pomocy prasy zasady ruchu kołowego na ulicach po których miały kursować tramwaje. Postanowił mianowicie, „że wszystkie pojazdy powinny *trzymać się zawsze prawej strony i w żadnym razie nie wjeżdżać na szyny. Woźnice powinni zwracać baczną uwagę na sygnały tramwajów, bowiem tramwaj obowiązany jest zatrzymać się tylko przy spotkaniu konduktu pogrzebowego i straży ogniowej*".

Oprócz tego policmajster poinformował mieszkańców Łodzi, że „*wydał polecenie powiększenia posterunków policyjnych na najruchliwszych skrzyżowaniach w pierwszych dniach funkcjonowania nowej komunikacji dopóki publiczność nie oswoi się z prawidłowym ruchem*".

Jazda wozów po szynach szczególnie mocno dawała się we znaki tramwajarzom. Łódzkie ulice były wtedy pełne dziur i wybojów, tak że woźnice chętnie prowadzili wozy po gładkich torach, które załamywały się pod ciężarem fabrycznych furgonów. Sprawą tą wielokrotnie i bezskutecznie zajmowały się władze miasta.

Pomimo surowych przepisów ruchu drogowego już pięć dni po uruchomieniu pierwszej linii zdarzył się wypadek. „*O godz. 9.00 przed Grand Hotelem wskutek nieustąpienia drogi, tramwaj uderzył w dorożkę i przewrócił ją. Dorożkarz odniósł pewne obrażenia, ale najpierw zabrano go do cyrkułu, a dopiero potem odwieziono do szpitala. Pasażer wyszedł z tej przygody bez szwanku*".

Z pierwszych lat istnienia Kolei Elektrycznej Łódzkiej pochodzi taka oto ciekawostka. 22.09.1902 roku „Rozwój" informował, że dwóch mieszkańców Łodzi założyło się o 300 rubli z przeznaczeniem ich na cele dobroczynne, czy można w ciągu miesiąca zebrać 100 tys. zużytych biletów tramwajowych. Nie wiemy kto wygrał zakład. W momencie gdy Rozwój" podał te informacje zebrano już ponad 83 tys. biletów.

W tym miejscu wspomnieć należy o dwóch obrazkach obyczajowych, które można spotrzyć wspólnym tytułem „tramwaj a honor osobisty". W roku 1899 policjant pobił maszynistę Walewskiego za to, że śmiał na niego zadzwonić gdy ten stał na szynach. W drugim zaś przypadku dowódca garnizonu łódzkiego wydał w październiku tegoż roku rozkaz nr 23. Dowódcy doniesiono, że niższe rangi wojskowych pozwalają sobie na jeżdżenie tramwajami wewnątrz wagonów, kiedy znajdują się tam panowie oficerowie. W związku z tym rozkazał on zakomunikować niższym rangom, że zezwala się im na jeżdżenie tramwajami w wyjątkowych wypadkach i tylko na platformie.

Przeciwko tramwajom czynnie występowali dorożkarze, którzy w momencie uruchomienia komunikacji miejskiej stracili wiele intratnych kursów. Jeździli na przykład wolno wzdłuż ulicy Piotrkowskiej wypatrując pasażerów. Gdy *zobaczyli zbliżający się do przystanku tramwaj, zatrzymywali się tak, aby nie wpuścić do niego ludzi*. W skrajnych przypadkach praktyka ta prowadziła do najeżdżania na wsiadających pasażerów. Z kolei dorożkarze zamieszkali wzdłuż linii widzewskiej podkładali wieczorem na szynach duże kamienie i kłody drewna.

Nie przeszkodziło to jednak rosnąć tramwajom w siłę. Doszło nawet do tego, że kamienicznicy pragnęli finansować budowę torów przy swoich domach, aby podnieść czynsz za mieszkania. Tak projektowali m.in. właściciele kamienic ulicy Nowo-Cegielnianej (Więckowskiego) i przy pasażu Szulca (1 Maja). Wiele mieszkań w tych budynkach przez pewien czas stało pustych z powodu komunikacji i dużej odległości od centrum.

Ówczesny tramwajarz obowiązkowo musiał mieć wąsy. Mężczyzna bez wąsów przepadał na służbie. Nie liczył się w towarzystwie. W pracy nosił mundur koloru marengo z zielonymi wypustkami na rękawach, spodniach i na kołnierzu. Kołnierz był stojący, zapinany na haftkę. Czapka czarna, wysoka, z krótkim daszkiem. Nad daszkiem numer służbowy a wyżej godło, carski orzeł a u samej góry pioruny. Był zawsze elegancki, dokładnie wygolony. Dwa rzędy po sześć mosiężnych guzików na mundurze lśniło mu tak że aż ich blask raził w oczy. Tramwajarz musiał umieć pisać i znać przynajmniej w mowie, dwa języki — polski i rosyjski.

„*Do Wielmożnego Pana Inżyniera Kolei Elektrycznej Łódzkiej... Uprzejmie proszę Wielmożnego Pana Inżyniera o łaskawe przyjęcie mnie na posadę konduktora niedzielnego. Włożone na mnie obowiązki będę spełniał gorliwie z całą sumiennością. Pozostaję z szacunkiem... Łódź dn. 10.04. 1910 r.*". Tak zaczynało się karierę w zawodzie tramwajarza. Praca w sobotę i w niedzielę była swego rodzaju okresem próbnym. Jeżeli kandydat się sprawdził i akurat zwolniło się miejsce, to mógł awansować na konduktora następnie na motorniczego, a w końcu na kontrolera. KEŁ rekrutowały stałych pracowników wyłącznie spośród osób zatrudnionych najpierw w niedzielę.

Tramwajarze to była robotnicza elita. Wystarczyło nosić mundur, aby wszystkie towary w każdym sklepie otrzymać na borg. Nie groziły im zwolnienia w związku z kryzysami. Komunikacja potrzebna jest zawsze. Ponadto stosunkowo dobrze zarabiali. Przed przyjęciem do pracy musieli wpłacić kaucję: motorniczowie 25 rb, konduktorzy 50.

Cytowany już „Rozwój" doniósł, że prowadzone za granicą obserwacje motorniczych dowiodły, iż zapadają oni na wiele chorób zawodowych, w tym między innymi na chorobę stawu nogi, która naciskają dzwonek elektryczny, ostrzegający przed nadjeżdżającym tramwajem. Innym razem ta sama gazeta prosiła „*o nie wygrywanie na tychże dzwonkach „skocznych melodii" (...) ponieważ wpływa to ujemnie na nerwy pasażerów*". Kiedy indziej rozeszła się plotka, że na tramwajach będą zakładane piorunochrony, co szybko zdementowała łódzka prasa.

Prawdopodobnie były trudności z regularnością kursów, bowiem aby motorniczowie przestrzegali punktualności wydano zarządzenie — że za każdą wcześniejszą minutę przyjazdu na krańcówkę będą płacili 5 kopiejek.

Ciężkie życie mieli też konduktorzy. Musieli bardzo uważać na pasażerów, gdyż jeśli kontroler złapał któregoś z nich bez biletu, to płacił nie gapowicz, lecz właśnie konduktor. W tramwajach zaczęli operować złodzieje. Najczęściej obcinali brzytwami paski od torby konduktorskiej, którą zabierali wraz z zawartością.

W 1907 roku „Rozwój" informował: „*Wczoraj do szpitala Czerwonego Krzyża przywieziono konduktora, pobitego w nieludzki sposób kułakami i kolbą od browninga, z zemsty za to, że przed paroma miesiącami wysadził z tramwaju pasażera jadącego bez biletu*".

Były też tramwaje świadkami dziwnych wydarzeń jak na przykład to: „*W sobotę ok. godz. 12.30 w południe, tramwajem przechodzącym ul. Miłszą (Kopernika) jakaś kobieta wiozła trup dziecka, widok którego czynił na jadących przygnębiające wrażenie*".

Innym razem „*jeden z tutejszych zagorzałych cyklistów urządził sobie wyścig z tramwajem snać w porozumieniu z maszynistą. Na dystansie ulicy Piotrkowskiej od Dzielnej do Benedykta (22 Lipca) maszynista tramwajowy nędzi z dużą szybkością, walcząc o pierwszeństwo z cyklistą, który dojechawszy jednocześnie z tramwajem do ulicy Benedykta wpadł między tramwaj i dorożkę i cudem prawie ocalał*".

Historia nie poskąpiła tramwajom również krwawych zamachów. W 1905 roku zastrzelony został w tramwaju wielki fabrykant Kunitzer. Oto relacja motorniczego: „*Jadąc z Widzewa kursem o godzinie 6.00, gdy przyjechaliśmy do ulicy Nawrot usłyszałem 3 strzały. Zeskoczyłem z wagonu i poleciałem do tylnego wagonu. Zobaczyłem pana Kunitzera leżącego na peronie. Ja i jakiś pan żołnierz wzięliśmy pana Kunitzera za ręce i zanieśliśmy do przejeżdżającego powozu. Gdy kładliśmy go na siedzeniu to jeszcze żył ale już nic nie mówił, więc ten pan wsiadł do tego powozu i kazał woźnicy jechać na Stację Popotowia, a ja obejrzałem wagon. Wszystko było w porządku, więc podałem sygnał konduktorowi do odjazdu i pojechałem dalej, o czym mam zaszczyt donieść Wielmożnemu Panu Dyrektorowi*".

Akcjonariuszami Kolei Elektrycznych Łódzkich byli wielcy fabrykanci — Juliusz Kunitzer — inicjator i kierownik grupy, Zenon Anstadt, Alfred Biedermann, Emil Gayer, Juliusz Teodor Heinzel, Henryk Grohman.

Łódzkie tramwaje były pierwszymi tramwajami elektrycznymi na ziemiach ówczesnego Królestwa Polskiego, a Łódź bodajże czwartym miastem Cesarstwa Rosyjskiego posiadającym taką trakcję. Przedsiębiorstwo nosiło nazwę — Koleje Elektryczne Łódzkie. Kilka lat po tym otwarto firmę — Łódzkie Wąskotorowe Koleje Podjazdowe, którego tramwaje kursowały na liniach podmiejskich. Taka sytuacja — istnienia na naszym terenie dwóch niezależnych przedsiębiorstw tramwajowych — utrzymała się do roku 1948, kiedy to przedsiębiorstwa połączyły się tworząc Miejskie Zakłady Komunikacyjne. Dzisiejsze MPK powstało w 1951 roku.

Tyle wspomnień o łódzkich tramwajach, odpisanych z materiałów zebranych przez pana mgr Wojciecha Źródlaka i z jego pracy magisterskiej pt. „Komunikacja tramwajowa w Łodzi w latach 1898—1914". Pan Wojciech Źródlak jest pracownikiem Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego a jednocześnie opiekunem Towarzystwa Miłośników Komunikacji Miejskiej. Nazwa nie jest najszczęśliwsza. Nie oznacza miłości do naszego MPK, lecz szacunek dla tradycji, umiłowanie historii komunikacji.

W Towarzystwie można spotkać niezwykłych pasjonatów. Potrafią oni na przykład stać ze stoperem w ręku na przystanku i obliczać częstotliwość kursowania tramwajów. Jeden z nich, 16-letni miłośnik komunikacji z Warszawy odrysował układ torów zajezdni tramwajowej w Bydgoszczy. Nie spodobało się to strażnikom. Hobbista musiał tłumaczyć się ze swych zainteresowań w komisariacie. Właśnie ci ludzie chcą zorganizować w Łodzi Muzeum Komunikacji.

Dzięki pracownikom Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacji udało się zachować najliczniejszy w Polsce zbiór taboru z okresu międzywojennego. Mało tego. Jest on w miarę możliwości stopniowo restaurowany. Najcenniejszym zabytkiem, pojawiającym się od czasu do czasu na ulicach miasta, jest wagon motorowy typu „Herbrandt — VNB-125" (na zdjęciu) wyprodukowany jeszcze przed pierwszą wojną światową. Łódzki „Juventur" obwozi po mieście wycieczki tramwajem „Lilpop III". Pierwszy wagon wyprodukowany przez znaną warszawską firmę „Lilpop — Rau — Lowenstein" wszedł do eksploatacji na liniach Kolei Elektrycznej Łódzkiej 24.V.1939 roku, ostatni wycofano w lutym 1975. Do końca jeździły na trasie 6, 7, 23. Pamiętamy je po swoistym kominku, na którym umieszczony był numer linii.

Idea Muzeum powstała na początku lat siedemdziesiątych w związku z opracowaniem założeń programowych Parku Kultury i Wypoczynku na Zdrowiu oraz planowanej likwidacji zabytkowej zajezdni tramwajowej na Brusie, która stałaby się bazą przyszłego Muzeum. Zajezdnie te wybudowano w 1910 r. i pozostała do dziś w nie zmienionym stanie.

Siłą rzeczy gromadzone są zabytki komunikacji tramwajowej waskotorowej z takich miast jak — Bydgoszcz Toruń, Elbląg, Grudziądz i oczywiście Łódź. Podobno w Bydgoszczy zachował się jeszcze oryginalny tramwaj konny, który po uroczystościach 100-lecia tramwajów w tym mieście zostanie prawdopodobnie przekazany do Łódzkiego Muzeum.

Zabytkowe tramwaje będą jeździć wokół Parku Ludowego. Na początek od krańcówki 9 na Zdrowiu do krańcówki na ulicy Biegunowej przy cmentarzu na Mani. W dalszych planach (bardzo dalekich) — znajduje się połączenie tych dwóch pętli trasą przez park wzdłuż ulicy Jarzynowej. Przy trasie staną zabytkowe przystanki tramwajowe, poczekalnie. Pierwszy krok już uczyniono. Podjęto bowiem decyzję o przeniesieniu zabytkowej poczekalni ze Zgierza na krańcówkę dziewiątki na Zdrowiu. Na trasie sprzedawane będą bilety — kopie biletów używanych przez KEŁ w okresie przed pierwszą wojną światową lub w okresie międzywojennym.

Myślę, że kiedy przyjdzie stosowna pora łodzianie pomogą w urzeczywistnieniu idei Muzeum Komunikacji.

MAREK MAMOS

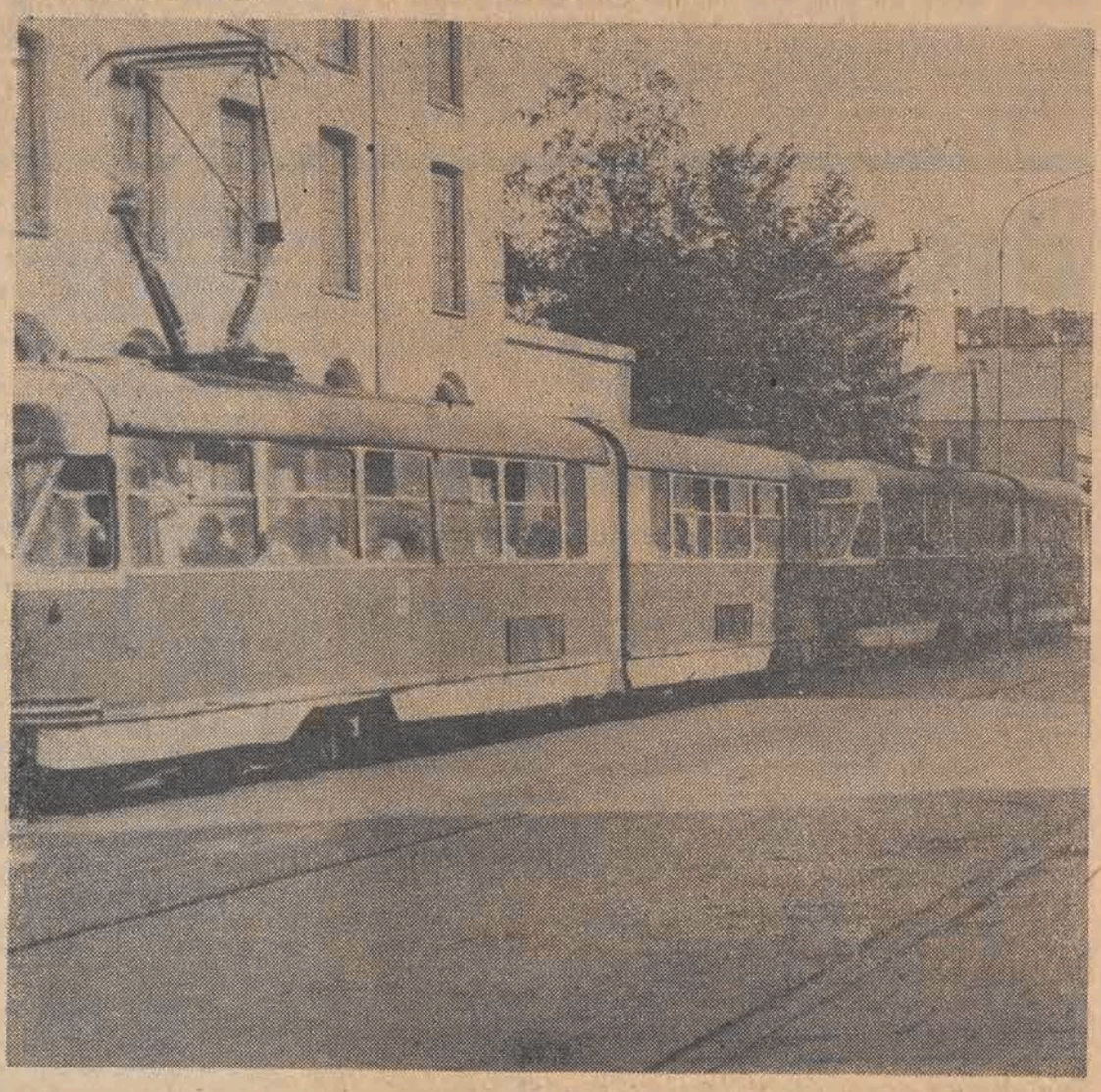

Foto: Mirosław Zajdler

Kto i przed czym (1) nas obroni?

Niedawno w Centralu przy stoisku spożywczym ustawiła się ogromna, trzykrotnie zawinięta kolejka — znak, że pojawił się jakiś atrakcyjny towar. Z nadzieją, że jest to być może koncentrat pomidorowy ustawiłam się i ja. Okazało się jednak, że to nie koncentrat, tylko... płatki kukurydziane. Ten produkt jest w wielu sklepach, jeśli nie w ciągłej sprzedaży, to dosyć często i nie budzi większych emocji kupujących. Tym razem były to jednak płatki zagraniczne, w dużych, bardzo kolorowych pudełkach. Ich wygląd, smak, a także, jak wynikało z informacji na pudle, skład były dokładnie takie same, jak płatków produkcji polskiej. Były jednak droższe i — oczywiście ładniej opakowane. Gdyby więc klienci w sposób świadomy godzili się ponieść wyższe koszty z uwagi na estetykę (w tym przypadku bez żadnego praktycznego znaczenia) — to wszystko w porządku. Ale wielu od razu wyrzucało pudła, przekładając do siatek i koszyków płatki w zwykłych, plastykowych woreczkach. A więc nie o urodę opakowania chodziło. Można przypuszczać, że kupujący sądzili, iż płacąc drożej, otrzymają towar o wyższych walorach smakowych, odżywczych, po prostu lepszy jakościowo.

Ekspedientki być może orientowały się, że płatki nie różnią się od polskich, trudno jednak wymagać, aby nie proszone udzielały tego rodzaju informacji. Jest rzeczą wielce prawdopodobną, że nawet gdyby któraś podjęła taką próbę, spotkałoby się to z podejrzliwością klientów, którzy od lat — z rozmaitych przyczyn — stracili zaufanie do handlu.

Płatki są przykładem drobnym, bywa jednak, że klient poszukujący jakiegoś towaru, który akurat znajduje się na rynku we względnej obfitości, kupuje artykuł droższy, sądząc, że za wyższą ceną kryje się także wyższa jakość, co nie zawsze jest prawdą, bądź też, w przypadku cen zbliżonych, ma poważne trudności z wyborem.

Jeśli nastanie czas, gdy w sklepach będzie nie tylko kilka gatunków keczupów, lecz także bogaty wybór artykułów przemysłowych — trudności takie zdarzać się będą coraz częściej. Stworzy to także pole do rozmaitego rodzaju oszustw bowiem nawet gdy półki się zapełnią, klienci, po długich latach chudych, łatwo dadzą sobie „wcisnąć" rozmaite nie najlepsze i nie zawsze bardzo potrzebne przedmioty przy pomocy kolorowego opakowania bądź nieuczciwej reklamy.

Jest to zresztą sytuacja doskonale znana w krajach bogatych, gdzie kłopoty rynkowe wiążą się nie z brakiem, lecz z nadmiarem towarów w sklepach. Tam też od lat działają rozmaite organizacje konsumenckie których zadaniem jest m.in. pomoc klientom w wyborze towarów, ochrona przed nabywaniem rzeczy złej jakości, przed nadmiernym nabijaniem kiesy prywatnym przedsiębiorstwom handlowym, informacja o wadach i zaletach towarów nowych, ciągle pojawiających się na rynku, pomoc w ewentualnych sprawach spornych, wynikających w czasie zakupów.

Do takich kłopotów z nadmiarem u nas jeszcze daleko, choć, jak już wspomniałam, trudności z wyborem, a zwłaszcza brak dokładnych informacji o cechach jakiegoś artykułu, zdarzają się także. Czy jest więc i u nas potrzeba powołania organizacji konsumenckiej — chroniącej konsumentów?

Ruch taki rozpoczął się niedawno; a jednym z jego inicjatorów był tygodnik „Veto", ukazujący się od trzydziestu miesięcy. Jego utworzeniu przyświecało słuszne twierdzenie, że i w kryzysie — a może nawet zwłaszcza w kryzysie — nie może być tak, aby producenci mogli wypchnąć do handlu, a za jego pośrednictwem do konsumenta każdy bubel za każdą cenę, aby sprzedawcy przekształcili się w feudalnych szafarzy dóbr, a biedni konsumenci musieli się ze wszystkim godzić. Skoro więc nie ma nas (konsumentów) kto bronić — to brońmy się sami. Powstały więc w wielu miastach organizacje, których celem jest ochrona i obrona interesów konsumentów, powstała nawet federacja tych organizacji.

Organizacja łódzka nosi nazwę Związek Obrony Konsumentów i mieści się w samym centrum miasta, przy ulicy Piotrkowskiej, tuż obok Urzędu m. Łodzi. I działa. Jak? Zanim trafiłam do ZOK opinii na ten temat zasięgałam u tych, którzy we własnym interesie powinni być najbardziej tą sprawą zainteresowani, a więc u klientów w rozmaitych sklepach, a także wśród przedstawicieli handlu, którzy, jak sądziłam powinni mieć już doświadczenia w kontaktach z ZOK, kontaktach, dodajmy nawiązanych z inicjatywy tych ostatnich, oczywiście w interesie konsumentów.

TYLKO Z TELEWIZJI

Teresa Gumińska, dyrektor Wydziału Handlu Urzędu m. Łodzi: Działalność Związku Obrony Konsumentów traktujemy jako pomoc w naszej pracy. Nie ma na razie efektów tej współpracy, którymi moglibyśmy się pochwalić, bo trudno tu zaliczać jednostkowe sprawy interwencyjne, które, na prośbę związku, załatwiliśmy. Spodziewamy się jednak — a raczej liczymy na to, że wreszcie doczeka się rozwiązania sprawa o którą i związek, i my, jako administracja wspólnie walczymy, mianowicie formalne uznanie kolejek społecznych, choćby tylko w Łodzi, nawet okresowo, tytułem eksperymentu. Sprawa ciągnie się ponad rok, zjawisko takie istnieje, a w świetle obecnie obowiązujących przepisów możemy tylko udawać, że nie widzimy tego problemu. Jeśli wreszcie uda się coś osiągnąć — będzie to można uznać za efekt, ważny nie dla indywidualnej osoby, lecz dla szerej grupy konsumentów.

Zapraszamy przedstawicieli ZOK na rozmaite narady, np komisji do walki ze spekulacją, do spraw rynku, na ich prośbę dostarczamy im materiały zbiorcze, dotyczące zaopatrzenia, dystrybucji. Jak sądzę, ułatwia im to pracę i pozwala łatwiej wytłumaczyć klientom wiele spraw, z którymi zwracają się do związku.."

Marek Kamiński, kierownik „Magdy" — „Myślę, że klientom taka organizacja na pewno się przyda, w przyszłości, bo jak na razie to ani ich widać, ani słychać, chyba za mało energicznie działają? Np. w naszej placówce nie pojawili się, przynajmniej oficjalnie, w żadnej sprawie. Nie sądzę, aby działalność takiej organizacji była teraz czy, w przyszłości dodatkowym utrapieniem dla handlu, o ile nie przekształci się w jakąś kolejną kontrolę, poszukującą wszędzie złodziei i spekulantów".

Mirosława Frakowska, kierowniczka sklepu z artykułami gospodarstwa domowego: „Nie miałam kontaktów z ZOK, wiem o nich tyle, co z gazet i z telewizji. Wydaje mi się że obecnie istnieją dość dobre przepisy, korzystne dla klientów w przypadku np. reklamacji. Istnieją również w każdej placówce handlowej społeczne komitety sklepowe. Pomagają nam — a i klienci mogą się do nich zwracać w każdej sprawie dotyczącej zaopatrzenia placówki, niewłaściwej obsługi lub w innych, konfliktowych sprawach".

Z pytaniem, co sądzą o działalności Związku Obrony Konsumentów zwracałam się jeszcze do wielu przedstawicieli handlu — kierowników i sprzedawców w sklepach spożywczych i z artykułami przemysłowymi. Odpowiedź z reguły była taka sama: do nas nie trafili, wiem o nich tyle, co z telewizji. Jak są, to niech już będą, jak będą rozwijać działalność, to zobaczymy, co z tego wyjdzie, na razie nie można nic powiedzieć. Przytoczę jeszcze jedną wypowiedź szefa przedsiębiorstwa handlowego — bez danych, bowiem do publikacji tej wypowiedzi nie zostałam upoważniona: „Jest potrzebna jakaś organizacja, pomagająca zorientować się w rozmaitych przepisach, zarządzeniach, w tym, jakie klient ma prawa, a czego dochodzić nie powinien, bo i tak nie wygra, w czym nie ma racji. Niektórzy ludzie czują się w takich sprawach bardzo zagubieni. Powinna to jednak być organizacja rzetelna, jednolita, nie tak podzielona, jak obecnie. I działać z myślą o konsumentach — a nie po to, aby udowodnić własną ważność.

Zdarzyło się, że działacze ZOK mieli zastrzeżenia do pracy jakiegoś sklepu. Nie wiedziałem o tym do czasu, aż zwróciła się do mnie o wyjaśnienie komisja do walki ze spekulacją. Dlaczego sprawa od razu trafiła tam — a nie najpierw do mnie? Na dodatek okazało się, że chodzi o sklep należący do innego przedsiębiorstwa, co łatwo było ustalić na miejscu. Trafiali do mnie także z innymi sprawami — na ogół jednostkowymi. W miarę możliwości załatwialiśmy je, choć, pozostając w zgodzie z przepisami, nie wszystkie musieliśmy załatwić. ZOK jednak stoi na stanowisku, że — bez względu na to, kto ma rację, lepiej, aby stracił handel niż klient.."

W OBAWIE PRZED BIUROKRACJĄ

Podobnie jak większość handlowców — również i większość konsumentów nie miała osobistych kontaktów z ZOK, a działalność tej organizacji zna jedynie z prasy. Wielu również nie potrafiło odpowiedzieć na pytanie, czy organizacja ta jest potrzebna, ani jak powinna wyglądać jej działalność. Choć wśród moich rozmówców znaleźli się i entuzjaści ruchu konsumenckiego — ale także jego przeciwnicy.

Ci pierwsi mówili m.in. o tym, że co prawda istnieją przepisy, regulujące stosunki handel — klient, ale po pierwsze jest ich sporo, nie wszystkie jasne, nie wszyscy klienci muszą je znać. I w takich przypadkach właśnie organizacja konsumencka powinna służyć pomocą — informować, wyjaśniać. Ponadto — przepisy są często niedoskonałe, w niektórych przypadkach chroniące handel, nie kupującego. I właśnie związek konsumentów powinien być tym miejscem, do którego można zgłaszać propozycje zmian. Nie dotyczy to zresztą tylko przepisów, lecz także np. zasad organizacji pracy w handlu, sposobu dzielenia na poszczególne grupy konsumentów towarów, których nie wystarcza dla wszystkich chętnych, propozycji objęcia jakichś artykułów cenami urzędowymi lub regulowanymi itp. Jeśli propozycje dotyczące jakiegoś tematu będą się powtarzać — związek powinien występować do odpowiednich instytucji z wnioskiem o rozwiązanie sprawy.

Uważam że ruch konsumencki powstał w słusznej sprawie, z autentycznej, społecznej potrzeby — stwierdził jeden z rozmówców. Ale nie wydaje mi się, aby w najbliższym czasie przyniósł on większe korzyści. Owszem, pomóc komuś w indywidualnych sprawach — tak, ale czy taka organizacja, w dużej mierze oparta o społeczną pracę grupy ludzi — ma jakikolwiek wpływ na pracę handlu, na to, co dzieje się w zakładach produkujących na rynek, na decyzje podejmowane w urzędach administracji państwowej różnych szczebli? Mogą tylko proponować, wnioskować — bez żadnej możliwości podjęcia decyzji, bez sankcji. Może w przyszłości, gdy ruch umocni się, gdy powstaną odpowiednie przepisy, stwarzające możliwość bardziej skutecznej działalności. Tylko, że wtedy — *można przypuszczać* — obecni działacze stracą już zapał, przybędzie pracowników etatowych i nie będzie to już ta sama organizacja. Przekształci się w instytucję, taką samą jak wiele innych...

Przeciwnicy ruchu konsumenckiego — czy może raczej osoby jeszcze do niego nie przekonane — często podkreślały właśnie podobne niebezpieczeństwo zbiurokratyzowania się tej formy samoobrony konsumentów. Charakterystyczna — choć bardzo ostra w formie — jest tu wypowiedź jednej z kobiet: „Po co nam kolejna instytucja, chyba tylko po to, żeby ktoś mógł zostać dyrektorem. Jeśli właściwi ludzie z odpowiednim przygotowaniem fachowym, uczciwi i rzetelni, pracować będą w handlu, w administracji, jeśli załogi zakładów produkujących buble będą na tym tracić, to i nikt nie będzie musiał bronić konsumentów. Nie osiągnęliśmy jeszcze takiego stanu — ale też i nie mam gwarancji, że właśnie w ruchu konsumenckim działać będą wyłącznie ci najmądrzejsi i najuczciwsi. Lepiej chyba starać się o doskonalenie struktur już istniejących, niż tworzyć nowe. A jeśli idzie o czynnik społeczny — to rolę taką może i powinna z powodzeniem odgrywać odpowiednia komisja rady narodowej. Będzie przynajmniej gwarancja, że jest to działalność rzeczywiście czysto społeczna, w interesie konsumentów, a nie po to, aby zaczynając od społecznika, zostać w końcu etatowym pracownikiem na kierowniczym stanowisku...

Z wypowiedzi zarówno klientów, jak i handlowców nasuwa się przede wszystkim wniosek, że działalność Związku Obrony Konsumentów jest nadal mało znana, co wynikać może zarówno z faktu, iż organizacja jest bardzo młoda i nie zdążyła się jeszcze „rozkręcić", może również nasuwać przypuszczenia, że autoreklama związku jest niezbyt właściwa i źle ukierunkowana albo też działalność idzie nie w tym kierunku, jakiego oczekiwaliby przeciętni konsumenci, słowem od początku staje się zbyt elitarna.

Symptomatyczny również wydaje się fakt, że wiele osób, z którymi rozmawiałam, wśród nich także i ci, którzy deklarowali się jako zwolennicy ruchu konsumenckiego, nie bardzo wierzą w możliwość uzyskania tą drogą jakiejś znaczącej — odnoszącej się nie do jednostkowych przypadków — poprawy sytuacji konsumentów. Często i jedni, i drudzy wyrażali również obawę o zinstytucjonalizowanie i zbiurokratyzowanie się w przyszłości ruchu, który w założeniu jest ruchem społecznym.

Czy są już obecnie symptomy wskazujące iż wszystkie te obawy i zastrzeżenia mogą się wkrótce potwierdzić, jakie są faktyczne efekty pracy ZOK i jak je widzą jego działacze? Odpowiedzi na te pytania spróbujemy udzielić w następnym materiale.

TERESA JERZYKOWSKA

Być harcerzem?

Święte oburzenie harcerzy z Opola Lubelskiego, co to 29 października w audycji „Cztery pory roku" broniąc się dzielnie przeciwko zarzutowi pozostawienia po letnim obozowisku nad rzeką istnego wysypiska śmieci, obarczyli całą winą nieszczęsne lisy, które jakoby rozkopały starannie przez nich zamaskowane puszki, papiery i tym podobne śmieci — zainspirowało mnie do niniejszego felietonu.

Gdzież się podziały chlubne tradycje najstarszej w Polsce organizacji dziecięco-młodzieżowej. Prawda, iż harcerz nie pali, nie pije, nie kłamie — dawno już poszła do lamusa. A szkoda! Postęp wszakże objął wiele dziedzin życia, ale szczerze mówiąc wolałbym, aby to dotycząca idei samego harcerstwa, ich sposobu na życie, pozostała nie zmieniona. Tymczasem nic z tego!

Mój przyjaciel wielokrotnie miał okazję obserwować z bliska życie obozowe harcerzy. Nie, nie jest członkiem ZHP, ale tak się składa, że okresowo również para się wychowywaniem nieletnich. Jest kierownikiem kolonii. I chyba to jakiś przypadek być może nawet dzieło chochlika, że tam, gdzie sąsiadował z jego placówką obóz harcerski, zawsze miał problemy z utrzymaniem własnych „przestarzałych" koncepcji i metod. Buntowali się wychowawcy, bo nie mogli nawet kufla piwa wychylić ani iść wieczorem na tańce do pobliskiej knajpki. A z obozu często późno w noc dochodziły odgłosy wesołej, trunkowej zabawy kadry. Sam spotykał harcerską młodzież płci obojga żłopiącą piwo pospołu z instruktorami, spacerującą z papierosem samopas po miasteczku o różnych porach dnia. Być może wypełniano w tych chwilach jakieś doniosłe, ciekawe zadania, na których on, postronny widz absolutnie wyznawać się nie mógł.

Podległa jego opiece dzieciarnia bezustannie suszyła mu głowę o czas wolny nie kontrolowany, w którym mogłaby hasać po okolicy, ale jakoś był nieubłagany i nie dał się wciągnąć w żadne „nowinki" pedagogiczne. Przyznał mi się jednak szczerze, iż widok całych zastępów harcerskich, bodajże dwa lub trzy lata temu w Żerkowie koło Jarocina, schodzących gęsiego z wysokiej góry na posiłki do knajpy w ryneczku, dzwoniących wesoło naczyniami, przybornikami podczas prawie że nie kończącej się wędrówki, przypomniał mu jak przez mgłę własne harcerskie czasy — dym z ogniska, przypaloną zupę z kotła, kąpiele w zimnym strumyku. „Jego dzieciaki" też spozierały z zazdrością przez okna jadalni na wędrowników. Biedne, w ciszy, spokoju, ze świeżo wypucowanymi buziami, czystymi rękoma, zasiadały regularnie do posiłku. Jednak jestem niedzisiejszy, nie nadążam za duchem przemian — mówił mi później. Maluchy patrzyły na mnie z niemym wyrzutem. Co ja od nich chcę? Przecież są wakacje, pora wypoczynku. A one muszą przestrzegać jakichś zasad, wykonywać prace społeczne. Po co im wyszukiwać ludzi potrzebujących pomocy, jeździć na wycieczki. To dobre, ale w szkole. Podczas wakacji tylko piłka i basen. Wymęczyły się dzieciaki, w końcu i jemu się oberwało. W połowie turnusu zrobiła mu awanturę kierowniczka kawiarni w Żerkowie. — To wasze smarkacze pokradły mi popielniczki, wazoniki, pocięły żyletkami obicia foteli, wczoraj robiły sobie wieczorek pożegnalny! Długo musiał tłumaczyć, że jego kolonia nigdzie nie wyjeżdżała, turnus dopiero dobija półmetka. To harcerze tego ranka odjechali, a wczoraj widział ich, jak barwnie poprzebierani schodzili ze swojej góry żegnać miasto.

Tego lata sam osobiście miałem okazję zetknąć się z nowoczesnym harcerstwem. Do pociągu w Kolumnie wsiadła hałaśliwa grupa w szarych mundurkach, takie „dorastające małolaty", z plecakami oczywiście, tyle że także z papierosami. Palili, palił także niewiele starszy od nich opiekun. A jakim słownictwem się posługiwali, nie będę pisał.

Czego więc uczy harcerstwo? Jaką rolę spełnia kadra? Przecież powinni to być ludzie specjalnie dobrani, tacy, którzy mogą wychowywać własnym przykładem, nie tylko cudzym czczym gadaniem.

Widziałem też harcerzy wracających zapewne ze zbiórki lub biwaku, rozsiedli się wygodnie w miejskim autobusie i jakoś żadnemu nie przyszło do głowy ustąpić miejsca starszej kobiecie, która ledwo stała na nogach ani kobiecie z ciężką siatką. Tak, ostatnio to pokolenie jest coraz słabsze, wiecznie zmęczone. Być może, że istnieją konkretne powody takiego wychowania, braku wrażliwości. Młodzież szkolna jest w stresie. Przeładowany program, brak podręczników, nieustanna gonitwa z teczkami po szkole z klasy do klasy, pięciominutowe przerwy, tyle co na przejście do innej pracowni. Ciągła tęsknota za własnym miejscem, gdzie będzie można usiąść, rozpakować się, podlać kwiatek, pomazać sobie kredą po tablicy. A tu nic z tego, wieczny pośpiech! Nawet w czasie przerwy o wyjściu na boisko zamarzyć nie można. Eh, szkoło, szkoło, jakże się zmieniłaś. Ciasno tutaj! Czy to ja stary, wyrośnięty nie mieszczę się w ławkach, czy też dryblas, sześcioklasista któremu przyszło ściubolić w zeszycie przy niskim pulpicie dla siedmiolatka w klasopracowni nauczania początkowego, tak stęka. Nauka na trzy zmiany. Pierwsza lekcja zaczyna się o siódmej rano, ostatnia kończy się po osiemnastej. I bądź tu świeży, wypoczęty nieszczęsny uczniu. Cóż z tego, że za ścianą siedzi lekarz, pielęgniarka, że jest psycholog szkolny, kiedy warunki twojej pracy nastolatku są coraz trudniejsze. Jesteś jakiś nieswój, znerwicowany. Często chorujesz, wystarczy spojrzeć w dziennik. Może i trudno się dziwić, że nie ustępujesz miejsca w tramwaju, że tak trudno ciebie dobrze wychować. A może to my jesteśmy temu winni?

MŚCIWÓJ ZASADNY

Jesteśmy w ich domu

ROMAN KUBIAK

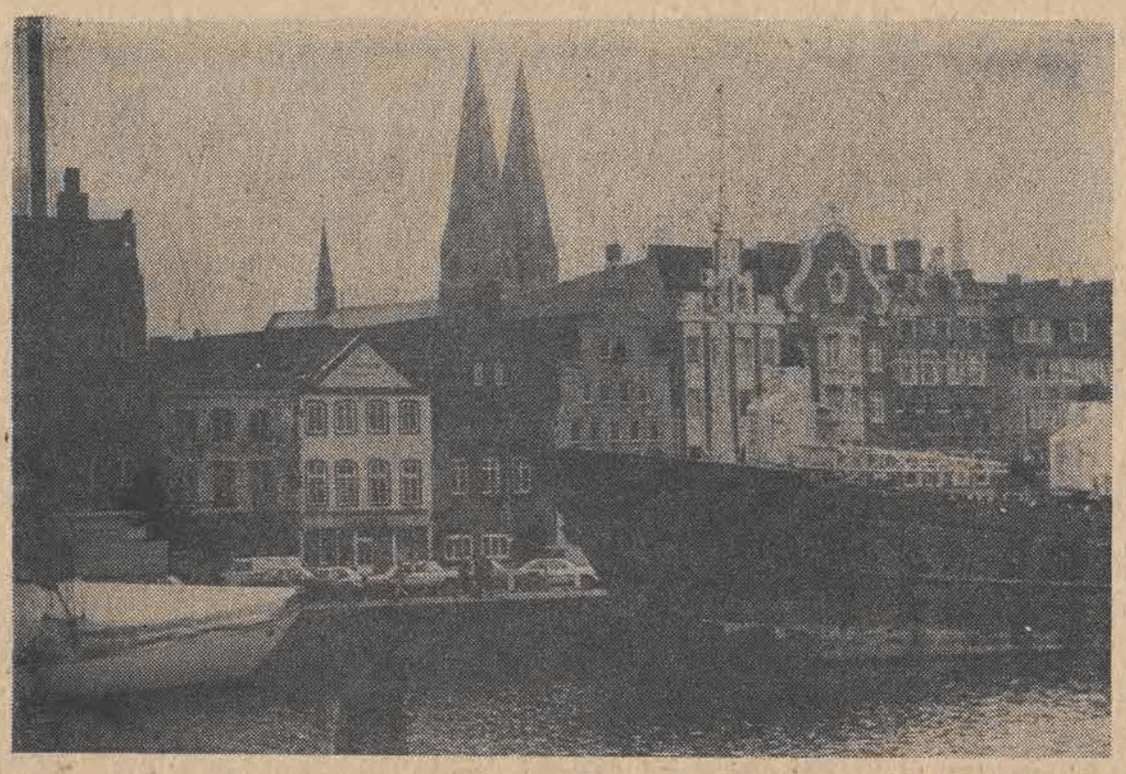

Foto: Roman Kubiak

Trzymał się na uboczu. Z nikim nie rozmawiał, o nic nie pytał. Skrupulatnie wypełniał polecenia pilota wycieczki. Na postojach wysiadał z autokaru żeby rozprostować kości — jak wszyscy. Milczał. Na pełnym morzu, tylko w porze posiłku opuszczał swą kabinę. Spał. W niemieckim porcie zszedł na ląd — jak wszyscy. Uważnie przyglądał się nowemu otoczeniu. Kiedy turystyczny autokar wjechał na ulice Hamburga poprosił o zatrzymanie wozu. Wolno przeszedł przez całą jego długość, otworzył drzwi. Spojrzał na oniemiała twarz kierowcy. — *„Ja tu zostaję"* — powiedział. Odszedł.

Miał plastykową reklamówkę z ręcznikiem, szczoteczką do zębów i grubym notatnikiem. Pieniędzy nie miał — nawet jednego feniga. Po prostu odszedł.

Zaproszenie przysłała rodzina. Na dwa tygodnie. Dwa tygodnie minęły szybko — za szybko. Wystąpiła o przedłużenie wizy. Lecz wujostwo delikatnie dali do zrozumienia, że nie można nadużywać gościnności, że jest dla nich obciążeniem. Posadę załatwił wujek. Została pokojówką w pensjonacie. Wynajęła mieszkanie. We wrześniu właściciel pensjonatu podziękował jej za pracę.

Nie chce jeszcze wracać do kraju. Ale oszczędności kończą się.

Sprzedał wszystko co miał: samochód, telewizor, dwa garnitury, kolekcję gramofonowych płyt. Miesiąc przed wyjazdem zaczął świętować. Pił. Pili na jego rachunek. Mówił, że rozpoczyna nowe życie, że odcina się. Prosił, żeby nie mówić jego dziewczynie. To miała być niespodzianka. Pił. Spalił rodzinne fotografie. Rozdał książki. W Hamburgu nagabywał każdego spotkanego Polaka, każdego kto mówił po polsku. Długo siedział na ławce w parku. Wstał. Podszedł do policjanta. Wyjął paszport...

Hamburg. Listopad. Ost-West-Strasse.

— Jest nas prawie trzystu nowych. Zeszliśmy z pokładu „Stefana Batorego", z promów. Nie chcemy wracać do Polski. Jesteśmy młodzi. Chcemy tu zostać, albo niech nas wyślą gdzieś dalej.

Trzystu ludzi to dużo. To bardzo dużo: tak mówili Niemcy. Mówili, że obcięto środki na pomoc dla uchodźców. Że nie ma dla nas pieniędzy. Nie ma pracy.

Staliśmy w kolejce po socjal. Nic nie dostaliśmy. Spaliśmy na dworcach i na stacjach metra. Pieniądze mieliśmy jeszcze z Polski, więc nikt nie głodował. Nie, nie kradliśmy, chociaż łatwo jest podwędzić coś w markecie.

Spaliśmy na ławkach. Starsi Niemcy przynosili nam gorącą kawę, kanapki. Pytali co zamierzamy. Pytali czy u nas rzeczywiście jest tak źle. Mówili, że czterdzieści lat po wojnie nie powinno być źle. Nie wolno nam było zmarnować tych czterdziestu lat.

Tego nam nie powiedzieli, ale w ich oczach była prośba, żądanie, żebyśmy się stąd wynieśli. Żebyśmy poszli sobie. Z ich kraju, ich domu. Bo to jest ich kraj, ich dom — nie nasz. I tak będzie już zawsze. Na pewno.

Dopadli nas tutejsi żurnaliści. Dopadli i przypięli się do nas. Chcieli wiedzieć wszystko o nas, o Polsce. Ale tak naprawdę to gówno ich obchodzimy. Jesteśmy tylko bombowym tematem, na którym można zarobić pieniądze. Obfotografowali nas, klepali po plecach, stawiali piwo, colę. Zarobili pieniądze. Poszli sobie.

Następnego dnia mogli nas oglądać wszyscy Niemcy. Na pierwszych stronach. Wystrzałowy temat: Polacy wieją na Zachód! Napisali, że jesteśmy rozczarowani. To prawda. Że mamy żal, bo potraktowano nas chłodno, bez serca. To nieprawda. Nikt z nas nie spodziewał się złotych gór. Ale powinni coś z nami zrobić. Nic nie zrobili. Spaliśmy na dworcach.

Kilku wsiadło do pociągu. Wrócili do kraju. Złamali się. Kilku pojechało na południe, bo tam podobno łatwiej dostać zasiłek i pracę. Ale my zostaliśmy. Spaliśmy na ławkach. Po czterech dniach zabrała nas policja. Kazali wypełnić formularze. Nie chcieliśmy oddać paszportów. Człowiek bez paszportu kim jest? Nie oddaliśmy paszportów. Kilku kolegom na rozmowach w cztery oczy, proponowali pieniądze. 1000—1500 marek, jeżeli zgodzą się wrócić do Polski. Ale nie chcieli wracać. Teraz? Czy po to jechaliśmy na Zachód! Zakwaterowali nas gdzie się dało. Wręczyli po kilka marek na jedzenie. Nie, nie zezwolili na podjęcie pracy. Kazali czekać. Czekamy..

Co można robić? Można czekać. Można próbować zarobić na czarno. Można próbować: w handlu, budowlance, knajpach. Ale Niemcy boją się przyjmować tych bez zezwolenia. Jak ich złapią za rękę to muszą bulić słone kary, nawet do 100 tys. marek. Nie chcą ryzykować.

Co można robić? Można żyć z socjalu. Za 300 marek da się żyć. Z dnia na dzień. Za 300 marek nie chodzisz głodny i bosy. Masz dach nad głową. To wszystko. Więcej się nie spodziewaj.

Można tak żyć. Jak długo? Nie wiem. Niektórym to wystarcza.

Lubeka. Listopad. Przystań promowa.

— Przyjeżdżamy z Hamburga: prawie sto kilometrów. Przyjeżdżamy do Lubeki, bo tutaj cumują polskie promy. Tutaj spotykamy się z rodzinami, znajomymi. Oni przypływają z wycieczkami: tak jest najłatwiej. Do Andrzeja przyjechała siostra, do Marka koledzy. Ale oni z nami nie zostaną. Piszą, że chętnie zobaczą jak nam się żyje ale zostać nie chcą. I nikt z nas nie będzie ich do tego namawiał. Do tego nie wolno namawiać.

Kiedy było krucho: na początku, przyjeżdżaliśmy do Lubeki, żeby sobie popatrzeć na polski statek, pogadać z Polakami. Wtedy jeszcze nie mieliśmy odwagi wcnodzić na prom. Znajomi piloci wycieczek przynosili nam jedzenie. Kucharze na promie wiedzieli, że to dla nas: dla emigrantów.

Teraz mamy zasiłek — 200—300 marek na miesiąc. Ale o ustawieniu się nie ma co marzyć. Chcieliśmy jechać do Kanady. W ambasadzie powiedzieli otwarcie, że mają limity. Potrzebują tylko wybitnych specjalistów: cybernetyków, fizyków, lekarzy... Mamy czekać dziesięć miesięcy. Może coś się zmieni.

Latem pracowaliśmy. Zarobiliśmy sporo — no tyle, że do wiosny powinno starczyć. Posłaliśmy paczki do Polski. Zimą nie uda się zaczepić do pracy. W Hamburgu jest za duża konkurencja: Grecy, Turcy, Włosi, kolorowi. Ci nas zawsze wyprzedzą, podkupią.

Tak naprawdę to mamy dużo wolnego czasu. Przyjemnie jest wejść na pokład promu.

— Dlaczego wszedłeś na prom?

— O co chodzi? Jestem tu legalnie. Przy wejściu zostawiłem ausweis.

— Kiedy wyjechałeś z Polski?

— A dlaczego chcesz wiedzieć. Po co ci to.

— Boisz się...

— Nie, nie o to chodzi. Może trochę... Pokład promu należy przecież do Polski. Chcesz pogadać to zejdźmy na dół, na lądzie czuję się pewniej...

Człowiek posiedzi na promie, pogada, i cholera wie czemu tak robi, bo potem czuje, że mu miękko w kolanach. Nie, to nie jest żadna tam nostalgia, tęsknota za ojczyzną: nic z tych rzeczy. Po prostu idzie się z ciekawości, żeby, jak to mówią, naładować akumulator, bo Niemcy są inni — poważni, racjonalni. Pewnie czasem myśli się o powrocie. Tak. Ale powrotu nie ma! Człowiek musi mieć swój honor. Nie można się wycofać.

Co można robić? Można spotkać werbowników z Republiki Południowej Afryki. Potrzebują białych do polowania Murzynów. Można zostać policjantem albo żołnierzem w Afryce. Polaków też szukają. Polacy katują Murzynów! Dobre co? Wczoraj w Warszawie słuchaliśmy płyt. Była płyta Petera Gabriela. Śpiewał o zamordowaniu murzyńskiego bojownika Stevena Biko. Pamiętasz? Dzisiaj nosimy mundury jego oprawców. Polacy katują Murzynów! Ilu pojechało? Dużo. Ci z RPA mogli przebierać. Wybierali zdrowych, rosłych chłopów. Dali im karabiny i pały. Tego nie trzeba uczyć. Będą wskazywać palcem: — „Te Polaczek, wal po łbie czarnucha!". Jak myślisz, ile płacą za cios między oczy..

Co można robić? Można zabrać się do Legii Cudzoziemskiej. To proste: przychodzi naganiacz, patrzy ci w zęby czyś młody i zdrowy. Twoja przeszłość go nie obchodzi. Najlepiej, jeżeli nie rozstawałeś się z nożem. Potem dostajesz dokumenty jakiegoś podstawionego marynarza zamiast którego wchodzisz na statek i wio — na Korsykę do Afryki: gdzie ci każą. Kupili cię. Jesteś psem wojny. Najemnikiem. A mówiłeś, że jesteś pacyfistą...

Hamburg. Listopad. Hollstenwell.

Narożny, piętrowy gmach z czerwonej cegły. Przypomina szkołę. Albo koszary. Szeroko otwarte okna. Na parapetach siedzą młodzi. Rozmawiają, gestykulują. Polacy.

Siedzą na parapetach okien. Czekają. Ciągle czekają. Bogdan czeka dwa lata. Piotr dwa lata, Marta rok.. Czasem ktoś zejdzie na dół po coś do jedzenia, po puszkę coli, papierosy. Czekają. Czasem ktoś zejdzie na dół, żeby nie spóźnić się do pracy. Bo choć praca jest nielegalna.. na czarno, ale spóźnić się nie wolno. Dziś wyszło pięciu. Pozostali czekają. Czasem ktoś zejdzie na dół, żeby wysłać list, widokówkę. Czekają. Czasem ktoś zejdzie na dół, żeby zrobić coś innego: nie siedzieć tak. Czekają. Ciągle czekają. Siedzą na parapetach okien.

— Mieszkałem w Zachodnim Berlinie. Mieszkałem, to za duże słowo. Byłem w Zachodnim Berlinie. Początkowo było zupełnie nieźle, później zjawiało się coraz więcej Polaków. Aż wreszcie przestali nam wypłacać zasiłki. Dwanaście osób spało w jednym pokoju. Wymówili nam. Spaliśmy na trawniku. W śpiworach. W Arbeitsamcie dostaje się ankietę. Masz napisać z jakich powodów chcesz zostać: politycznych czy ekonomicznych? Jeśli wybierzesz to pierwsze, wtedy palisz za sobą ostatni most. Wiesz że nie wrócisz do Polski.

Przyjechałem do Hamburga. Tu jest o całe niebo lepiej. To, czego nauczyłem się w Berlinie, jest bezcenne. Wiem, jak szukać pracy w tłumie, takich samych jak ja. Już znalazłem pracę. Na razie na tydzień.

— Wysiadłem w Kopenhadze. Duńczycy mnie nie chcieli. Pojechałem do Republiki Federalnej. Mogę zostać. Podania o wyjazd złożyłem w siedmiu ambasadach. Mam czekać pół roku. Czekam.

Co można robić? Można łatwo zarobić 1000 marek. Był z nami taki jeden, który zarobił 1000 marek. Pisał listy do żony, że dobrze zarabia, ma mieszkanie: żeby przyjechała do niego. Przyjechała. Dał jej klucze do tego mieszkania, a sam gdzieś prysnął. Poszła tam, otworzyła drzwi. To był zwyczajny burdel. Sprzedał ją sutenerowi za 1000 marek. Żeby nie zwiała, pilnowali jej dwaj chłopcy. Polacy. Tak też można zarobić.

Co można robić? Można iść do paru sklepów. W Hamburgu są takie sklepy, gdzie jak pokażesz paszport z orłem, to dadzą ci torebkę cukierków. Z miłosierdzia, dla biednych. Dadzą ci cukierka. Myślisz że to wstyd..

Hamburg. Listopad. Mieszkanie na drugim piętrze.

— Jesteśmy tu od trzech lat. Wszyscy z jednego miasta. Mieszkamy, pracujemy. Dzieci nam rosną...

My nie mieliśmy takich wymagań jak ci, którzy przyjeżdżają obecnie. Znaliśmy język, parę razy wcześniej byliśmy już na Zachodzie. Po tym co stało się w Polsce w grudniu, wiedzieliśmy, że nie mamy dokąd wracać. A wiesz, o wojnie dowiedzieliśmy się od Karla. Tak, Niemiec był pierwszy. Wpadł do nas rano z okrzykiem: „Wojna! U was jest wojna! W Polsce...". I patrzyliśmy, my na niego, a on na nas. I milczeliśmy. I pomyślałem, bo my Polacy musimy tak myśleć, że stało się najgorsze. I wyobraziłem sobie, bo my Polacy musimy tak to sobie wyobrażać, że jest dokładnie tak jak nam wtłoczono do mózgów: filmy, literatura, spotkania ze zbowidowcami. Więc wyobraziłem sobie, przywołałem wpojony obraz wojny: strzelanina, płonące domy, krew, dużo krwi, żołnierze... I zrobiło mi się okropnie głupio, bo my tutaj w ciepłym domu... U Niemców. Cholera jasna, dlaczego właśnie u Niemców!

Postanowiliśmy zostać, trzymać się razem. I to nam się udało. Znaleźliśmy pracę, mieszkania, no i jakoś nam przemija.

Spotkałem nowych. Oni przyjeżdżają kompletnie ogłupiali. Nie znają języka, mają diabelne wymagania. Myślą, że... A potem przychodzi otrzeźwienie. Brutalne. I pytanie: co dalej? Tutaj bracie jak chcesz być kimś, a jesteś tylko Polakiem, to musisz nazywać się Boniek, Cieślewicz, Polański... Zachód jest tylko dla orłów.

Ten, który gra na gitarze, dobrze pamięta minioną wojnę. Twierdzi, że jest najstarszym eksponatem nowej polskiej emigracji. Przychodzi do nas, bo, jak mówi, dziadkowi najłatwiej dogadać się z wnukami. Posłuchaj jak śpiewa.

Nasi koledzy z konspiracji
Pogromcy panter i tygrysów
Leżą spokojnie wśród akacji
A ci ważniejsi wśród cyprysów.

Zostali już na zawsze młodzi
Szlachetni z czynów i postaci
Już nic im dzisiaj nie zaszkodzi
Już nikt ich dzisiaj nie zeszmaci.

Przychodzi do nas, i wiesz, zawsze przynajmniej raz, ale musi wyrzucić z siebie to, co go najbardziej boli. A boli go strasznie, że przecież oni, Niemcy, przegrali z nami wojnę.

A kiedy już poumieramy
I kiedy się znajdziemy w raju
Wtedy natychmiast ich poznamy
Lecz oni już nas nie poznają.

Wtedy zgodnie zapłaczemy
Sięgniemy dłonią do orderów
Ale im prawdy nie powiemy
Po co rozśmieszać bohaterów.

Foto: Roman Kubiak

Z cyklu: Listy do prokuratora

Szczur

MIROSŁAW KUŹNIAK

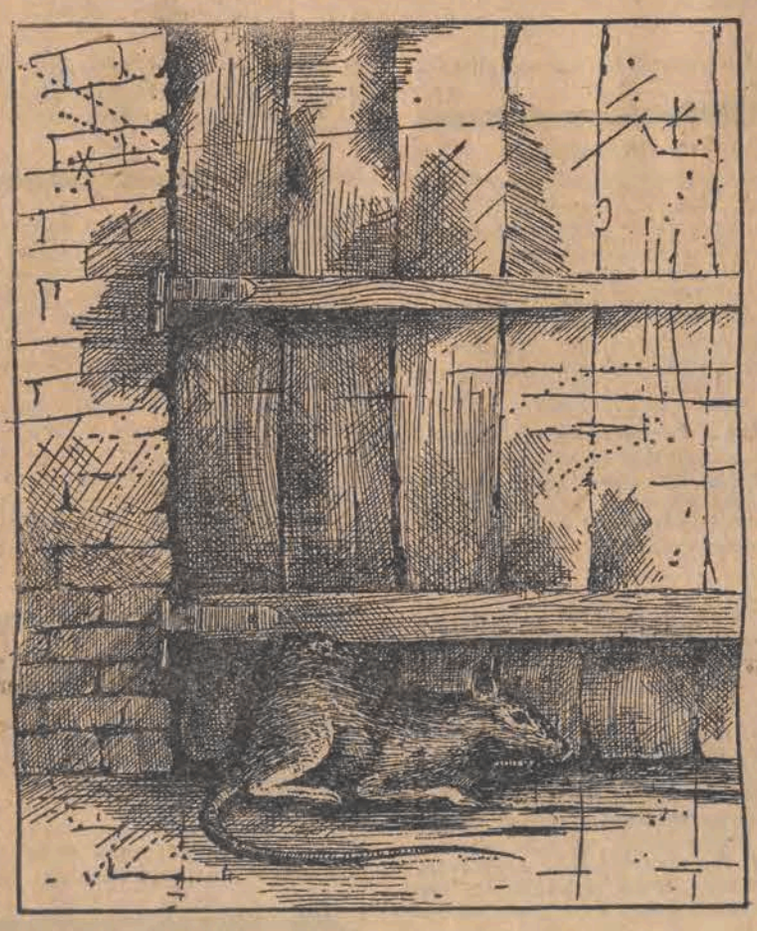

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Jestem jak szczur w potrzasku... Używam tego porównania świadomie, choć sam Pan wie, jakie jest ono dla mnie obrzydliwe. Jestem jak szczur w potrzasku: wyrywam się, gryzę, nadaremnie przyzywam tego który uwolniłby mnie z pułapki. Nadaremnie... Proszę traktować ten list jak błagalny pisk szczura, przytrzaśniętego żelazną łapą losu. Niech ten pisk wwierca się w Pańskie uszy, niech drażni, denerwuje... Może w ten sposób zwrócę na siebie Pańską uwagę?

Zresztą Pan wie, że nazywają mnie właśnie tak: SZCZUR. Nie wie Pan tylko, że nazwała mnie tak po raz pierwszy moja była żona Danuta Felc, primo voto Zdrojewska. Ileż było w tym nazwaniu nienawiści, odrazy i wściekłości, może zrozumieć tylko ten, kto to słyszał. A słyszało wielu: sąsiedzi, bliżsi i dalsi oraz nasza przybrana córka Bronisława, która w owym dniu przyszła do mojej byłej żony. I choć się nie spodziewałem, przylgnęło do mnie to przezwisko, bo nikt już nie pamiętał, że powiedziane było w gniewie, w zaciekłości i z nienawiścią.

Niedawno synek naszych sąsiadów, Mariusz lat pięć i pół, przywitał mnie słowami: „Dzień dobry, panie Szczur" — i nie wiedziałem, czy gniewać się na niego, czy pogłaskać go po główce? Z gniewu rodzą się słowa, a potem gniew opada i słowa zostają, dobre czy złe, ale już bez tej otoczki nienawistnej, więc jakby mniej bolące. No, bo gdybym rzeczywiście nazywał się Jan Szczur, a nie Jan Zdrojewski, to bolałoby mnie to nazwisko czy nie? Zapewniam Pana, że nie! Choć znam takich, co ich nazwiska bolą bardziej niż życie, które im dano do przeżycia. Niejeden zmienia je jak kalosze na jesieni. Ja nigdy nie zmieniłem swojego nazwiska! Pracowałem na nie całe życie, a w przeszłości zapewne znalazłoby się przynajmniej jeszcze kilku Zdrojewskich takich jak ja. Co z tego, że nie znam swoich rodziców? Cóż z tego, pytam, że wychowałem się w sierocińcu? Nazwisko jest moje, prawdziwe, o czym poinformowała mnie przed laty siostra Felicja, przełożona zakładu, w którym spędziłem dzieciństwo i młodość. Zdrojewski... Prawda że jest w tym nazwisku coś radosnego, ożywczego i nie waham się napisać — pięknego?

A teraz. Zabrano mi nawet nazwisko. Szczur! Szczur! Dobrze, niech będzie szczur... Zapewniam Pana, że nie jest to zwierzę bojaźliwe: zapędzone w kąt walczy, gryzie, rzuca się na przeciwnika! Jestem jak szczur w potrzasku... Pisałem już Panu o tym na początku. Pan pewnie pomyśli, że mam obsesję słów, bo ja tak ciągle o tym szczurze... Zapewniam Pana, że w swoim długim życiu miałem tylko jedną obsesję, związaną z posiadaniem domu rodzinnego. Choć — gdy tak patrzę z perspektywy lat — sam nie wiem, czy to była jakaś szczególna obsesja, czy normalne pragnienie każdego młodego człowieka.

Oczywiście, że w nas, w wychowankach sierocińca mogło to pragnienie przybrać monstrualne rozmiary, przesłonić rzeczywistość, ale zapewniam Pana, że gdy udało się któremuś z nas zrealizować to marzenie, stawał się normalnym człowiekiem. Napisałem: normalnym człowiekiem..., Jak trudno ustalić kryteria normalności! Do dziś zadaję sobie pytanie dlaczego Stasiek Z. mój kolega z sierocińca prowadzonego przez siostry Urszulanki, w pół roku po ożenku z miłą sympatyczną dziewczyną, powiesił się na pasku od spodni na klamce przy drzwiach? Dlaczego Zuzka, piękna Zuzka w dwa lata po wyjściu za mąż za przystojnego, miłego chłopaka, zostawiła go z dzieckiem i wyjechała z miasta. Mąż odnalazł ją potem w jakiejś portowej knajpie, pijaną, brudną, cuchnącą. Nigdy do niego nie wróciła... Wiem, wiem, o czym Pan w tej chwili myśli: demonizuję fakt wychowania nas przez sierociniec. W normalnych rodzinach takie przypadki zdarzają się równie często, a nawet statystycznie rzecz ujmując, częściej niż u nas. Zgoda, nie zamierzam dyskutować ze statystyką. Stwierdzam jedynie, że każdy z nas, wychowanych bez rodziców miał swoje idealne, podkreślam idealne, wyobrażenie tej swojej przyszłej rodziny. Ci, którzy mieli to szczęście wychowywać się przy matce i ojcu nie musieli sobie niczego wyobrażać, niczego idealizować wystarczyło im tylko popatrzeć na życie najbliższych... Zaakceptować lub starać się zmienić. Myślę, że raczej akceptowali, prawda?

Przyznaję, że też nosiłem w sobie taki idealny obraz. Nie tylko nosiłem, ale próbowałem co jakiś czas przykładać go do tego, co widziałem. Niebezpieczne to zajęcie! Teraz już wiem, wiem od dawna, ale wtedy, ile nocy nie przespałem, ile myśli nadaremnych natłukło mi się po głowie!

O dzieciństwie i młodości mówi się i myśli na starość jako o czasach szczęśliwości. To bzdury, proszę Pana. Kompletna nieznajomość prawideł życia. Młodość jest najokrutniejszym okresem życia człowieka! Niech Pan pomyśli o swojej młodości... Ileż w niej było domniemanych bólów, ile lez niepotrzebnych, ile wiary głupiej i ile w końcu niepewności? Ta niepewność jest najgorsza. Ona najczęściej za nas decyduje, ona kieruje naszym wyborem. W moim przypadku owa niepewność spowodowała, że ożeniłem się z Danutą Felc. Mówiłem jej, że kocham, że pragnę, że chcę, a przecież tak naprawdę mówiła przeze mnie owa niepewność, co do mych dalszych losów... Danka znałem już wcześniej, wiedziałem jaka jest, co robi, co myśli... Danka była kresem mojej niepewności.

Spyta Pan pewnie teraz o mój hodowany tak pieczołowicie ideał? Napisze tak: Danuta mieściła się w nim i tylko tyle. Po ślubie zamieszkaliśmy u niej, w małej klitce z wielkim piecem kaflowym. Było nam ciasno, a spodziewaliśmy się, że będzie jeszcze ciaśniej, bo chcieliśmy mieć dziecko. Trwało to dość długo, zanim dowiedzieliśmy się, że dziecka nigdy nie będziemy mieli. Danuta odchorowała tę wiadomość. Dwa miesiące leżała w szpitalu. A w pół roku później oświadczyła mi, że chce adoptować dziecko. Zaskoczyła mnie. Nie chodzi o to, że nie chciałem tej adopcji... To trudniejsza sprawa, o wiele bardziej skomplikowana.

Gdy byłem w sierocińcu również kilkoro z nas adoptowano. Mój Boże, jakże ci, którzy zostawali u sióstr nienawidzili tamtych szczęśliwców! Do dziś pamiętam te dławiącą nienawiść! Czy może Pan zrozumieć teraz moje wątpliwości, gdy usłyszałem prośbę Danuty? Starałem się jej to wytłumaczyć, ale — nie rozumiała! Tyle tylko zwojowałem, że zgodziła się poczekać z adopcją do chwili otrzymania mieszkania. Pracowałem wówczas w biurze i miałem przyrzeczone mieszkanie.

W pół roku później wprowadziliśmy się do wielkiego czerwonego bloku. Mieszkanie było niewielkie: raptem pokój z kuchnią i łazienka. W porównaniu jednak z poprzednim mieszkaniem były to prawdziwe salony: w pokoju mogliśmy się sonić! Urzadzanie mieszkania trwało długo. Żona moja zrezygnowała wówczas z pracy. Zarabiałem nieźle i to wystarczyło. Ledwie zdołaliśmy się zadomowić, a Danuta znowu wróciła do sprawy adopcji.

— Sąsiadka ma dzieci, tamta dwoje, a my nic, sami jak palec — powiedziała. — Już mnie nawet pytały, czy ze mną jest coś nie w porządku!

Cóż miałem robić? Zgodziłem się na adopcję. Postawiłem tylko jeden warunek: ona sama wszystko załatwi. Ja mogę tylko podpisać papiery. Oburzyła się i powiedziała, że dziecko mamy mieć wspólnie. Uparłem się jednak, że nie przekroczę progu żadnego — jak to teraz nazywają — domu dziecka. Jak chce, niech sama wybiera i załatwia.

No i załatwiła. Dziewczynka miała siedem lat, była miła, ładna, polubiła Danutę od pierwszego wejrzenia. Później, wiele dni po tym, spytałem moją żonę, dlaczego nie wybrała mniejszego dziecka, ale rozsądnie mi wytłumaczyła, że przed mniejszym trzeba by było ukrywać fakt adopcji. A potem i tak ktoś by mu to wszystko powiedział. Duże dziecko wszystko rozumie i niczego nie trzeba przed nim ukrywać. Przyznałem jej rację.

Udała nam się Bronia, Panie Prokuratorze! Przez piętnaście lat wspólnego życia nie mogę na nią złego słowa powiedzieć. O dom dbała, mnie i Danutę szanowała, skończyła technikum, a gdy się wyprowadzała do męża, pustka się po niej zrobiła nie do zapełnienia. Czułem tę pustkę, choć głowę miałem zajętą czymś innym. Czym?

Zaczęło się to w czasie, gdy Bronia już dorastała. To prawda, że nasze mieszkanie zaczęło być ciasne dla trzech dorosłych osób. Bronia musiała mieć swój kąt, najpierw do odrabiania lekcji, później do trzymania babskich fintifluszków. A pokój jeden... Ileż mi moja była żona Danuta na ten temat nagadała! Załatw mieszkanie i załatw mieszkanie — ciągle to słyszałem. Oczywiście, że próbowałem... Wszyscy mnie odsyłali do spółdzielni mieszkaniowej. Wpłaciłem co kazali i wtedy powiedzieli, żebym czekał. No i czekam. Do dzisiaj. Próbowałem mieszkanie zamienić na większe, byli nawet jacyś reflektanci, ale nic z tej zamiany nie wyszło.

Sytuacja, Panie Prokuratorze była bez wyjścia: tylko głową w mur walić! Tyle tylko dobrego, że na to mieszkanie ze spółdzielni trzeba było czekać z nadzieją. A czas leciał, lata przechodziły, Bronia dorosła a pokój ciągle był jeden. Gdy się Bronia z moją żoną rozłożyły, to już dla mnie miejsca nie starczało. Przeniosłem więc łóżko rozkładane do kuchni i miałem trochę spokoju. Żona była zadowolona, że mnie rzadziej widzi... A potem, gdy dostałem zawału, sześć miesięcy leżałem w szpitalu i miałem spokoju jeszcze więcej. Tyle tylko, że na ślubie Broni nie byłem, bo lekarze zabronili mi wzruszeń. A gdy Bronia wyprowadziła się do męża, z powrotem łóżko zataszczyłem do pokoju. No i wtedy się zaczęło.

— Zabierz ten śmieć — mówi Danka.

— Jaki śmieć?! Przecież to jest moje łóżko!

— Nie będę tego śmierdziucha trzymała w pokoju!

Nie upierałem się, bo w gruncie rzeczy jestem spokojnym człowiekiem. Nie podoba się jej moje łóżko — trudno. Położę się przy niej, tapczan ma duży. Jeśli tego chce, mogłaby mi to powiedzieć nieco grzeczniej. Ale nic, milczę. Wieczorem ledwie usiadłem na jej tapczanie, zepchnęła mnie i z pazurami leci do twarzy.

— Won stąd — krzyczy. — Gdzie to się pcha?! Do kuchni, na wyro!

— Rany Boskie, Danuśka, co ty mówisz? — Patrzę na nią ze zdumieniem wielkim a ona jak tygrysica o mało nie skoczy na mnie! To tak się wita męża po sześciu miesiącach nieobecności?! Przypomniałem sobie przestrogi lekarzy, więc zmilczałem i poszedłem do kuchni rozkładać łóżko.

Rano, gdy się wybierałem na komisję lekarską, powiedziałem do żony:

— Danka, o co ci chodzi? Jak Broni nie ma, pokój nam wystarczy, zresztą spółdzielnia obiecała...

— W dupie mam twoją spółdzielnię! Ja też chcę wreszcie pożyć. Patrzeć już na twoją gębę nie mogę. Zbrzydło mi to! Tak się słowami mojej żony zdenerwowałem, że lekarze z komisji chcieli wzywać pogotowie, ledwie się wybroniłem. Tyle że dostałem skierowanie na komisję inwalidzką.

Od tego czasu zaczęło się moje prawdziwe piekło. W kuchni też poczałem zawadzać co się najwyraźniej uwidaczniało nocami, gdy moja żona wstawała aby napić się wody. Z dwa, trzy razy w nocy budziłem się bez żadnej potrzeby a kiedyś nawet żona zawadziła nogą o łóżko, które się zamknęło, a ja razem z nim.

Niech Pan nie sądzi, Panie Prokuratorze, że nie zastanawiałem się nad postępkami mojej żony? Zastanawiałem się, owszem, tylko, że niczego nie mogłem wymyślić. Żyć ze mną od dawna nie chciała, to prawda, ale ja chyba rozumiałem, bo jakże tu żyć przy dorosłej pannie śpiącej w tym samym pokoju?! Ale teraz, gdy Bronia się wyprowadziła — postępowanie mojej żony stało się dla mnie zagadką?

Moje zdziwienie wzrosło do niebotycznych granic, gdy moja żona oświadczyła, że występuje o rozwód. Z mojej winy. Podobno ja przez całe życie maltretowałem psychicznie i fizycznie... Śmiechu warte były te zarzuty, Panie Prokuratorze! Śmiałem się, śmiałem ale przestałem się śmiać, gdy przed Wysokim Sądem wychowanica moja, Bronia, nie tylko potwierdziła wszystko, ale i dodała coś tam od siebie. Że jej nie chciałem, nie kochałem... Wtedy poczułem, że mam tego wszystkiego dość i nawet z ulgą przyjąłem wyrok Sądu o rozwodzie z mojej winy. Tylko czekałem, żeby Wysoki Sąd powiedział coś o moim mieszkaniu, które otrzymałem z firmy w której pracowałem prawie przez całe życie. Moja była żona przedstawiła pisma, z których wynikało, że za kilka lat dostanę mieszkanie ze spółdzielni, więc Sąd ucieszył się że nie musi rozstrzygać sprawy mieszkania, to znaczy mojego pokoju z kuchnią i łazienką.

Po rozwodzie zamieszkaliśmy znowu razem z moją byłą żoną. Ja w kuchni, a ona w pokoju. Przez kilka dni był spokój, moja była żona wydawała się zadowolona. Aż tu któregoś dnia, gdy w kuchni paliłem papierosa, usłyszałem z pokoju krzyk:

— Ratunku ludzie, zabije mnie!

Wyleciałem z kuchni, a tam w pokoju moja była żona drze na sobie suknię, pazurami krwawi twarz. Pomyślałem, że oszalała! Stoję w zdumieniu, a tu drzwi się otwierają i wlatują sąsiedzi, a zwłaszcza sąsiadki.

— Ludzie, zobaczcie, co mi zrobił ten bydlak! — krzyczy moja była żona i wskazuje — na mnie? Szczęście, że szybko przyjechała milicja bo sąsiad z góry, dawny bokser chciał mnie uderzyć.

Kolegium potem miałem, a później drugie i trzecie. Na koniec moja była żona wpadła na jeszcze jeden pomysł, a mianowicie zaczęła chodzić po domu goła jak ją Pan Bóg stworzył. I tam się gładzi, i tu się gładzi a wszystko po to, żebym ja to widział. Owszem, na rencie jestem inwalidzkiej, ale poza tym całkowicie zdrowy, więc pomyślałem: że ona robi to wszystko po to, aby mnie sobą zainteresować. Ledwie się do niej zbliżyłem, narobiła takiego krzyku, że pół bloku się zleciało, a później dzielnicowy mnie pouczył, że jakby się moja była żona uparła, miałbym sprawę o gwałt.

— Ależ ja jej wcale nie dotknąłem! — powiedziałem.

— To już nie moja sprawa — odrzekł i popatrzył na mnie surowo.

Wróciłem potem do domu i spytałem moją byłą żonę:

— Powiedz mi, po co to robisz?

Zaśmiała się i najspokojniej odpowiedziała:

— Byłeś całe życie durny, to i tego nie możesz zrozumieć. Ja chcę, żebyś się stąd wyprowadził!

— Dobrze — mówię — wyprowadzę się, jeśli chcesz, ale wtedy, gdy dostanę mieszkanie w spółdzielni.

— Zobaczymy — odparła i uśmiechnęła się tak okropnie, że mi ciarki po plecach przeleciały. A wieczorem przyszła z jakimś mężczyzną. Nawet nie był mocno pijany, tylko na nogach nie mógł się utrzymać.

Cała noc nie spałem, tylko nasłuchiwałem ich wzdychań i jęków. A rano ten mężczyzna, gdy mnie spotkał w kuchni, chciał w rękę wcisnąć jakieś pieniądze. Ledwie zdążył drzwi otworzyć, a i to jeszcze musiałem mu buty wyrzucać przez okno. Prawie całą flaszkę nitrogliceryny zużyłem.

Moja żona zaś wzięła się pod boki i spytała:

— No i co? Dalej chcesz tu mieszkać?!

— A dokąd mam pójść!

— Gówno mnie to obchodzi! Nawet na śmietniku, byle już!

Na drugą taką noc już nie czekałem. Spakowałem swoje drobiazgi, dużo ich nie było i wyniosłem się do... komórki. Niewielką, mieliśmy komórkę ciasną, ale też niewiele gratów w niej trzymaliśmy. Szybko ją uprzątnąłem i rozłożyłem swoje rzeczy. Ubrania postanowiłem trzymać w walizce, ale łóżko udało mi się rozłożyć. Na starym kulawym stoliczku postawiłem lampę i maszynkę elektryczną, do której przeciągnąłem kabel od lampy z korytarza. Położyłem się, było mi ciepło, kaloryfery grzały jak opętane, spokojnie i tak jakoś radośnie. Pierwszy raz od wielu miesięcy. Nastawiłem cichutko radio baterynę i zacząłem myśleć o swoim życiu.

Dwa razy słyszałem kroki żony na klatce schodowej. Tu w piwnicy wszystko dokładnie można usłyszeć. Nigdy na to nie zwracałem uwagi, ale teraz wsłuchiwanie się w dźwięki dochodzące z różnych mieszkań sprawiało mi dużą przyjemność. Odczytywałem z nich zwykłe, powszednie czynności ludzkie, na które składa się całe nasze życie. Tam dźwięk ubijanego mięsa, tu szum lecącej rurami wody...

Drugi raz usłyszałem kroki żony, gdy wychodziła z domu, a raczej chyba nawet z niego wybiegała. Dokąd? Było mi to doskonale obojętne. Nastawiłem nieco głośniej muzykę z radia i — usnąłem. W środku nocy obudził mnie gwałtowny rumor przy drzwiach piwnicy.

— Wychodzić! — krzyknął ktoś groźnym basem.

— Trzeba po milicję! — usłyszałem przestraszony sopranik kobiety.

— Wychodź! Wiemy, że tam jesteś... złodzieju! — Nieco mniej pewnie zagrzmiał bas. — Ludka, budź sąsiadów!

Na szczęście nie rozbierałem się, więc przygładziłem tylko włosy i wyszedłem. Na schodach, w otwartych drzwiach do piwnic stał sąsiad z parteru i nerwowo potrząsał laską.

— Dobry wieczór, sąsiedzie — odezwałem się grzecznie — Co się stało?

— Wszelki duch pana Boga chwali! — sąsiad ze zdziwienia niemal wypuścił solidnie wyglądającą lachę. — Co pan robi o tej porze w piwnicy? Usłyszałem jakieś hałasy i myślałem, że to złodzieje dobierają się do naszych zapasów.

— Przepraszam, to moja wina. Już nie będzie hałasów. — Popatrzył na mnie podejrzliwie. Zza jego ramienia wyjrzała zaspana twarz sąsiada z pierwszego piętra.

— Co pan tu robi do diabła?! — zawarczał. — Ludzi pan budzi po nocy. Skandal!

— Proszę państwa — powiedziałem uspokajająco. — Już żadnych hałasów nie będzie, proszę iść spać!

Sąsiad z parteru sprawdził jeszcze kłódkę przy drzwiach swojej piwnicy i spytał niezdecydowanie:

— Wychodzi pan stąd?

— Jeszcze chwilę zostanę. Dobranoc!

Szybko po tym zdarzeniu usnąłem. Rano zrobiłem zakupy, ugotowałem na maszynce obiad i znowu się położyłem. Czułem się dobrze, żałowałem jedynie, że wcześniej nie wpadłem na ten pomysł.

Wieczorem usłyszałem na klatce schodowej krzyk mojej byłej żony:

— Szczur! Szczur!

Kobiety zapiszczały, a jakiś męski zdecydowany głos spytał:

— Gdzie jest ten szczur?!

— Tam, tam w piwnicy! — zanosiła się krzykiem moja była żona. Kilku mężczyzn wpadło do piwnicy z kijami, laskami i Bóg wie z czym jeszcze. Nawet nie próbowałem gasić mojej lampki. Zapaliłem tylko papierosa i wyciągnąłem się na łóżku.

— Tu, tu! — słyszałem głos mojej żony. Z rozmachem otworzyli drzwi i — stanęli jak wryci. Słowo daję, nie widziałem bardziej zdumionych ludzi niż oni tam, na progu mojej piwnicy.

— Co pan tu robi? — spytał któryś.

— Mieszkam — odparłem pogodnie.

— W pi... piwnicy?!

— Niestety, nie mam gdzie. Jeśli panowie coś wymyślą, to chętnie się stąd wyprowadzę.

Mieli niewyraźne miny i nie wiedzieli w jaki sposób z tej sytuacji wycofać się. Tylko moja była żona wciąż zawodziła: — Szczur! Szczur! — Któryś z nich delikatnie przymknął drzwi i wszyscy wyszli z piwnicy. Moja była żona także.

Pan dzielnicowy dwukrotnie mnie namawiał do wyprowadzenia się z mojej piwnicy. Podobno nawet ktoś tam załatwił dla mnie zastępczy pokój, ale się nie zgodziłem. Czekam na mieszkanie spółdzielcze. Podobno za rok dostanę.

Zwracam się do Pana Prokuratora z zupełnie inną sprawą. Bardzo proszę o zakazanie mojej żonie zakupu ziemniaków na zimę. Ja — gdy byliśmy jeszcze małżeństwem — zawsze kupowałem metr ziemniaków, co w zupełności wystarczało dla trzech osób. Ostatnio moja była żona oświadczyła mi, że zamówiła tonę ziemniaków. Po co jej ta tona? Przecież nie zje tylu ziemniaków. A jeśli wsypie je do piwnicy, to gdzie ja się podzieję?!

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko-obyczajowa

TOAST NOWOROCZNY

Spośród rozlicznych wierszowanych rymowanek noworocznych wybieram wiersz Kazimierza Laskowskiego (1861—1913), zaopatrującego pod pseudonimem El. przez dwadzieścia ostatnich lat niezbyt długiego życia cała prasę warszawską krótkimi wierszykami o aktualnej treści. Antoni Lange (1901) porównywał go z polskim Berangerem — Stanisławem Doliwa Starzeńskim, Juliusz W. Gomulicki (1956) ocenił twórczość Laskowskiego bardziej surowo porównując go w najgorszych wierszach z osławionym Soterem Rozbickim. Przywoływanym tu wierszem „Do siego roku" rozpoczynam kolejny rok kuchni literackiej z najlepszymi życzeniami dla Czytelników.

Do siego roku! Pełna pierś —
Życzenia mkną wyrajem!
Do siego roku! w nowy wiek
Praojców obyczajem!
Do siego roku! W górę skroń!
Hej, gwiazdy na błękicie!
Do siego roku! kielich w dłoń —
Na nowy świt i życie!
Do siego roku! Boże szczęść!
Na nowy siew i plony!
Na dobrą myśl, na chęć, na czyn,
Miłością uskrzydlony!
Do siego roku! Pełna pierś!
Hej! świecą gwiazdy — zorze.
Do siego roku! W górę skroń!
Szczęść Boże nam, szczęść Boże!

PAN CMOKTALSKI

Tak nazywano dobrodusznego staruszka, obcałowującego po ojcowsku co dorodniejsze panienki. Plotuch zeń musiał być nie lada, jeśli wieszczka Deotyma wyróżniła go spośród swych totumfackich godnością spowiednika i symbolem tej godności — miniaturowym uchem wpinanym w klapę surduta podczas spotkań literackich w salonie poetki. Plotkarski charakter miały „Listy z podróży" odbytej w towarzystwie Mickiewicza od lipca 1829 do października 1830 roku. Kiedy przed równo stu laty (15. I. 1885 r.) umierał stary pan, nie pamiętano już wiernopoddańczego wiersza „Przyjdź, Królestwo Boże", napisanego przez Odyńca w 1858 r. na cześć Aleksandra II, który to wiersz wstrząsnął polską opinią publiczną.

Antoni Edward Odyniec urodził się 25 stycznia 1804 r., w 1820 wstąpił do Towarzystwa Filaretów, wtedy też poznał Mickiewicza, któremu potem towarzyszył w podróży po Europie południowej. W 1825 r. zamieszkały w Warszawie w oficynie pałacu Zamoyskich, gdzie mieszkał już inny młody człowiek Jan Kazimierz Ordyniec. Oddajmy głos pamiętnikarzowi Franciszkowi Salezemu Dmochowskiemu:

„Pan ordynat Stanisław hrabia Zamoyski chciał założyć i wydawać własnym nakładem dziennik literacki i historyczny pod tytułem „Pamiętnik imienia Zamoyskich"; na redaktorów tego pisma wezwał panów A. E. Odyńca, i J. K. Ordyńca, ofiarując im pomieszkanie w zabudowaniach pałacu, stół wspólny z jjww. ordynatostwem i po sto dukatów rocznej pensji. Umieścił ich w oficynie maleńkiej, na pierwszym piętrze, w dwóch pokoikach, których okna wychodziły na Ogród Saski, i dał im kilkadziesiąt zeszytów dziennika pt. „Przegląd Angielski" wydawanego w Genewie, żeby z nich wybierali i tłumaczyli artykuły do owego „Pamiętnika imienia Zamoyskich" (...) Nudzili się dwaj przyszli redaktorowie, poznali, że pobyt w domu ordynata żadnych im widoków nie przedstawia, już zamyślali rozstać się ze swoim mecenasem, gdy niespodziewanie rozszedł się po Warszawie wierszyk, na igraszce słów oparty, a mnie przypisany:

Odyniec i Ordyniec, z ordynata łaski
Umieszczeni ordynkiem, patrzą w Ogród Saski

Riposta nastąpiła błyskawicznie, bo zaatakowani odpowiedzieli następująco:

Ten koncept zbyt głupi i płaski,
Bo go wydmuchał Dmochowski, gazeciarz warszawski!

Odnotował ten wierszyk Eugeniusz Skrodzki (Wielisław), nie podejrzewając, że autorami dystychu, niesłusznie przypisywanemu Dmochowskiemu, byli Bohdan Zaleski i Stefan Witwicki. Tuwim w „Czterech wiekach fraszki polskiej" odnotowuje nieco inną redakcję kalamburu:

Z ekstraordynaryjnej ordynata łaski
Odyniec i Ordyniec patrzą w Ogród Saski.

PRZYSŁOWIA NA STYCZEŃ

1 i 2 I Ta, co była panną na Fulgentego,
Może nią nie być na Makarego.
6 I Na Trzech Króli
Nie chodź po polu w koszuli.
16 I Koło świętego Ottona
Zacznie cię naciągać żona.
20 I Głupia w świecie tego rola,
Kto jest goły na Karola.

„Diabeł", 1900

SOKRATES I KSIĄŻKI

Sokrates, będąc jednego dnia w swoim pokoiku przy książkach, rzekł: „O, moje miłe książki! Wy jesteście same, które mi nigdy nie sprawujecie tylko ukontentowanie. Czyli mówić, czyli milczeć chce, zawsze przy mnie jesteście, abyście mi służyły w tym wszystkim, co przedsięwziąć myślę. Uprzekrzeniem, zuchwałością, obżarstwem, pijaństwem, uporem nie uprzykrzacie się mi nigdy, jak inni moi słudzy".

„Zbiór Różnego Rodzaju Wiadomości", 1770, nr 7.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Foto: Andrzej Wrzesień

Dla jakiej publiki!

Dokończenie ze strony 1

przez grupę instrumentalną grającą „na żywo" jak i na tle nagrania, degradowało, mocą kontrastu, ruch taneczny do działań jakby mało znaczących, zresztą w obrębie samego tańca można było odczuć innego rodzaju kontrast, pomiędzy próbami przekazania jakichś „filozoficznych" sensów a ubogim w swoim wyrazie repertuarem dyskotekowych ruchów i gestów. Muzyka przeszła w części trzeciej samą siebie, z rozszalałego chaosu nie sposób było wyłowić żadnych wątków, a z tekstów śpiewanych zrozumiałem tylko jedno słowo „tango".

Z pewnością najmłodszej części audytorium znane są teksty cieszącej się ponoć popularnością „Republiki", ale pozostała część widzów miała święte prawo oczekiwać podania tekstu w sposób zrozumiały. Podobnie z librettem, opartym, jak podano w programie, na mało znanym opowiadaniu Becketta: trzeba je było po prostu wydrukować, żeby widz mógł uchwycić to, co miało stanowić tzw. przesłanie utworu.

Mimo najlepszych chęci niewielu zdołałem doszukać się w tym dziwacznym widowisku, jaśniejszych momentów usprawiedliwiających artystycznie jego wystawienie. Ani w choreografii **EWY WYCICHOWSKIEJ**, ani w tym co zademonstrowała jako tancerka. Wielu swoim zwolennikom, do których i ja się zaliczam sprawiła zawód jako „gwiazda dyskoteki". Lepiej, dzięki zachowaniu parodystycznego dystansu wykonała swoją partię sugestywna **LILIANA KOWALSKA**; z dużą sprawnością pokonywał też swoje zadania **TOMASZ ŁUKASZYŃSKI**, a co do **CZESŁAWA BILSKIEGO**, to nie prześcignął tu swoich kreacji z Wrocławskiego Teatru Pantomimy. Trochę humoru wniosła czwórka tancerek w „roli" małych łabędzi z „Jeziora", ale za to kiczowatym pomysłem okazała się wstawka klasyczna z „Adagia" Albinoniego.

Doszła tu do głosu znana prawda, że mistrzostwo poznaje się w samoograniczeniu, a tzw. środki bogate, jeśli już po nie sięgamy, nie mogą jednak polegać na szafowaniu pomysłami bez umiaru.

Na dobrą sprawę można by się upominać od dyrekcji teatru o odszkodowania. Bo gdyby np. dyrektor Pietras, powodowany „względami artystycznymi" zgodził się na polewanie widzów wrzątkiem lub lodowatą wodą, można by się z nim prawować z powodu utraty zdrowia. A trwałe uszkodzenie słuchu, którego mogła nabawić się część widzów? Tak to jest, gdy niewątpliwe talenty menadżerskie wezmą górę nad myślą artystyczną w programowaniu repertuaru placówki, mającej służyć kulturze.

Dziwi mnie mocno, że tej wspólnej imprezie Teatru Wielkiego i Estrady Łódzkiej patronuje Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, który widocznie nie dostrzega wsparcia potrzeb i poczynań na swoim terenie godniejszych niż przyprawianie ludzi o głuchotę.

JERZY KWIECIŃSKI

Teatr Wielki w Łodzi, Estrada Łódzka: „Republika. Rzecz publiczna". Widowisko baletowe z udziałem zespołu „Republika", do muzyki **Grzegorza Ciechowskiego**. Libretto **Ewa Wycichowska** na motywach opowiadania Samuela Becketta „Wyludniacz" — Choreografia i inscenizacja **Ewa Wycichowska**, scenografia — **Ewa Kwiatkowska**. Premiera 29 grudnia 84 r.

Dzieje królewskiej faworyty

List z Wybrzeża

W roku 1978 Stanisław Hebanowski postanowił wyreżyserować w Operze Bałtyckiej w Gdańsku rzadko wystawianą „Faworytę" Gaetano Donizettiego. Była to decyzja dość zaskakująca, gdyż artysta ten dotąd sięgał po utwory o znacznym ładunku intelektualnym, których tematyka obracała się wokół spraw ostatecznych. I tak było zarówno na scenie operowej, jak też w Teatrze Wybrzeże.

Hebanowski jednakże postanowił wystawić „Faworytę" nie tylko dlatego, że opera ta stwarza szczególne możliwości dla popisu śpiewaczego, lecz również z tej przyczyny, iż dojrzał w tym utworze szansę, by porozmawiać ze swoją publicznością na temat samej kondycji ludzkiej.

„Faworyta" miała swoją premierę, jak powiedzieliśmy, w roku 1978. Była to ostatnia realizacja Stanisława Hebanowskiego na scenie operowej. Później reżyserował jeszcze w Teatrze Wybrzeże. Odszedł od nas w styczniu 1983 roku...

Teraz opera Donizettiego wróciła na gdańską scenę. Stało to się za sprawą dyrekcji Opery Bałtyckiej w osobach Włodzimierza Nawotki i Janusza Przybylskiego oraz Floriana Skulskiego (był on współreżyserem „Faworyty" w 1978 roku), który dokonał wznowienia. W rezultacie powstało przedstawienie, które w niczym nie ustępuje tamtej realizacji, a nawet ją przewyższa. Dzieje królewskiej faworyty Leonory de Guzman w Operze Bałtyckiej stają się opowieścią o ludzkim cierpieniu, o dojrzewaniu duchowym człowieka, który dopiero przez sumę różnych doznań, często bolesnych, a nawet tragicznych, zyskuje pełnię swojej osobowości. Ta pozornie banalna historia nieszczęśliwej miłości niedoszłego mnicha do królewskiej kochanicy zyskuje w gdańskim spektaklu nowy, wyższy wymiar.

Hebanowski i Skulski wyreżyserowali „Faworytę" niemal statycznie, jakby chcieli powiedzieć, że stara i tylekroć ośmieszona forma operowa, wcale nie musi być zwykłą manierą, bądź reliktem minionych czasów. Okazało się, że śpiew nie tylko może być piękny, ale również może nieść ważne myślowo treści. I jest wielce pocieszające, że ta najbardziej skonwencjonalizowana ze sztuk, jaką jest opera, zachowuje żywotność artystyczną.

Swoją drogą dość paradoksalne jest, że w naszych czasach przeżywamy swoisty renesans sztuki operowej. W ostatnich latach odbyły się przecież premiery „Manekinów" Rudzińskiego w reżyserii M. Grzesińskiego i J. Wiśniewskiego czy „Sonaty Belzebuba" E. Bogusławskiego w pomysłowej inscenizacji Bogdana Hussakowskiego — były to ważne przedstawienia w polskim teatrze współczesnym. Czym tłumaczyć ów rozkwit sztuki operowej? Być może pewną potrzebą oderwania się od rytmu dnia codziennego, pragnieniem kontaktu własnej wyobraźni z inną rzeczywistością. Może lepszą, może piękniejszą...

Gdańska „Faworyta" cieszy się znacznym zainteresowaniem u publiczności. Myślę, że nie bez znaczenia jest tutaj fakt, że spektakl pozwala na kontakt z teatrem poetyckim, jakże innym od tych form działalności artystycznej, jakie zwykle obserwujemy. Film i telewizja stworzyły wrażenie, jakoby jedyną dopuszczalną poetyką naszych czasów, był naturalizm. Tak nie jest, na szczęście.

Hebanowski udowodnił, że w sztuce zawsze najważniejsza jest treść i jeżeli artysta ma rzeczywiście coś do powiedzenia, to może liczyć na uznanie publiczności.

Rzecz jasna, niemożliwy byłby sukces „Faworyty" w Operze Bałtyckiej, gdyby nie śpiewacy, którzy pokazali, że gdańska placówka ma wszelkie szanse, by zająć ważne miejsce we współczesnym teatrze polskim. Danuta Bernolak (Inez), Andrzej Kosecki (król Kastylii), Marek Kalisz (Fernando) i Maciej Wójcicki (Baltazar) zaprezentowali wysoki kunszt wokalny. Ozdobą wieczoru był występ Bożeny Porzyńskiej w roli Leonory. Wymieniłem tych artystów, a przecież w Operze Bałtyckiej są jeszcze śpiewacy tej klasy, co Florian Skulski czy Kazimierz Sergiel...

Siedziałem na widowni Opery Bałtyckiej i myślałem ze smutkiem, że oglądam ostatnie przedstawienie Stanisława Hebanowskiego, które jeszcze znajduje się w repertuarze gdańskich teatrów. Zeszła już „Zemsta" Fredry w Teatrze Wybrzeże, na karty historii odeszły takie spektakle, jak „Sen" Kruszewskiej czy „Cyganeria warszawska" Nowaczyńskiego. Pozostała tylko „Faworyta". I dobrze by było, gdyby to piękne przedstawienie znalazło się w żelaznym repertuarze Opery Bałtyckiej...

WIESŁAW NOWICKI

Kronika kulturalna

ZMARŁ Bohdan Mościcki, reżyser, absolwent PWSzTF w Łodzi, od ponad 30 lat związany z WFO. Pasją życiową Mościckiego były filmy o sztuce, o plastyce. Sam także plastyk, uczeń Władysława Strzemińskiego miał własne, śmiałe koncepcje filmów o sztuce plastycznej i o sztuce w ogóle. Był autorem wielu wybitnych filmów z tej dziedziny, m.in. „Władysław Strzemiński", „Z teki Leona Wyczółkowskiego", „Wilanów", „Harmonia dźwięku", „Biologia sztuki", „Odyseje artysty". Ostatni film pod znamiennym tytułem „Triumf śmierci" kręcił będąc ciężko chorym i tylko dzięki silnej woli i hartowi go skończył. Odszedł od nas człowiek ogromnego talentu, wrażliwy na piękno, na sztukę.

Tracimy w zmarłym człowieka wielce zasłużonego dla filmu dokumentalnego i filmu w ogóle.

Niedawno w kinie „Wisła" odbył się pośmiertny przegląd filmów o sztuce Bohdana Mościckiego.

• • •

ORGANIZATORAMI interesującej imprezy, która odbyła się 7 stycznia w restauracji-klubie „Pod witrażem" było Stowarzyszenie Twórców Kultury, Wydział Kultury Urzędu Dzielnicowego Łódź-Śródmieście i Ośrodek Sztuki Młodych ŁDK. Odbyło się tam „Konwersatorium — Poezji i Etyki" z udziałem wybitnych poetów i krytyków: Julii Hartwig, Anny Kamieńskiej, Janusza Maciejewskiego, Artura Międzyrzeckiego, Jerzego Poradeckiego.

• • •

W MUZEUM HISTORII MIASTA ŁODZI powstał Gabinet Numizmatyczny. Celem nowo powstałej placówki jest gromadzenie, konserwacja, opracowanie naukowe, wystawiennictwo i publikowanie muzealiów numizmatycznych związanych z naszym miastem. W związku z tym muzeum zwraca się za naszym pośrednictwem z apelem o przekazanie lub odsprzedanie będących w posiadaniu osób prywatnych egzemplarzy lub kompletów okazów numizmatycznych mogących zwiększyć zbiory powstałego właśnie Gabinetu Numizmatycznego. Okazy te służyć będą celom wystawienniczym i naukowym powiększając wiedzę społeczeństwa o historii naszego miasta.

• • •

ROZSTRZYGNIĘTY został konkurs na piosenkę dla zespołu dziecięcego „Krajki". Jury pod przewodnictwem dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi Ryszarda Czubaczyńskiego przyznało następującym utworom nagrody: I nagrodę piosence pt. **„Nutki"**, którą napisali: słowa **Kalina Jerzykowska**, muzykę **Andrzej Żylis**; II nagrodę **„Kołysance Kasi"**, słowa **Jadwigi Korczakowskiej**, muzyka **Henryka Leszczyńskiego**; III nagrodę **„Lekcje w naszej klasie"** słowa **Małgorzaty Warzechy**, muzyka **Andrzeja Krauze**. Ponadto jury przyznało 4 równorzędne wyróżnienia dla piosenek: **„Nie kłóćcie się dorośli"** — słowa **Małgorzata Warzecha**, muzyka **Andrzej Krauze**; **„Nasza klasa"** — słowa **Kalina Jerzykowska**, muzyka **Andrzej Żylis**; **„Dziecięce marzenia"** — słowa **Władysław Jeżewski**, muzyka **Bogdan Domagała**; **„Przez zagony prosta dróżka"** — słowa **Włodzimierz Krzemiński**, muzyka **Helena Krzemińska**.

• • •

ROZSTRZYGNIĘTY został także konkurs poetycki o Nagrodę „Milowego słupa". Jury pod przewodnictwem Janusza Koniusza przyznało następujące nagrody i wyróżnienia:

I nagroda Dariusz Tomasz Lebioda z Bydgoszczy; II nagroda Bogdan Robies z Płocka; dwie III nagrody — Waldemar Gałiński z Wołomierza i **Krzysztof Ćwikliński** z Ciechocinka. Wyróżnienia otrzymali: **Marek Brymora** z Kalisza i **Krzysztof Martyka** z Kalisza. Nagrodę za debiut przyznano **Leszkowi Wyrzykowskiemu** z Olsztyna.

• • •

Na koniec częściowe wyniki jeszcze jednego konkursu, jaki został rozstrzygnięty. Był to konkurs Zarządu Wałbrzyskiego Towarzystwa Kultury — XVI Ogólnopolski Turniej Poetycki i Plastyczny o „Złotą Lampkę Górniczą". I tak II nagrodę i „Srebrną Lampkę Górniczą" otrzymał Marek Brzeziński z Łodzi. Jedno z sześciu wyróżnień otrzymał również łodzianin Tomasz Brzeziński.

Malujcie pochlebnie...

„Nie pragnijmy, żeby wszyscy myśleli tak samo jak my. Jednakowość mnieman byłaby ohydna. Co do mnie, panowie, straszliwie bym się nudził i unikałbym swojej własnej rozmowy, gdybym był zawsze w zgodzie z samym sobą; na szczęście nic z tego, gdyż od czasu do czasu sobie przeczę. Wierzajcie mi: dobrze jest czasami przeczyć samemu sobie, choćby tylko dla zbawiennej rozrywki, i aby się nauczyć znosić przeczenie, kiedy wyjdzie od kogo innego. Wreszcie, kto sobie przeczy, ma więcej szans od innych, że powie czasami prawdę, jeśli istnieje ona na świecie".

Niefrasobliwe te słowa o prawdzie i o konsekwencji w myśleniu wypowiedział Anatol France na bankiecie ku czci Rabelais'go w 1913 roku. Poetykę niekonsekwencji i paradoksu doprowadził do najwyższej perfekcji i pozostał jej wierny do końca swego długiego życia — zmarł w 1924 roku, 12 października. Sześćdziesiąt lat temu. A jeszcze osiemdziesiąt lat wcześniej — w 1844 — przyszedł na świat jako Francois Thibault, syn paryskiego księgarza. W tę podwójną „okrągłą" rocznicę przypomnijmy znakomitego pisarza, laureata Nagrody Nobla, „papieża wolnej myśli" — jak nazwano go, gdy był u szczytu sławy.

Zaczynał skromnie. Zawód ojca sprawił, że Anatol od dzieciństwa wzrastał wśród książek, przebywał stale w środowisku literatów i intelektualistów świat poznawał i widział przede wszystkim poprzez dzieła i myśli pisarzy wszystkich epok. Jako młodzieniec objął prace bibliotekarza w senacie i zaczął pisać — najpierw oczywiście, wiersze. Miał ponad trzydzieści lat, gdy jego pseudonim — Anatol France — zaczął ukazywać się stale pod felietonami w „Le Temps". Gdy wydano je następnie w czterotomowym wyborze, ich autor w przedmowie zwracał się do redaktora pisma: *„Sądzę, że posiada pan jakiś talizman. Zrobił pan ze mnie pisarza periodycznego i punktualnego. Zatriumfował pan nad moim lenistwem. Zapewniam pana, że to cud uczynić mnie produktywnym"*. Wyznanie to zawierało wiele prawdy. France był pogodnym sybarytą rozmiłowanym w drobnych przyjemnościach życia nie stroniącym od łatwych i niewybrednych przygód miłosnych, a przy tym zbieraczem książek, dzieł sztuki, obrazów i mebli; o rozgłos nie zabiegał, swej twórczości nie przeceniał. Nieoczekiwanie dla niego samego, felietony zyskały jednak wielką poczytność i szybko uczyniły autora sławnym. Znalazł się też ktoś, kto postarał się i potrafił dopilnować, aby talenty pisarskie Anatola nie leżały odłogiem. Dokonała tego wieloletnia towarzyszka życia pisarza, pani Caillavet, która — jak to ujawniły później liczne wspomnienia przyjaciół — po prostu sadzała go za biurkiem i kazała pisać.

Dość późno jak na literacką biografię, bo około czterdziestego roku życia, wydał Anatol France pierwszą powieść — „Zbrodnie Sylwestra Bonnard". Potem dość szybko pospały się następne, jak „Pamiętniki mojego przyjaciela", „Thais" (na jej podstawie Ryszard Ber zrealizował film pod tym samym tytułem, wyświetlany właśnie na naszych ekranach), „Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką", „Poglądy księdza Hieronima Coignard", „Ogród Epikura", „Czerwona Lilia". We wszystkich dominował ton sceptycyzmu i ironii, nie oszczędzającej niczego i nikogo, ale nie pozbawionej dobrotliwego, wyrozumiałego uśmiechu. *„Bez ironii — pisał — świat byłby jak las bez ptaków; ironia to wesele i radość mądrości"*. Bohaterowie tych powieści to pełni pogodnej mądrości *obserwatorzy świata*, którzy raczej komentują rzeczywistość, niż biorą w niej zaangażowany udział. Ale też jak komentują! Nieustająca feeria znakomitych paradoksów ukazuje czytelnikowi każdą rzecz w zupełnie nowym świetle, pobudza do myślenia, jak najprzedniejsze wino, jest odkrywaniem świata na nowo. Anatol France stał się na przełomie stuleci jednym z najpopularniejszych pisarzy świata — mimo że była to literatura intelektualna, dla intelektualistów jak w kilkadziesiąt lat później pisarstwo Bertranda Russella. Tłumaczono go na wiele języków także na polski, chociaż — o ile wiem — nie spolszczono nigdy dwutomowego „Żywota Joanny d'Arc", uznanego we Francji za arcydzieło literatury narodowej.

W roku 1897 wybuchła sławetna sprawa Dreyfusa. Jak wiadomo był to kapitan armii francuskiej, Żyd z pochodzenia, którego oskarżono o szpiegostwo na rzecz Niemiec. Oskarżenie nie było oparte na żadnych dowodach, ale nadano mu niebywały rozgłos, który podzielił Francję — a nawet całą Europę — na dwa obozy: zawziętych nacjonalistów antysemitów, szermujących aż do obłędu sztandarami, ojczyzną, honorem armii i Wielką Racją Stanu, i liberalnych postępowych wyznawców sprawiedliwości, prawa, praworządności. France stanął w obronie Dreyfusa i stał się — znów niejako wbrew własnym zamiarom i własnej osobowości twórczej — pisarzem zaangażowanym politycznie. W latach następnych ukazały się jego najlepsze książki, wznawiane także u nas parokrotnie, zwłaszcza czteroczęściowa „Historia współczesna" („W cieniu wiązów", „Manekin trzcinowy", „Pierścień z ametystem", „Pan Bergeret w Paryżu"). Ironia France'a zyskała tu jeszcze bardziej na dowcipie, a niewiara objęła wszystkie obszary ludzkiej działalności: *„Ludzie ożywieni wspólną wiarą — mówi pan Bergeret — nie mają nic pilniejszego do roboty, jak tępić tych, którzy inaczej myślą niż oni, szczególnie, jeśli różnica jest mała..."*.

„Ponieważ bogactwo i cywilizacja — tym razem cytuje niezrównana, późniejsza od tamtych, „Wyspę pingwinów" — wywołują tylez wojen, ile ich powoduje ubóstwo i barbarzyństwo, ponieważ głupota i niegodziwość ludzka jest nieuleczalna, przeto należy wykonać jeden dobry uczynek: mędrzec nagromadzi tyle dynamitu, ile go potrzeba dla wysadzenia tej planety. Gdy szczątki jej rozlatywać się będą w przestrzeni, we wszechświecie dokona się niedostrzegalna zmiana ku lepszemu i zostanie dane zadośćuczynienie wszechświatowemu sumieniu, którego zresztą nie ma...".

„Wyspa pingwinów" i „Bunt aniołów" powstały już przed pierwszą wojną światową. Boy nazwał je nieoczekiwanie „persyflażem bez dowcipu i gustu" (tu warto może zaznaczyć, że artykuł Boya o autorze „Buntu" i „Wyspy" był jedną z jego ostatnich publikacji — ukazał się *w 1940 roku* w lwowskim „Czerwonym Sztandarze"). Był to sąd odosobniony i trudny dla nas do przyjęcia. Innego zdania był Paweł Hulka Laskowski („Bunt aniołów" to najmęki-niejszy podręcznik względności") i Jan Parandowski („te dwie książki należą do najśmielszych rzeczy, jakie kiedykolwiek stworzył"). „Wyspa pingwinów" jest historią o tym, jak krótkowzroczny święty Mael ochrzcił przez pomyłkę stado pingwinów myśląc, że ma do czynienia z gromadą niewiernych pogan. Chrzest ten staje się powodem skomplikowanych sporów teologicznych i daje asumpt do mnóstwa cietych, zabawnych uwag o wszelkich przejawach życia społecznego; całą powieść odbieramy wreszcie jak metaforyczny, skrzywiony w lustrze satyry, ironiczny obraz ówczesnej Francji. W „Buncie aniołów" jeden z mieszkańców nieba, Nektariusz przybiera postać ludzką i idzie na schadzkę z piękną kobietą. *„Albowiem — pisze France — anioł, stawszy się człowiekiem, postępuje jak człowiek, czyli pożąda żony bliźniego swego i zdradza przyjaciela..."* Szereg niezwykłych przygód Nektariusza na ziemi, to znów nie tyle przeżycia, co krótkie spięcia myśli, idei, paradoksów. Świetna, klarownie czysta w stylu, dowcipna lektura!

Ksiądz Hieronim Coignard jest osiemnastowiecznym libertynem, nie uznającym — mimo swej szaty — żadnych powag. W tej — pełnej pikantnych scen i dialogów — książce („Poglądy księdza Hieronima Coignard") Anatol France najbardziej puścił wodze swej przekornej dialektyce, nie cofnął się przed żadnym „szarganiem świętości", przenicował po wielekroć każdy od wieków zbrązowiony pogląd i idee. Ksiądz Hieronim jest niekonsekwentny jak jego twórca i wcale się tym nie przejmuje — ba, poczytuje to sobie za jeszcze jedną zasługę. Cnota? *Najbardziej grzeszy ten, kto uwodzi brzydkie kobiety, bo nie ma nawet okoliczności łagodzącej, że poniosła go przemożna pokusa...* Talent? *„Nie było mu tajne, że talent posiada, wiedział jednak, że jest to rzecz najtrudniejsza do przebaczenia. Dużo łatwiej darować ludziom wybitnym małoduszność i obłudę serca. Godzimy się chętnie z ich tchórzostwem czy złośliwością, nawet powodzenie nie przysparza im nieprzyjaciół, o ile tylko jest niezasłużone..."*. Poszukiwanie prawdy? *„Stare błędy nie są tak straszne, jak nowe, a jeśli już musimy dać się wodzić za nos, to lepiej chyba trzymać się złud, których ostrze stępiało..."*.

Ksiądz Coignard — Anatol France — wypowiada się też w sprawach politycznych. Jego zasadniczym poglądem jest niewiara w jakikolwiek pogląd: *„Szaleństwa rewolucji wynikły jeno z chęci ugruntowania cnoty na ziemi. Ten, kto chce uczynić ludzi dobrymi, mądrymi, wolnymi, umiarkowanymi i wspaniałomyślnymi, musi konsekwentnie dojść do chęci wymordowania ich wszystkich..."*.

„Owce winny znosić cierpliwie strzyżenie nożycami starego pasterza, bo może nastać młody, który im zedrze wełnę razem ze skórą".

„Opozycja to bardzo zła szkoła rządzenia, a politycy rozumni starają się usilnie rządzić wedle zgoła odmiennych maksym, jak te, które głosili za opozycji. Skłania ich do tego ta sama konieczność, której ulegali ich poprzednicy. Do rządów wnoszą jedną nowość, to znaczy swój brak doświadczenia. To mnie skłania do twierdzenia, że każdy nowy rząd będzie gorszy od dawnego, nie różniąc się oden zasadniczo. Rządy są jak wino, klarują się i stają słodsze z biegiem czasu. Najsroższe zatracają z czasem swe pazury. Boję się monarchii, gdy młoda i silna, boję się również nowo narodzonej republikańskiej cnoty...".

Tych cytatów — jak sądzę — wystarczy, aby scharakteryzować styl i rodzaj dowcipu Anatola France'a. Wracajmy do autora. Z książki Pierre'a Calmette, długoletniego przyjaciela pisarza („La grande passion d'Anatole France" — „Wielka namiętność Anatola France'a"), dowiadujemy się, że w roku 1914 w pierwszych miesiącach wojny, France został uznany za zdrajcę, obrońcę wroga. Chodziło o list otwarty, ogłoszony przez Anatola w sprawie zburzenia przez Niemców katedry w Reims. List kończył się tak: *„Weźmiemy pomstę bezlitosną i wielkoduszną. Nie splamimy naszego zwycięstwa żadną zbrodnią i kiedy złamiemy ich ostatnią armię i zdobędziemy ich ostatnią twierdzę, na ich własnej ziemi ogłosimy, że naród francuski przyjmuje do swej przyjaźni pokonanego wroga"*. Opinię francuską poruszyły te słowa i wzburzyły ogromnie. Mnożyły się w prasie ataki na France'a, żądano aresztowania i sądu. Pisarz bronił się energicznie, inspirował artykuły w swej obronie, sam siebie nazywał człowiekiem niezaradnym politycznie, oderwanym od bieżących zdarzeń. Wreszcie... zgłosił się na ochotnika do służby frontowej. Miał 70 lat. Zanim wezwano go na komisję — zachorował co pozwoliło — za staraniem pana Calmette — spisać fikcyjny protokół, stwierdzający, że pisarz zgłosił się i nie został uznany za zdolnego do służby. *„Szkoda — pisała później prasa — ale Anatol France napisze nam kilka silnych heroicznych stronic, które pozwolą nam odżałować, że będziemy mieli o jednego żołnierza mniej na froncie"*.

Wieloletnia, wierna towarzyszka Anatola France'a pani Caillavet, zmarła w roku 1910. Pisarz przeżył ją zatem o czternaście lat. Niewiele już książek przybyło w tych latach, chyba nie tylko dlatego, że nie miał kto pilnować spędzania co dzień kilku pracowitych godzin przy biurku. Jeszcze trwały słynne spotkania w willi Said, zapełnionej od piwnic po strych dziełami sztuki, jeszcze pielgrzymowali artyści i pisarze całej Europy do tej willi, na spotkanie ze słynnym, przechodzącym w legendę starcem. Był sławny i bogaty, Jan Jakub Brousson, sekretarz France'a, wydał po jego śmierci książkę „Anatole France en pantoufles" („Anatol France w pantoflach"), w której zanotował wiele anegdot z życia pisarza. O jego służącej: *„Raz na zawsze wmówiła w swojego pana, że jest dzieckiem, i że bez niej ruszyć się nie może. Budzi go rano, pije czekoladę i ubiera z wielką ceremonią, jak króla w Wersalu. Gdy się chce przed nią wymknąć, chwyta go na progu i zdziera z niego nocną koszulę, w której chciał iść z wizytą"*. Zdarzyło mu się pójść do opery w szlafroku. Boi się natrętów, ale każdego wita uściskiem ze łzami w oczach. Lubi być portretowanym. *„Ale malujcie pochlebnie — mówił malarzom. Wybierzcie najpiękniejszych mężczyzn. U jednego weźmiecie wzrost, u drugiego nogę, u trzeciego rysy twarzy. Włosy niech będą obfite, kędzierzawe, barwy hiacyntu. Nie wiem dokładnie, jaką barwę ma hiacynt, ale z autorów starożytnych wiem, że cieszyła się ona wielkim uznaniem. I pod tym cudem podpiszcie: Anatol France"*.

Brousson zanotował też słowa pisarza, wypowiedziane na krótko przed śmiercią: *„Nie wiem, co to jest szczęście. Nigdy, ani przez jedną godzinę w życiu nie byłem szczęśliwy"*. To wyznanie nie pasuje nam do obrazu człowieka, który życia nie brał zbyt poważnie, miał wiele intelektualnych i kolekcjonerskich satysfakcji cieszył się wielkim uznaniem i autorytetem. Może nadmiar przygód miłosnych o czym nie omieszka wspomnieć nikt z kręgu bliskich znajomych pisarza świadczył o braku prawdziwej miłości w jego życiu? Może to ten brak wywołał owo smutne wyznanie?

Pozostał w historii literatury jako jeden z jej największych luminarzy. Boy zakończył wspomnienie o nim takimi słowami: *„Życie aż nadto uczy codziennie człowieka niezłomnie wierzyć w to, co mu wygodne, ku czemu prą go jego interesy lub namiętności; filozofia tedy, która go uczy wątpić, jest zbawienną i ludzką nauką"*.

Anatol France, sam pełen globalnej — jak byśmy dziś powiedzieli — niewiary, był właśnie filozofem, który uczył wątpić.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Opowieść prawie kryminalna

Edward Szuster podjął się bardzo trudnego zadania.

Historycy przez swoją nieudolność popularyzatorską i hermetyczność zdołali już zniechęcić wielu ludzi do interesowania się niektórymi okresami naszych dziejów. Paradoksalność tej sytuacji polega na tym, że w bibliotekach leżą sterty książek o naszej przeszłości, czytelnik po nie nie sięga, a przecież zainteresowanie historią nie maleje. Jest to wszakże zainteresowanie nie tyle całą historią, co niektórymi okresami, o których mniej napisano lub o których stworzono różne mity tak w literaturze oficjalnej, jak i nieoficjalnej.

Łódź ma bogatą przeszłość. Ale ta przeszłość nie jest tak znana, jakby się można było tego spodziewać. Jest ona dobrze znana specjalistom, historykom zajmującym się dziejami miasta oraz studentom, którzy muszą „przerobić ten materiał do egzaminu". A powinna być znana wszystkim. Myślę tu między innymi o latach 1905—1907. O rewolucji i reakcji na nią. Myślę też o walkach bratobójczych w Łodzi. Myślę o położeniu klasy robotniczej w Łodzi w tym czasie. Smiem twierdzić, że wiedza na ten temat jest ograniczona, szczególnie wśród młodego pokolenia, choć literatura na ten temat — literatura historyczna — jest bogata. Jest to kolejna ilustracja do owego paradoksu, o którym już wspomniałem.

I oto Edward Szuster podjął się zadania spopularyzowania w formie beletrystycznej jednego z epizodów ze smutnego 1907 roku. Był to rok wygasających strajków, narastającej reakcji i walk bratobójczych. Zaczął się ten rok fatalnie. 1 stycznia 1907 roku na ulicy Zarzewskiej podczas pogrzebu T. Jędrzejczaka zginęły 2 osoby, a kilka odniosło rany. Był to smutny wynik strzelaniny, jaka miała miejsce w czasie pogrzebu między socjalistami a narodowcami. 2 stycznia zginęły 2 osoby, a 9 odniosło rany. 3 stycznia zginęły 4 osoby, a 4 zostały ranne. 5 stycznia narodowcy zastrzelili działacza SDKPiL, Juliana Eberhardta... Strzelanie do ludzi stało się „czymś normalnym", gdy zawodziły argumenty przemawiał „bronek", jak pieszczotliwie nazywano brauningi. Kawałek ołowiu był argumentem przekonywającym, eliminował przeciwnika. Kuł używano też w sporach z fabrykantami. 23 maja na ulicy Zachodniej robotnicy zastrzelili znienawidzonego inż. D. Rosenthala, dyrektora technicznego w zakładach Towarzystwa Akcyjnego I. K. Poznańskiego, a 6 czerwca dyrektora przędzalni tych zakładów, Edwarda Reissa. Broni używano też przy wymuszaniu decyzji na załogach zakładów, jeśli te wzbraniały się strajkować lub chciały strajkować, a któraś z partii była temu przeciwna. Broni używano dla przepędzenia z fabryk narodowców lub socjalistów. Używali jej jedni i drudzy.

W sierpniu 1907 roku po strajku ekonomicznym zamknięto zakłady Tow. Akcyjnego Mieczysława Silbersteina. Uruchomiono je we wrześniu, a robotnicy przyjęli warunek, że nie otrzymają zapłaty za czas, kiedy fabryka była nieczynna. Po uruchomieniu fabryki doszli jednak do wniosku, że należy się im za ten czas zapłata. Odbyło się spotkanie delegatów różnych organizacji politycznych i zawodowych, którzy zdecydowali, że Mieczysław Silberstein dość już naurągał i naprześladował robotników. Jeśli nie zgodzi się zapłacić, zostanie zastrzelony. Takie jest tło powieści Edwarda Szustra, taki jest jej początek.

Jak Edward Szuster wywiązał się z podjętego zadania?

Moim zdaniem znakomicie! Nie wystawiam cenzurki. Stwierdzam tylko fakt, że napisał książkę, którą się czyta z zainteresowaniem. Musiał oprzeć się na faktach i materiałach, ale potrafił wyjść poza nie i tchnąć życie w postacie zarysowane tylko przez dokumenty. „O ośmiu głównych bohaterach dramatu — napisał w posłowiu do swojej książki — napisano w swoim czasie wiele słów potępienia, ale wiadomo o nich tylko tyle, co utrwaliły notatki prasowe lub urzędowe dokumenty, dla których wystarczyły personalia osób i suche — często sprzeczne — informacje o roli, jaką w sprawie Silbersteina odegrali. Wszystko inne, a więc zawód, stosunki rodzinne, usposobienie itd. jest tworem wyobraźni autora". Twór ten okazał się wielce udany.

Edward Szuster opisuje 11 dni z życia kilkunastu osób. Jedne zajmują go więcej, bo i większą rolę odegrały w dramacie, inne mniej. Ale i te i tamte nie są płaskie, choć rysowane są przecież kilkoma zaledwie kreskami. Czytelnik nie zapomina o nich po przewróceniu kartki. Żyje się z nimi, stają mu się bliscy, choć może nie zawsze się zgadza z ich postępowaniem.

Książka nosi tytuł: „Jedenaście dni", a Janusz Szymański-Glanc narysował na okładce budynki fabryczne i... rewolwer. Zapowiada to dramat kryminalny w fabrycznej scenerii. I tak jest rzeczywiście, choć powieści nie można odmówić walorów historycznych i politycznych. Ale historia i polityka są w tle. Autor nie wysuwa ich na plan pierwszy. Bardziej interesują go motywy ludzkiego postępowania, a że to interesuje wszystkich, czyta się książkę lekko i z zainteresowaniem.

Nie powiem, co stało się z bohaterami tego historycznego dramatu i bohaterami książki. Nie uprzedzę faktów. Niech czytelnik sam się dowie. Ale muszę jednak napisać, że zakończenie książki jest najsłabsze. Autorowi jakby zabrakło odwagi, aby doprowadzić dramat do końca w formie artystycznej. Posłużył się dokumentami: raportem policyjnym, notatką prasową i listem Feliksa Dzierżyńskiego. Osłabił przez to cały efekt. Relacja z 11 dnia rodziła napięcie. Czytelnik oczekiwał tragedii. Stała się, ale pokazana poprzez dokumenty straciła na swojej artystycznej wymowie. Szkoda.

LUCJAN BOGUSZ

Edward Szuster, „Jedenaście dni", KAW, Łódź 1985, cena zł 80.

Polemiki • Listy • Opinie

SZERSZY ODGŁOS BRAKU „ODGŁOSÓW"

Pod takim tytułem ukazał się w 49 numerze „Odgłosów" z 1984 roku list J. Stanisława Knypla i pod takim samym tytułem w nr 1 z 1985 roku ukazała się polemika z tym listem autorstwa Jerzego Kałużki. Nie mogę pozostać wobec tej polemiki obojętnym i to z dwu powodów. Pierwszy — dotyczy ona „Odgłosów", za których kształt i nakład jestem odpowiedzialny. Drugi — zobowiązuje mnie do tego w jakimś sensie uchwała VI Plenum ZG SD PRL z 11 października 1984 roku. W uchwale tej istnieją następujące dwa punkty:

„12. Zobowiązuje się Prezydium ZG i wszystkie ogniwa stowarzyszenia do popierania starań wszystkich uprawnionych do tego agend zabiegających o przydział papieru oraz przedsięwzięć inwestycyjnych zmierzających do rozbudowy bazy technicznej wszystkich środków przekazu.

13. Apeluje się do redaktorów naczelnych o poparcie starań, o których mowa w punkcie 12."

Wprawdzie J. Stanisław Knypl nie jest **„upoważnioną do tego agendą"**, ale jest nie tylko współpracownikiem „Odgłosów", ale i ich czytelnikiem, a to się musi liczyć. Zresztą — jak wskazuje na to tytuł publikacji J. Stanisława Knypla — chodzi mu nie tylko o nakład „Odgłosów", ale o sprawy nieco szersze, które Jerzy Kałużka pominął, albo których — być może — nie zrozumiał. I stąd moja wypowiedź w tej polemice.

1. Nie ma powodu spierać się, czy „Odgłosy" leżą w kiosku kilka godzin, czy kilka dni. Wprawdzie dość uważnie zespół nasz obserwuje kioski i dokonującą się tam sprzedaż pisma, ale podstawą do analizy nakładu są dokumenty nadsyłane przez „Ruch", którymi również dysponuje Jerzy Kałużka. Przychodzą one wprawdzie po 6 tygodniach od ukazania się numeru pisma, ale to już inna sprawa. Tym niemniej dla nas w „Odgłosach" są podstawą wszelkich analiz i wniosków.

Dlatego nie bardzo rozumiem, co Jerzy Kałużka miał na myśli, gdy pisał o **„tłustych miesiącach tygodnika, kiedy to na jego łamach zamieszczano kolejne odcinki powieści"** Zbigniewa Nienackiego „Raz w roku w Skiroławkach". Czyżby teraz były miesiące chude? Jeśli Jerzy Kałużka zarzuca J. Stanisławowi Knyplowi, że swoje uogólnienia o nakładzie „Odgłosów" czyni w oparciu o obserwacje **„z paru, czy nawet kilku kiosków, usytuowanych, na przykład, w obrębie miejsca zamieszkania autora listu"**, to na jakiej podstawie sam czyni uogólnienia o **„tłustych miesiącach"**? Dla mnie jest to twierdzenie bezpodstawne.

Powieść Z. Nienackiego „Raz w roku w Skiroławkach" zakończyliśmy drukować w 43 numerze „Odgłosów". Miał on nakład 37 619 egzemplarzy i do „RUCHU" wróciło jedynie 775 egzemplarzy. W numerze 44 rozpoczęliśmy druk powieści Andrzeja Makowieckiego „Rapier Napoleona" i nakład tego numeru był taki sam, a zwroty wyniosły 826 egzemplarzy. Również numer 45 miał identyczny nakład i 1053 egzemplarzy zwrotów. Obecnie nakład „Odgłosów" wynosi przeszło 42 tysiące, a numer świąteczny ukazał się w nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy. A można było sprzedać więcej.

Tak to fakty obaliły domniemanie niektórych, że nakład „Odgłosów" zależał tylko od powieści Zbigniewa Nienackiego „Raz w roku w Skiroławkach". Czyżby Jerzy Kałużka podzielał takie domniemanie?

2. J. Stanisław Knypl uważa, że nakład „Odgłosów" nie odpowiada zapotrzebowaniu czytelników. Jerzy Kałużka natomiast twierdzi, że **„Aktualny nakład pisma kształtuje się na poziomie (ilościowym), który zaspokaja potrzeby czytelników"**. Nie wiem, na jakiej podstawie Jerzy Kałużka doszedł do takiego przekonania. Nie poparł go żadnym argumentem. A żeby było śmieszniej, to właśnie Jerzy Kałużka każdego tygodnia ustala nakład pisma.

Do tej pory nikt nie ustalił, jaka jest granica nasycenia rynku czytelniczego „Odgłosami" w Łodzi i pobliskich województwach. Według naszych szacunków jest ono wyższe od obecnego nakładu. Trzeba będzie wreszcie zdecydować się na próbę zbadania pełnego zapotrzebowania na nasze pismo. Wymagać to będzie czasu i określonych działań zespołu. Jesteśmy do tego przygotowani.

3. Sprzedaż „Odgłosów" poza Łodzią i pobliskimi województwami jest osobnym problemem. W tej sprawie mogę jedynie poinformować kierownika Działu Wydawniczego ŁWP, że otrzymujemy listy i telefony z pytaniami, dlaczego mało jest „Odgłosów" poza Łodzią. Zainteresowanych odsyłamy do właściwych oddziałów „RUCHU".

4. J. Stanisław Knypl napisał: **„Czas powiedzieć sobie, że nie stać nas na brak papieru"** i próbował udowodnić, posługując się „Odgłosami" jako pretekstem, że najpierw trzeba wykonać skomplikowaną pracę myślową, a następnie przesunąć dźwignię w maszynie rotacyjnej. Jerzy Kałużka dochodzi do podobnego wniosku, że nie wystarczy ruch mięśni, a potrzeba pracy szarych komórek nim się tę nieszczęsną dźwignię przesunie. Ale zrobić tego nie można, bo... nie ma papieru. I tak oto znaleźliśmy się w punkcie wyjścia. Możemy całą dyskusję zacząć od początku. Dla pełnej jasności przypomnę jej tytuł: SZERSZY ODGŁOS BRAKU „ODGŁOSÓW". A więc nie tylko o nakład „Odgłosów" chodzi. Warto o tym pamiętać!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

CZY UMIARKOWANIE, TO NIESZKODLIWIE?

Po przeczytaniu ostatniego odcinka relacji red. E. Bryla z procesu przeciwko doktorowi J. Krawczykowi chcę wyrazić ogromne zdziwienie i oburzenie z powodu uniewinnienia oskarżonego, który popełnił tyle ewidentnych przestępstw, przecież zeznania świadków obwiniały go i to chyba nie żartobliwie. Mam niewielki powód do radości, iż jestem pedagogiem, gdyż uważam że studia prawnicze, wbrew logice wypaczyłyby moje wrodzone i ukształtowane poczucie sprawiedliwości. Nie znaczy to, że miałabym ochotę ukamienować wszystkich, którzy działają podobnie jak dr Krawczyk, absolutnie! Ale uniewinnienie w tym wypadku jest jednoznaczne z aprobatą, przyzwoleniem. Sądy nie tylko karzą, także wychowują i to nie tylko tych, którzy mieli nieszczęście zasiąść na ławie oskarżonych. O tym nikt nie pamiętał. A przykład jakże „budujący" dla oskarżonego, świadków, poszkodowanych i widzów.

Nie potrafiłabym wyjaśnić młodzieży ani podstaw, ani sensu wyroku. Chętnie zaprosiłabym na lekcję wychowawczą kogoś z sądu — niech by sam wytłumaczył i wysłuchał, co o sprawiedliwości, poszanowaniu prostego człowieka pracy, realizacji bezpłatnego leczenia rolników i nie tylko mówią młodzi. Tego niestety już nie odważę się zacytować!

Wstydzę się, dlatego właśnie pisałam na początku, że moja radość, iż jestem pedagogiem nie prawnikiem jest niewielka, bo w końcu należę do przedstawicieli pokolenia, które wydatnie przyczyniło się do tego, co nazywamy kryzysem — jakże on dziś głęboki. Zdewaluował nawet najwyższe wartości moralne. Dotąd także wierzyłam, że w obliczu Temidy wszyscy obywatele naszego kraju są równi. Czyżby dzisiaj też był potrzebny ktoś taki jak Andrzej Frycz Modrzewski?

Nie gubmy wszystkich wartości i to o ironio w ustroju, który mieni się być sprawiedliwym. Pracowały na nie przecież całe pokolenia uczciwych, wartościowych Polaków. Mamy dobre tradycje walki o sprawiedliwość społeczną. Dzisiaj z jakże wielu dziedzin naszego życia umyka ona i to pospiesznie. Weźmy np. takie prawo lokalowe. W myśl jego każda rodzina może posiadać tylko jedno mieszkanie. Dr. J. Krawczyk ma ich ponoć trzy, podczas gdy w kraju tysiące ludzi żyją w trudnych wręcz prymitywnych warunkach, latami ciułają grosz do grosza na wymarzone „M" i jeszcze dłużej oczekują na nie w kolejkach.

Dla kogo więc jest to prawo?

Sprawa zamożności wielu obywateli też jest bulwersująca. Pogląd, że najlepiej żyć z cwaniactwa, okpiwania innych, wbrew założeniom naszego ustroju, sprawdza się w wielu przypadkach, aż za wielu. Pokazywanie w telewizji zapasów spekulantów jest żenujące. Daleko większe wartości i to niematerialne są dziś przefrymarczane i jakoś nikt nad tym nie boleje. W pogoni za pieniądzem, który oczywiście nie tylko ułatwia życie, ale jest wręcz jedyną szansą przetrwania, upadamy coraz niżej. Ja też odczuwam jego przemożną władzę — bo pracuję uczciwie całe życie, nie zrealizowałam swoich młodzieńczych ideałów, więcej, okazało się, że w świecie realnym zupełnie są nieprzydatne, nie dorobiłam się też fortuny. Dziś z trudem wiążę koniec z końcem, bezradna staję przed sklepową ladą — rzadko stać mnie na kupno dziecku lepszego mięsa, szynki. Ale przecież jakoś nie wpadłam na pomysł stawiania moim wychowankom lepszych ocen za pieniądze.

Mam pytanie dla sądu. Jeżeli będę brała sumy umiarkowane, mam przecież szansę na uniewinnienie.

(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji.)

„KOMU GRA, KOMU KOLIDUJE"

W liście dyrektora mgr Mieczysława Borkowskiego, zamieszczonym w „Odgłosach" nr 50 z 15 grudnia ub. r. zgromadziło się tyle poważnych zarzutów, że zmuszony jestem odpowiadać na nie kolejno, akapit po akapicie:

Akapit pierwszy. Dyrektor mgr M. Borkowski pisze: *„...A. Karolczak, nie upoważniony przez władze oświatowe i administracyjne miasta Łodzi zamieścił nieprawdziwe informacje..."* Wyjaśniam, że nie wiadomo mi było dotąd, że na publikacje jakichkolwiek informacji w prasie potrzebne są zezwolenia władz oświatowych. Nie przyjmuję tego zarzutu, co więcej, w przyszłości także nie zamierzam się ubiegać o takie zezwolenia. Przy okazji zwracam uwagę władz oświatowych i administracyjnych że dyrektor mgr M. Borkowski sugeruje pośrednio, iż istnieje możliwość uzyskania upoważnienia władz na publikowanie nieprawdziwych informacji, co — mam nadzieję — mija się z prawdą, a wymienione władze wręcz obraża...

Akapit drugi. Mój adwersarz pisze iż *...Nieprawda jest, że w Łodzi przestało istnieć IV LO...*

Rzeczywiście, zacząłem mój artykuł od stwierdzenia, że nie ma IV Liceum, co było swoistym chwytem retorycznym. W dalszej części artykułu wyraźnie napisałem, że szkoła istnieje, choć działa w innym budynku i w innej strukturze organizacyjnej. Zawsze dotąd sądziłem, że szkoła istnieje, jeśli istnieją uczniowie i nauczyciele, jeśli odbywają się lekcje. Z listu dyrektora mgr M. Borkowskiego dowiedziałem się, że są to rzeczy drugorzędne. Szkoła istnieje, bo posiada pieczątkę, szyld i przesyła sprawozdania do GUS!

Wywołało to u mnie zaniepokojenie, nie posiadam bowiem ani szyldu, ani pieczątki, nie wysyłam do GUS żadnych sprawozdań. Obawiam się, że wg dyrektora mgr M. Borkowskiego nikt taki jak Andrzej Karolczak nie istnieje...

Akapit trzeci. Wiem, że w okresie międzywojennym budynek gimnazjum E. Szanieckiej był siedzibą magistratu, choć nie napisałem o tym w swoim artykule. W artykule, który tak denerwuje mego adwersarza nie napisałem także wielu innych rzeczy, o których wiem.

Budynek przy ul. Nowotki 16 przypomina mi nadal gmach banku, nic na to nie poradzę...

Akapit czwarty. Nie mam kłopotów w precyzowaniu dat, jeśli te daty są istotne dla sprawy. W zdaniu *„...Podobno budowano go, w początkach naszego wieku, dwa lata"*, słowo *„podobno"* dotyczy owych dwóch lat, a nie wydzielonych przecinkami słów *„w początkach naszego wieku"*. Trochę wiedzy z gramatyki w zakresie szkoły podstawowej przydaje się każdemu, pedagogowi zwłaszcza...

Akapit piąty. Napisałem, że kiedy w auli spadł potężny kawał tynku z sufitu, szkołę w pośpiechu przeniesiono. Dyrektor mgr Mieczysław Borkowski pisze, że to nieprawda, że nie w pośpiechu. Bardzo żałuję, przepraszam. Sądzę jednak, że pośpiech byłby wówczas uzasadniony, więc chyba nikogo nie uraziłem?

Akapit szósty. Zawiera on jedyny cytat z mego artykułu. Ma być to wypowiedź dyrektora Janusza Franke i brzmi: *„...wreszcie okazało się, że inwestor życzy sobie jeszcze planetarium"*. Przeczytałem uważnie cytowaną w moim artykule wypowiedź dyrektora J. Franke. Jest ona wydzielona kursywą, a tekst, cytowany przez mego adwersarza, jest moim własnym tekstem, choć, oczywiście, informację uzyskałem od dyrektora Franke.

W tym samym akapicie dyrektor mgr M. Borkowski pisze o innej, kłamliwej rzekomo informacji, o konflikcie między nim a dyrektor E. Szeflińską. Wyjaśniam, że o konflikcie między panią Edwardą Szeflińską a panem Mieczysławem Borkowskim dowiedziałem się od nich samych, dużo wcześniej niż rozmawiałem na ten temat z dyrektorem Wiesławem Brzozowskim. Dyrektora Brzozowskiego zapytałem o ten konflikt i usłyszałem to, co można było przeczytać w artykule.

Akapit siódmy. Wynika z niego, iż dyrektor mgr M. Borkowski nie nosi w kieszeni nominacji na dyrektora ośrodka. Gdzie mój szanowny adwersarz nosi nominację na dyrektora Ogniska, nie był łaskaw poinformować.

Przyznaję się. Pomyliłem ośrodek z ogniskiem. Błąd jest ogromny i niewybaczalny. Powtarza ten błąd za mną pan Marek Zawilski, wstydźmy się zatem obaj!

Zdaję sobie sprawę, że różnica między ośrodkiem a ogniskiem jest ogromna. Polega głównie na różnicy w szyldzie, na pieczątce i w sprawozdaniu do GUS.

Akapit ósmy. Jeśli nieprawdą jest, że dyrektor mgr M. Borkowski nie jest odpowiedzialny za remont budynku IV LO, to bardzo proszę o informację, kto, ze strony inwestora, jest personalnie odpowiedzialny za dozór nad pracami remontowymi?

W tym samym akapicie dyrektor mgr M. Borkowski zaprasza mnie do planetarium, żebym uczył się od młodzieży światopoglądu materialistycznego. Dziękuję za zaproszenie. Będę się uczył dobrych manier polemicznych i eleganckiego języka od dyrektora tej placówki.

Oświadczam, że po dokładnym i wielokrotnym przeczytaniu mego tekstu nie mogę się zgodzić z zarzutem, że popełniam błędy pisząc o astronomii i Koperniku. Nic a nic, ani słowa nie napisałem o astronomii ani o Koperniku. Pokpiwałem sobie z nazwy „dostrzegalnia nieba". Mogą mnie panowie Borkowski i Zawilski przekonywać i przekonywać, a mnie „dostrzegalnia nieba" śmieszyła, śmieszy i będzie śmieszyła.

Akapit dziewiąty. Zaczyna się od słów: *„Dyrektorzy Borkowski, Brzozowski i Franke nie autoryzowali swych wypowiedzi i nie wiedzieli, że będą publikowane"*.

Rzeczywiście, nie autoryzowali. Ustawa nie nakłada na dziennikarza obowiązku przedstawiania do autoryzacji tekstu wypowiedzi. Chyba że udzielający dziennikarzowi wywiadu wyraźnie tego zażąda. Nikt z wymienionych takiego żądania nie wyraził, nic zresztą dziwnego, przecież nie wiedzieli, że będą one publikowane...

Mogę tylko na przyszłość udzielić rady dyrektorowi mgr M. Borkowskiemu: Jeśli przyjdzie do pana dziennikarz, rozłoży notatnik lub włączy magnetofon i zacznie zadawać pytania, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że będzie publikował...

Akapit dziesiąty. Wymyśliłem, jak twierdzi mój adwersarz, że *„...planetaria już w Łodzi były"*. Nie wymyśliłem. Zacytowałem dyrektor Edwardę Szeflińską. A jeśli pomyliła ona, podobnie jak ja, planetarium z obserwatorium, czy „dostrzegalnią", to rzeczywiście jest to ogromny błąd. No bo szyld, bo pieczątka, bo sprawozdanie do GUS itd.

Akapity jedenasty i dwunasty. Nie będę polemizował. W dawnych, dobrych czasach wezwałbym na pojedynek.

List pracowników IV Liceum Ogólnokształcącego, zatrudnionych w remontowanych budynkach przy ul. Nowotki 16 idzie mi z pomocą. Wyraźnie z niego wynika, że dyrektor mgr Mieczysław Borkowski jest odpowiedzialny lub przynajmniej poczuwa się do odpowiedzialności za dozorowanie remontu szkoły.

W tym samym numerze „Odgłosów" (nr 1, 5 stycznia 1985) pan Marek Zawilski pisze: *„Cały artykuł pełen jest domysłów, by nie powiedzieć pomówień. Także sporo dosyć lekceważących i aroganckich sformułowań"*.

Uprzejmie proszę o wskazanie, co w moim tekście jest pomówieniem, co domysłem, co sformułowałem lekceważąco, a co arogancko? Póki nie wiem, co mi się konkretnie zarzuca, nie mogę podjąć polemiki, nie mogę nic wyjaśnić, po prostu nie mogę się bronić.

Tyle w odpowiedzi na listy. Lektura ich zmusza mnie do wyartykułowania kilku uwag ogólnych, bo odnoszę wrażenie, że — niech mi to wybaczą szanowni adwersarze — wyczytali oni w moim tekście najróżniejsze rzeczy, a nie wyczytali tego, co było w nim istotne. Napisałem otóż, że budzi moje i nie tylko moje zaniepokojenie fakt, że mało prawdopodobne jest zakończenie remontu szkoły w terminie. Cieniem na ten remont rzuca się terminowa — co ja mówię, przedterminowa! — budowa planetarium i „dostrzegalni nieba". Obawiam się, że wykonawca uległ naciskowi i zaniedbuje remont, kierując siły i środki na wymienione obiekty.

Myślę, że taka jest prawda obiektywna i nikogo ona nie obraża.

Na marginesie niejako wskazałem na duże zaangażowanie pana Mieczysława Borkowskiego i innych pracowników Ogniska Pracy Pozaszkolnej. Zaangażowanie chwalebne, a tymczasem zarzuca mi się szkalowanie pana Borkowskiego!

Nie kwestionowałem też w artykule potrzeby uruchomienia Ogniska Pracy Pozaszkolnej, przeciwnie, jestem zdania, że dobrze się dzieje, jeśli grono zapaleńców robi coś dla dobra ogólnego. Żal mi tylko, że nikt z podobnym zapałem i zaangażowaniem nie zabiega o większy postęp robót remontowych w całym obiekcie szkolnym.

Bo chyba nikt nie ma wątpliwości, że termin nie będzie dotrzymany?

Jeśli jednak w styczniu [illegible] roku szkoła wróci do dawnego budynku, to dyrektora mgr Mieczysława Borkowskiego na plecach zaniosę do „dostrzegalni nieba" na piąte piętro! Razem z szyldem, pieczątką i sprawozdaniem.

ANDRZEJ KAROLCZAK

„NIEWINNI CHODZĄ BOSO"

W numerze 48 z dnia 1. 12. 1984 r. Waszego pisma ukazał się artykuł Andrzeja Karola pt. „Niewinni chodzą boso". Opisuje w nim autor swoje perypetie wynikłe ze złej jakości zakupionych adidasów (jakoby — w sklepie firmowym „Chełmka"), które to obuwie po dwóch tygodniach mu się rozkleiło.

Treść artykułu jest typowym przykładem nonszalancji i beztroski w operowaniu faktami, co stoi w rażącej sprzeczności z zasadami rzetelności dziennikarskiej.

Po pierwsze: „Chełmek" nie jest i nie był producentem „adidasów", ani nawet innego obuwia, które by „adidasy" przypominało.

Po drugie: „Chełmek" nie posiada już od kilkunastu lat sklepu firmowego w Łodzi, gdzie prawdopodobnie klient nabył wspomniane obuwie.

Posiadamy wyłącznie sklepy firmowe w Chełmku i w Bielsku Białej, a tam na wszelki wypadek sprawdziliśmy — nikt o nazwisku A. Karol butów nie reklamował.

Informując o powyższym dogamamy się zgodnie z przepisami prawa prasowego sprostowania informacji, uwłaczającej renomie firmy, a pretensje radzimy skierować pod właściwym adresem.

KOMITET ZAKŁADOWY PZPR
przy Zakładach Przemysłu Skórzanego w Chełmku

mgr BRONISŁAW GRZESIK
dyrektor

EUGENIUSZ IWANICKI

Włamanie na ulicy Spacerowej

Noc. Chłodno. Październikowy wiatr, jeszcze nie mroźny, ale przejmuje do szpiku kości. Ulicą kroczy szczupły mężczyzna. Właściwie nie kroczy, a balansuje wywijając malownicze i skomplikowane piruety. Czasem ociera się o mury domów, to znów wewnętrzna siła pcha go aż na środek jezdni. Mężczyzna czuje chłód i chętnie wróciłby do knajpy, w której przed kilkoma minutami ciągnął kwaśne winsko w towarzystwie podobnych jemu trunkowych facetów.

Zgierz nie jest metropolią i zabłądzić tu, szczególnie zasiedziałemu mieszkańcowi, jest niezwykle trudno. Nawet takiemu, co wlał w siebie parę butelek „Bałuckiego".

Oto jakieś ogrodzenie, jakiś mur, okna. Niektóre szyby są wysoko, inne prawie tuż przy ziemi. Tamte są wielkie, obszerne, te nisko zaś wąskie jak strzelnice. Mężczyzna tłucze w jednym z nich szkło, wciska się do środka. Jest szczupły, nawet bardzo szczupły. Jakieś 55 kilogramów, nie więcej.

Na dole, gdzie jest ciepłej, porusza się niepewnie, coś przewraca, odsuwa, brzęczy tłuczone szkło. Wymacuje jakieś szafy, ściany, drzwi. Wysuwa szuflady, bada. Nagle spostrzega, że ma skaleczoną rękę, pewnie jak wchodził przez okno A, niech tam... W końcu natrafia na jakieś przedmioty, wyczuwa pod palcami chłodny metal. Więc bierze je i wyrzuca przez okno na zewnątrz. Ale oto uświadamia sobie, że trzyma w ręku krucyfiks. Już się zamachnął, już miał go cisnąć w czarną czeluść nocy i nagle się zatrzymał. Przecież jest człowiekiem wierzącym praktykującym katolikiem, a tu... Nie, nie może tego zrobić. Więc chwyta krucyfiks jedną ręką za podstawę a drugą za krzyż i uderza o kolano. Raz, drugi. Metal pęka z głuchym, przytłumionym trzaskiem. Mężczyzna chowa obie części pod kurtkę i rusza ku oknu. Gramoli się z trudem, właściwie przewala się na stronę nocy, na wilgotną ziemię.

Chwilę nasłuchuje, ale oprócz poświstywania wiatru w gałęziach drzew, miasto pozostaje milczące. Nawet światła w niedalekich blokach są rzadkie i z tej odległości jakieś chłodne i nierealne. Więc zbiera w pośpiechu rozrzucone przedmioty, przyciska do siebie i schylony biegnie pod parkan. Tam, oglądając się i nasłuchując, rękami wygrzebuje dołki w piasku i wsadza do nich to, co zabrał z owego mrocznego budynku.

PIERWSZY SYGNAŁ

Ksiądz Marian Undas tego dnia nie miał żadnych przeczuć. Zresztą nigdy nawet w najbardziej nieprawdopodobnych snach, nie pojawiały się obrazy sugerujące, że jakiś wandal czy złodziejaszek splądruje Dom Boży. Owszem, czytał, że kościoły padają łupem przestępców, że są z nich zabierane cenne naczynia liturgiczne i zabytkowe obrazy... Ale żeby w Zgierzu, do tego w kościele Ewangelicko-Augsburskim... Nie, ksiądz Undas tego dnia nie miał tak czarnych myśli.

„Ostatni raz byłem w kościele we wtorek 23.10.1984 r. Opuściłem kościół około godziny 10.40. W kościele pozostała komisja, która zajmowała się wydawaniem darów. Ponownie do kościoła przyszedłem w dniu 26.10.1984 r. o godzinie 10,15. Kluczami, które miałem przy sobie, otworzyłem drzwi wejściowe główne od ulicy Spacerowej. Po wejściu do środka nie zauważyłem niczego podejrzanego. Skierowałem się do podziemia kościoła. Zauważyłem otwarte okno, które jest podwójne, oraz otwarte drzwi. Nie stwierdziłem nieładu lub nieporządku, nic nie podejrzewałem. Kiedy na posadzce zauważyłem rozbite szkło, zwróciłem uwagę na wybitą szybę... zwróciłem uwagę na ślady nad drzwiami i zacząłem przypuszczać, że do kościoła ktoś wszedł. Z piwnicy budynku poszedłem do zakrystii, gdzie stwierdziłem brak naczyń liturgicznych..."

Powiadomiony natychmiast Rejonowy Urząd Spraw Wewnętrznych w Zgierzu postawił w pogotowie odpowiednie służby. Należało ustalić: co zostało skradzione, w jaki sposób dokonano włamania i wreszcie, kim jest sprawca tego czynu. Na dwa pierwsze pytania odpowiedź nie nastręczała trudności. Jak można było przewidzieć, pytanie trzecie rozciągnie się w czasie, zajmie sporo godzin i wiele czynności.

Tymczasem było już wiadomo, że nieznany sprawca zabrał bardzo wartościowe, a niektóre mające znaczenie zabytków, przedmioty. I tak: kielich rytualny z 1817 roku, srebrny, wewnątrz pozłacany, świecznik jednoramienny, jednoświecowy, srebrny, krzyż z białego metalu, dwa naczynka liturgiczne z białego metalu, paterkę liturgiczną oraz czajnik z białego metalu.

ZŁODZIEJ ZOSTAWIA ŚLADY

Wypis z notatki urzędowej: *„W dniu 26.10.1984 r. około godziny 10,45 udałem się na miejsce włamania do kościoła w Zgierzu przy ul. Spacerowej nr 2. Na miejscu w czasie przeprowadzonych oględzin ustalono, że sprawca dostał się po uprzednim wybiciu szyby w okienku od strony pawilonu handlowego tj. od strony południowej i w tym czasie skaleczył się, o czm świadczą ślady krwi, która została zabezpieczona. Po dostaniu się do wnętrza dokonał on kradzieży w zakrystii naczyń liturgicznych w postaci krzyża srebrnego o wysokości około 80 cm, kielicha srebrnego ornamentowanego, dwie pateny tj. okrągłe miseczki, jedna posrebrzana a druga niklowana, jeden świecznik srebrny oraz naczynia na komunikanty o wstępnie oszacowanej wartości 200.000 zł. Skradziono również jedną butelkę wina mszalnego... Sprawca częściowo zniszczył makietę kościoła, która znajdowała się w oszklonej gablocie w przedsionku kościoła."*

W trakcie oględzin znaleziono grzebień, który prawdopodobnie wypadł złodziejowi w czasie jego wchodzenia lub wychodzenia z kościoła.

Oczywiście zdjęto odciski palców, wykonano wiele zdjęć fotograficznych, pobrano do badania laboratoryjnego próbki krwi pozostawionej przez włamywacza. Nawet użyto psa, który przecież mógł zaprowadzić do miejsca przebywania złodzieja.

„W dniu dzisiejszym o godzinie 11.00... udałem się na miejsce włamania do kościoła ewangelickiego... ponieważ sprawca czynu pozostawił ślady krwi na ścianie budynku w okolicy okna z wybitą szybą... Podjąłem decyzję o użyciu psa tropiącego... Pies tropiący puszczony na ślad dwukrotnie doprowadzał na tyły budynku parafialnego, po czym po pokonaniu przeszkody w postaci parkanu wykonanego z prętów metalowych, doszedł do ulicy Dubois przy ulicy Republikańskiej. Dokonałem na całym odcinku penetracji terenu, jednak bez wyników pozytywnych."

Tak więc wydawało się, że ujęcie sprawcy nie będzie łatwe, gdyż penetracja środowisk tzw. marginesu społecznego a także znanych milicji miejscowych złodziejskich melin także nic nie dała. Zachodziło więc podejrzenie, że mógł to być ktoś, kto zjawił się w Zgierzu na „gościnne występy". Pozostawała obserwacja targowisk i paserów, ludzi lekkiej ręki zapełniających bazary we wszystkich większych miastach Polski.

NIESPODZIEWANA POMOC

Społeczność Zgierza była wstrząśnięta faktem włamania do kościoła i zabraniem stamtąd naczyń liturgicznych. W budynku milicji zaczęły dzwonić telefony i najrozmaitsi informatorzy wyrażali nie tylko swoje oburzenie, ale i chęć pomocy. Niestety, nikt nic bliższego nie wiedział i nie widział. Dopiero dwa tygodnie po włamaniu, jeden z telefonów był niezwykły: anonimowy rozmówca mówił o konkretnych faktach. Oto zapis dokonany przez dyżurnego milicjanta:

„W dniu 9.11.1984 r. w czasie pełnienia służby około godziny 20.00 anonimowy rozmówca poinformował mnie telefonicznie, iż koło kościoła ewangelickiego kręci się jakiś mężczyzna. Chodzi on przy ogrodzeniu cmentarza od strony ul. Okrzei i coś kopie w ziemię nogami. Rozmówca powiedział, iż w niedługim czasie było włamanie do kościoła ewangelickiego i obawia się, że ktoś może ponownie się włamać do kościoła. Zapytałem o nazwisko, lecz nie chciał powiedzieć i odłożył słuchawkę. W związku z powyższym... udałem się pod podane przez anonimowego rozmówcę miejsce w celu sprawdzenia informacji i ewentualnego ustalenia czy kręcąca się osoba nie jest sprawcą włamania, jakie miało miejsce w październiku br. Nikogo na miejscu nie zastaliśmy. Dokonaliśmy przy użyciu latarek dokładnej penetracji terenu ze szczególnym uwzględnieniem zwracania uwagi na to czy pod płotem cmentarza nie ma śladów kopania piasku. W wyniku penetracji zauważyliśmy, że pod płotem znajduje się świeży piasek oraz kępa wyrwanej z ziemi suchej trawy. Rozkopaliśmy to miejsce i zauważyliśmy, iż znajduje się tam krzyż oraz podstawa pasująca do krzyża i kielich pochodzący najprawdopodobniej z włamania do jakiegoś kościoła."

To był już jakiś konkretny ślad i to bardzo istotny, gdyż dotąd nie było wiadomo, gdzie znajdują się skradzione przedmioty. Co prawda była to część zaledwie, ale przecież można było uważać to znalezisko za rodzaj sukcesu. Mały kroczek, ale przecież kroczek do przodu w tej zawiłej i niełatwej sprawie.

PRELUDIUM DO SUKCESU

Do znanego milicji pasera Jana T. tegoż samego dnia przyszedł jego kumpel.

— Mam coś, co cię zainteresuje — powiedział.

— Ty? — zdziwił się paser. — Chcesz sprzedać własną babkę?

— Nie, ale coś jeszcze znacznie starszego.

Jan T. był doświadczonym bywalcem wielu targowisk, człowiekiem co nie z jednego pieca jadł chleb i niejedną w życiu przeprowadził transakcję. Udał więc spokój, a nawet pewną obojętność.

— Powiadasz, że to coś jest stare. Czy myślisz, że każda starzyzna jest coś warta?

— Sam zobaczysz.

— Gdzie to masz?

— W torbie.

Przybysz zaczął wyjmować przedmioty, a Janowi T. wystarczył rzut oka, by się zorientować, że nie są to odpustowe cacka, lecz wyroby o sporej wartości. Ale posłuchajmy co na ten temat mówi sam paser.

„...przedmioty liturgiczne od Tadeusza W. nie nabyłem w m-cu październiku 1984 r., lecz w dniu 9 listopada 1984 r... Jestem właścicielem dwóch samochodów tj. samochodu m-ki „Syrena R.20" oraz samochodu „Fiat 126 p"... Utrzymuję się ze sprzedaży mienia, jakie posiadam w mieszkaniu... Tadeusza W. znam od około 20 lat... w dniu 9 listopada 1984 r. przyszedł do mnie... i zapytał czy nie kupiłbym od niego starocie. Spytałem go jakiego rodzaju są te rzeczy. Wtedy W. wyjął z torby dwa dzbanuszki, jeden mniejszy, drugi większy i trzy talerzyki jednakowej wielkości. Wszystkie te naczynia wyglądały na niklowane. Zapytałem o cenę tych przedmiotów. Odpowiedział, że za wszystko chce 1.500 zł. Dodał, że ma jeszcze dzbanek duży do kawy, ale tego nie ma przy sobie... Wsiedliśmy w mój samochód i pojechałem do niego. W domu u niego nie byłem. Po chwili wrócił do samochodu przynosząc mi dzbanek. Obejrzałem go i spytałem o cenę. Odpowiedział, że za dzbanek muszę dać 1.700 zł. Zgodziłem się na zakup wszystkich tych przedmiotów... Ja skupem staroci zajmuję się od dawna i wiedziałem, że przedmioty, które mi przyniósł do sprzedaży przedstawiają większą wartość niż on je wycenił... W dniu 10 listopada 1984 r. swoim samochodem m-ki „Fiat" pojechałem do Łodzi na bazary... Dwie miski kupione od W. zamieniłem na drewniane pudełko tzw. kasetę... Pozostałych przedmiotów nie udało mi się wymienić..."

Zanim jednak Jan T. złożył powyższe zeznanie, milicja już penetrowała intensywnie ludzi zajmujących się kupnem i sprzedażą na bazarach, a wśród nich na czołowym miejscu figurował Jan T. I kiedy wezwano go na przesłuchanie, od razu zaczął mówić.

W POTRZASKU

Jan T. wymienił nazwisko człowieka, który sprzedał mu kilka naczyń liturgicznych, a które ksiądz Marcin Undas rozpoznał jako własność kościoła ewangelicko-augsburskiego. Niestety, Tadeusz W. znikł nagle i nikt nie wiedział, co się z nim dzieje. Specjalna ekipa przeszukała — już za dnia — owe miejsca pod murem cmentarnym, gdzie ubiegłej nocy jakiś mężczyzna usiłował coś zakopać. Oprócz tamtych przedmiotów wykopano jeszcze srebrny świecznik. Nadal nie było naczynia na komunikanty, ale sądzono, że gdy sprawca włamania znajdzie się w areszcie i ta sprawa zostanie wyjaśniona.

Ale sprawcy nie było. Ku zdziwieniu milicji Tadeusz W. nie figurował na liście osób, które w przeszłości wchodziły w kolizję z prawem. Co prawda nie jest człowiekiem kryształowym i za spowodowanie wypadku drogowego miał rok i sześć miesięcy w zawieszeniu, ale należy raczej do grupy tych spokojniejszych. Stwierdzono, że ma 39 lat, że jest żonaty, choć żyje z żoną w separacji, że ma 15-letnią córkę i że od niedawna rozpoczął pracę jako wózkowy w Zakładach Urządzeń Transportowych w Zgierzu. Pije. Właśnie za to wygoniła go żona z domu i aktualnie mieszka u matki.

W końcu znaleziono go ukrywającego się w jednej z kotłowni.

Niczemu nie zaprzeczał, przyznał się od razu. Powiedział:

„Po rozstaniu się z kolegami po wypiciu wina, pamiętam, że szedłem ulicą Spacerową... Nie wiem co mną pokierowało, że wszedłem na teren gdzie znajduje się kościół „niemiecki"... doszedłem do jakiegoś małego okienka i przez nie wszedłem do środka. Jak wchodziłem przez to okienko, to skaleczyłem sobie czwarty palec na lewym ręku na zewnątrz... Otwierałem poszczególne pomieszczenia i szafy się w nich znajdujące. Sam nie wiem co w nich szukałem... Chyba z szaf zabrałem różne rzeczy, które mi wpadły w rękę i te rzeczy wyrzuciłem na zewnątrz przez okienko... Wyrzuciłem kielich i świecznik. Ponadto zabrałem krzyż, który nie wyrzuciłem, tylko schowałem pod kurtkę, usiłowałem odkręcić podstawę i nie wiem czy ona oderwała się czy złamała, po prostu zostały mi w ręku krzyż i oddzielnie podstawa...

Następnie sam przeszedłem przez płot na ul. Okrzei, pozbierałem wszystkie przerzucone przedmioty i odszedłem z nimi pod parkan i rękoma odgarnąłem w dwóch miejscach trawę, a następnie wygrzebałem piasek i wszystkie te przedmioty umieściłem w tych otworach przysypując je piaskiem i przykrywając trawą... Nie wiem po co brałem z kościoła te przedmioty i po co je zagrzebywałem..."

PRAWIE FINAŁ

Jak pamiętamy, po kilku dniach wykopał co nieco, sprzedał Janowi T. a za uzyskane pieniądze *„...kupiłem dwie butelki wina"*. Za sprzedany dzbanek *„kupiłem trzy butelki wina"*.

Zanim skradzione przedmioty wrócą na swoje miejsce, czyli znajdą się w kościele, trzeba było ustalić ich rzeczywistą wartość. Powołano więc biegłego rzeczoznawcę sądowego. Z jego ekspertyzy wynika, że:

1. Kielich rytualny pochodzi z 1817 r. (srebrny, wewnątrz złocony), wykonany w stylu empirowym, wagi 450 gramów kosztuje dziś 150 tys. zł.

2. Świecznik jednoramienny, jednoświecowy także ze srebra próby 925, wykonany w Szwecji w XXw., ręcznie kuty jest wart 95 tys. zł.

3. Krzyż z białego metalu, wyrób XX w. w cenie 15 tys. zł (gdyby nie był złamany jego wartość sięgałaby 50 tys. zł).

4. Naczynko liturgiczne z białego metalu, także wyrób z XX w. zostało wycenione na 3 tys. zł.

5. Naczynko liturgiczne trochę większe w cenie 6 tys. zł.

6. Paterka (talerzyk) liturgiczny, wyrób XX w. w cenie 1.500 zł.

7. Czajnik z białego metalu, wyrób XX w. w cenie 20 tys. zł.

Biegły rzeczoznawca pisze na zakończenie, że wszystkie te przedmioty należą do unikatów historycznych, przy czym krzyż, kielich i świecznik stanowią wartość muzealną. Łączna wartość skradzionych przedmiotów wynosi 272.500 zł.

I to byłoby właściwie wszystko. Chociaż nie, gdyż zatrzymanie owego pasera Jana T. stanie się zapewne kolejnym ciekawym procesem. Otóż w wyniku dokonanego przeszukania w jego miejscu zamieszkania znaleziono prawdziwe skarby. I tak: 30 obrazów olejnych (wśród nich autentyczny ponoć Kossak), prawie 50 akwarel sporo ikon, tulskich samowarów, najrozmaitsze świeczniki, aparaty fotograficzne, tace, kielichy, patery, zegary i zegarki, radio, kolumny głośnikowe, wzmacniacze całe stosy łańcuszków srebrnych, pierścionków i obrączek ze złota, złote bransoletki, kolczyki, powiększalnik, magnetofony itp itd. Jan T. twierdzi że wszystko to stanowi jego własność, a w Polsce przecież nikogo nie karze się za to, iż ma jakieś swoje hobby i lubi zbierać to i owo. A że nie pracuje? Utrzymuje się właśnie ze sprzedaży owych rodzinnych pamiątek i przedmiotów mozolnie zbieranych przez lata.

Teraz fachowcy muszą ustalić czy coś z tych hobbistycznych zbiorów nie pochodzi z któregoś z krajowych muzeów lub nie zostało skradzione ze zbiorów prywatnych. Ale sądzę, że to jakiś czas potrwa, a Jan T. w międzyczasie pozostanie na wikcie państwowym.

(5)

„W imieniu Boga" – tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Nie minęły jeszcze 24 godziny od śmierci Pawła VI, zanim ciało tego zostało pochowane i dokonano choćby przejściowego podsumowania jego pontyfikatu, londyńskie biuro bookmacherskie „Ladbrokes" ogłosiło pierwsze zakłady na wybór jego następcy. CATHOLIC HERALD, który w artykule opublikowanym na tytułowej stronie zamieścił ostrą krytykę tego biura, poinformował jednocześnie swoich czytelników o aktualnych notowaniach.

Faworytami byli kardynał Pignedoli w stosunku 5:2, kardynałowie Baggio i Poletti po 7:2 i kardynał Benelli — 4:1. Dobrze notowano jeszcze szanse kardynała Willebranda — 8:1. Szanse kardynała Koeniga oceniano jak 16:1, a brytyjskiego kardynała Hume jak 25:1. To niespodziewanie wyraźne zakwalifikowanie Anglika jako autsajdera mogło być wynikiem tego, że Hume oświadczył, iż nie ma kwalifikacji do sprawowania tej funkcji. Wśród notowanych kandydatów najgorzej oceniano szanse kardynała Suenesa. Albino Luciani początkowo w ogóle nie pojawił się na liście kandydatów.

Przed zarzutami braku taktu biuro „Ladbrokes" broniło się zresztą tym, że w obliczu wyborów papieża również „gazety są pełne spekulacji na temat faworytów, ubiegających się o wybór i autsajderów".

Rzeczywiście, spekulacje — i brak taktu — wystąpiły nawet jeszcze przed zgonem papieża. Peter Hebblethwaite, były jezuita i ksiądz, który zaczął pisać o sprawach Watykanu, 29 lipca postawił w SPECTATORZE pytanie: „Kto jest kandydatem na najwyższe stanowisko w Stolicy Apostolskiej?" Wymienił trzech faworytów — Pignedoliego, Baggio i Pironio. W sposób pełen taktu Hebblethwaite zauważył na wstępie, że „nie należy spodziewać się, by papież żył jeszcze bardzo długo".

Trochę wolniej zaczynały kampanię włoskie środki masowego przekazu. Następnego dnia po zgonie papieża radio włoskie nadawało wyłącznie muzykę Beethovena. Dzień później dla rozluźnienia nadawano od czasu do czasu utwory Mozarta. Trzeciego dnia akustyczne menu składało się z muzyki lekkiej. W czwartym dniu ponure uroczystości rozjaśniały śpiewane wersje „Serenady księżycowej" i „Stardurst". Telewizja włoska w pierwszych dniach po zgonie papieża oferowała swoim widzom liczne filmy, w których występowały przeważnie zakonnice, papieże i kardynałowie.

Z analizy prasy angielskojęzycznej z pierwszych tygodni sierpnia 1978 r. można było wyciągnąć wniosek, że jeśli wśród 111 kardynałów panuje tak samo duża bezradność, jak wśród watykanologów, wówczas Kościół i świat mogą nastawić się na bardzo długie konklawe.

Niezwykłe trudności z ustaleniem rzeczywiście największego faworyta musieli mieć szczególnie ci, którzy śledzili publikacje Petera Hebblethwaite'a w SUNDAY TIMES z 13 sierpnia, na listę mających największe szanse wciągnął on dodatkowo kardynałów Feliciego, Villota, Willebranda, Pellegrino i Benelliego. Tydzień później zakomunikował swoim czytelnikom: „Nowy papież może nazywać się Bertoli". W następną niedzielę wspomniał nawet o Lucianim. Wszystko to przypominało sprawozdania reportera sportowego, który przed konkursem o nagrodę „Grand National" lub przed derby śledzi krzywą formy poszczególnych koni. Jeżeli wspomni on przynajmniej jeden raz każdego konia, wówczas po zakończonym biegu jego gazeta może pochwalić się, że przewidziała zwycięzcę.

Szczęście w typowaniu w innym sensie miał pewien sprzedawca ryb w Neapolu. Grał na loterii skreślając liczby z daty zgonu papieża i wygrał.

Przy całym przepychu ceremonialnym pogrzeb papieża był jednak osobliwą, pozbawioną emocji uroczystością. Odnosiło się wrażenie, jak gdyby jego pontyfikat skończył się już dość dawno temu. Po „Humanae Vitae" nie wydał on już więcej żadnej encykliki, a ponadto w ostatnim dziesięcioleciu nie było słychać o nim nic, co mogłoby zapewnić mu status człowieka, którego śmierć pogrąża świat w żałobie (jedynym wyjątkiem były jego odważne oświadczenia w czasie i po uprowadzeniu oraz późniejszym zamordowaniu swego bliskiego przyjaciela, Aldo Moro, byłego premiera Włoch). Paweł VI był papieżem być może szanowanym, ale nie był lubiany. Wielu rozsądnych autorów w obszernych artykułach analizowało jego pontyfikat; u potomnych pozostanie on w każdym razie w pamięci, jeżeli w ogóle, jako papież, który zakazał używania pigułki antykoncepcyjnej. Być może opinią taką wyrządza się dużą krzywdę człowiekowi o czasami świetnym, ale często samoudręczającym się umyśle, jednak sprawy, które mają wpływ na to, co dzieje się w łożu małżeńskim, dla większości zwykłych śmiertelników są jednak ważniejsze niż to, że Paweł VI odbył wiele podróży samolotem, odwiedził wiele krajów, ściskał wiele rąk i wiele medytował.

W październiku 75 r. papież Paweł VI wydał wiele poleceń na wypadek swojej śmierci. W jednym z nich domagał się, by wszyscy kardynałowie sprawujący kierownicze funkcje w Kurii Rzymskiej zostali ich automatycznie pozbawieni. Dawało to gwarancję, że następca będzie miał zupełnie wolną rękę w wyborze swoich najważniejszych współpracowników. Tym samym przyczynił się on oczywiście do poważnej nerwowości w czasie „vacatio sedis", czyli w okresie między zgonem papieża a wyborem następcy. Jako jeden z nielicznych wyjątków z automatycznego ustąpienia ze stanowiska był zwolniony papieski „camerlengo", czyli podskarbi. Funkcję tę pełnił sekretarz stanu, kardynał Villot. Do ponownego obsadzenia tronu papieskiego Villot był strażnikiem kluczy do Stolicy Piotrowej. W okresie bez papieża kierowanie Kościołem i zarządzanie jego sprawami należało do Świętego Kolegium Kardynalskiego, które było zobowiązane do odbywania codziennych posiedzeń lub „generalnych kongregacji".

Już podczas jednego z pierwszych posiedzeń w krzyżowym ogniu znalazły się polecenia papieża Pawła VI. Z udziału w konklawe, które miało wybrać jego następcę, Paweł wykluczył jednoznacznie kardynałów, którzy mieli ponad 80 lat. Zasadę tę gwałtownie zaatakował Ottaviani. Wspierany przez 85-letniego kardynała Confalonieriego i innych, którzy przekroczyli osiemdziesiątkę, próbował ją unieważnić. (...) Kardynałowie zdecydowali się utrzymać zasady ustalone przez papieża Pawła VI. Inną sprawą, zażarcie dyskutowaną podczas kongregacji generalnych było to, czy kartka do głosowania ma być składana jednokrotnie, czy dwukrotnie.

Rzym zaczął się wypełniać, ale nie Włochami — ci udali się w większości nad morze. Poza turystami rzucali się w oczy także watykanolodzy, korespondenci, przedstawiciele grup interesów i barwne postaci wszelkiego rodzaju. Przedstawiciele tych ostatnich ciągnąc ulicami miasta naklejali plakaty z apelem: „Wybierzcie katolickiego papieża".

Jeden z „augurów" szeptał pismu TIME MAGAZINE bez tchu: „Nie znam żadnego kardynała włoskiego, który ze spokojnym sumieniem głosowałby na cudzoziemca". Z pewnością nie znał on wielu kardynałów włoskich, a już w żadnym wypadku patriarchy Wenecji. Przed odjazdem do Rzymu Luciani swojemu byłemu sekretarzowi, Maria Senigaglia'emu, obecnie księdzu w kościele św. Stefana, powiedział wyraźnie: „Uważam, że dojrzał czas do wyboru papieża z Trzeciego Świata".

Nie pozostawiał on też wątpliwości co do tego, kogo miał na myśli: kardynała Aloiso Lorscheidera z Brazylii. Lorscheider, arcybiskup Fortalezy, u wielu cieszył się opinią jednej z najtęższych głów w Kościele katolickim. Luciani poznał go lepiej w okresie pełnienia funkcji patriarchy Wenecji i kiedyś w zaufaniu powiedział ojcu Senigaglii: „Jest on (Lorscheider) człowiekiem wierzącym i wykształconym. Ponadto zna dobrze Włochy i dobrze mówi po włosku. A najważniejsze jest to, że swoim sercem i myślami jest z biednymi".

Przed spotkaniem z Lorscheiderem na ziemi włoskiej Luciani złożył Brazylijczykowi miesięczną wizytę w 1975 r. Dyskutowali w wielu językach i stwierdzili, że mają wiele wspólnego. Luciani nie wiedział jednak, jak wysoko Lorscheider go ceni. Kiedyś, wracając myślą do wizyty Lucianiego w Brazylii, powiedział on: „Przy tej okazji wielu ludzi odważyło się na przepowiednię, że pewnego dnia patriarcha Wenecji może zostać wybrany papieżem".

W podróży do Rzymu towarzyszył Lucianiemu ojciec Diego Lorenzi, który przed dwoma laty został następcą Senigaglii jako sekretarz patriarchy Wenecji. Pomijając udział w codziennych kongregacjach generalnych, Luciani prowadził w Rzymie powściągliwe życie; w czasie wolnym najchętniej chodził do ogrodu Augustinum, gdzie zamieszkiwał, i spacerując pogrążał się w myślach. Wielu jego kolegów prowadziło o wiele bardziej męczące życie — na przykład kardynał Pignedoli, faworyt bookmacherskiego biura „Ladbroke". Pignedoli był blisko zaprzyjaźniony ze zmarłym papieżem. Niektórzy komentatorzy włoscy zauważali złośliwie, że był on jedynym przyjacielem, jakiego Paweł VI w ogóle miał. W każdym razie był on, jak się wydawało, jedynym, do kogo Paweł zwracał się poufale „don Battista". Jeden ze zwolenników Pignedoliego, kardynał Rossi z Brazylii, nie pomijał żadnej okazji do przypominania innym kardynałom tradycji, zgodnie z którą papieże mieli zwyczaj pozostawiania zaleceń co do wyboru swych następców i podkreślał że Pignedoli był „najukochańszym synem Pawła". Pignedoli był jednym z najbardziej postępowych wśród kardynałów w Kurii i dlatego nie lubianym przez większość swoich kolegów. Był kulturalny, obyty w świecie i — co dla jego kandydatury było być może najważniejsze— bezpośrednio lub pośrednio maczał palce w mianowaniu przynajmniej 28 swoich kolegów-kardynałów.

Na wyższych szczeblach hierarchii Kościoła katolickiego za zły styl uważa się otwarte, uczciwe zgłaszanie roszczeń do tronu papieskiego. Jest niepożądane, by ubiegający się o to przedstawiał się i publicznie oświadczał, co zamierza zrobić w wypadku swego wyboru. Zgodnie z tym teoretycznie nie ma żadnej kampanii wyborczej, żadnego mobilizowania zwolenników, żadnego zabiegania o głosy. W praktyce wszystko to, i jeszcze wiele więcej, ma oczywiście miejsce. Teoretycznie kardynałowie zbierają się na tajnym konklawe i czekają, aż nawiedzi ich Duch Święty. W praktyce telefony, potajemne spotkania i równie tajne uzgodnienia oraz obietnice powodują, że Duch Święty otrzymuje bardzo doczesne wskazówki.

Przyjętą metodą reklamowania własnej kandydatury jest publiczne oświadczenie, że nie dorosło się do tego zadania lub że nie jest się go godnym. Oświadczenie takie złożył na przykład angielski kardynał, Basil Hume, ale bez wątpienia powiedział to jednak uczciwie. Inni, którzy złożyli podobne oświadczenia, byli w najwyższym stopniu rozdrażnieni, kiedy ich koledzy brali to za dobrą monetę.

Podczas popołudniowej herbatki 17 sierpnia Pignedoli przed zebraną grupą kardynałów włoskich, reprezentujących wszystkie odcienie politycznego wachlarza, oświadczył, że mimo wszelkich nacisków i perswazji nie wierzy, by był odpowiednim kandydatem na papieża. Zaproponował swoim kolegom, by zamiast na niego, głosowali na kardynała Gantina. Była to oryginalna propozycja.

Gantin, ciemnoskóry kardynał z Beninu, miał 56 lat. Już chociażby dlatego szanse jego wyboru były bardzo małe, gdyż za idealny wiek uważano 65—70 lat. Pignedoli miał 68 lat. Do tego dochodził jeszcze kolor skóry Gantina. Rasizm jest problemem po obu stronach Tybru. Zgłoszenie kandydatury Gantina mogło oczywiście przynieść Pignedoliemu głosy Trzeciego Świata, który był reprezentowany przez poważną liczbę 35 kardynałów.

Pignedoli wyraził pogląd, że najważniejsze, by wybory przebiegły możliwie szybko, niezależnie od tego, kto zostanie wybrany. Początek procedury głosowania został ustalony na sobotę, 26 sierpnia rano. Być może Pignedoli wyobrażał sobie, jak byłoby to praktycznie, gdyby nowy papież został wybrany już w niedzielę rano i w południe mógł przemówić do gęstych tłumów na placu Św. Piotra.

Gdyby kardynałowie rzeczywiście życzyli sobie możliwie najszybszego zakończenia konklawe, wówczas byłoby to oczywiście korzystne dla kandydata, który przystąpił do wyboru mając największą liczbę zwolenników. Kardynałowie w nie mniejszym stopniu, niż zwykli śmiertelnicy, ulegają pokusie opowiedzenia się po stronie przypuszczalnego zwycięzcy. Pignedoli wiedział, że 75 głosów niezbędnych do uzyskania większości dwóch trzecich musiałby zdobyć u kardynałów nie należących do Kurii. Jeżeli tylko rozstrzygnięte i zakończone byłyby jej walki wewnętrzne, Kuria faworyzowałaby jednomyślnie kandydata, który pochodziłby z jej centrum. „Augurowie" jak kostki na stół rzucali nazwiska liczniej grupy potencjalnych kandydatów Kurii — Bertoliego, Baggio, Feliciego.

By zyskać zwolennika swojej kandydatury, Baggio zwrócił się do Marcinkusa i zapewnił, że zatwierdzi go na stanowisku prezesa Banku Watykańskiego, jeżeli zostanie wybrany papieżem. Biskupa Marcinkusa nie obejmowały zresztą zalecenia, pozostawione przez zmarłego papieża: pełnił swoją funkcję kierownika banku, tak jak dotychczas i nie było żadnych dostrzegalnych objawów, które wskazywałyby, że mogłoby tu się coś zmienić. Krok Baggio stanowił dla wielu obserwatorów włoskich zagadkę. Gdyby udało im się jednak nakłonić do mówienia któregoś z uczestników w wewnętrznych posiedzeniach kardynała, wówczas zrozumieliby być może głębsze znaczenie manewru Baggio.

Na posiedzeniach tych bardzo poważnie dyskutowano na temat problemów, z jakimi Kościół musi się borykać i możliwości uporania się z nimi. Podczas takich dyskusji zwykle ujawnia się, któremu kandydatowi można przypisać największe umiejętności rozwiązania tych problemów. Siłą rzeczy zakres tematów, omawianych w tamtych sierpniowych dniach, był duży. Należały do nich sprawy dyscypliny wewnątrz Kościoła, misji, ekumeny, kolegialności i pokoju światowego. Kardynałów zajmował jeszcze jeden temat: finanse Kościoła. Wielu drażniło to, że również po skandalu Sindony Marcinkus kieruje jeszcze Bankiem Watykańskim. Inni domagali się dokładnego zbadania postępowania Banku Watykańskiego w sprawach finansowych. Jako sekretarz stanu i podskarbi kardynał Villot musiał wysłuchać wielu skarg i zażaleń, przy czym wszystkie one sprowadzały się do jednego mianownika — krytyki biskupa Paula Marcinkusa. To właśnie stanowiło tło propozycji Baggio, by Marcinkusa pozostawić na jego stanowisku; była to próba uzyskania za pomocą obietnicy zachowania status quo głosów takich osób, jak kardynał Cody z Chicago, który z pewnością zdecydowanie opowiadał się za tym, by Marcinkusowi pozostawić jego dotychczasową funkcję.

Innym kandydatem, który przyciągnął uwagę obserwatorów, był kardynał z Florencji, Giovanni Benelli. Jako prawa ręka papieża Pawła VI narobił sobie wprawdzie wielu wrogów, ale nie było tajemnicą, że był dostatecznie wpływowy, aby manewrować co najmniej 15 głosami.

Dla jeszcze większego skomplikowania sytuacji swój wpływ wspólnie zaczęło wywierać również 15 sfrustrowanych kardynałów, którzy z uwagi na przekroczenie granicy wieku nie mogli być właściwie dopuszczeni do właściwego konklawe. Grupa ta, w której skład wchodzili niektórzy najbardziej reakcyjni ludzie z Watykanu, zaczęła popierać kandydata, który wydawał się najlepszym reprezentantem jej interesów i sposobu myślenia: arcybiskupa Genui, kardynała Giuseppe Siri. Siri walczył na pierwszej linii frontu przeciw wielu reformom Drugiego Soboru Watykańskiego. W poprzednich wyborach papieża był czołowym kandydatem prawicy. Wielu członków grupy „zbyt starych" uważało go za idealnego następcę Pawła VI, któremu swego czasu uległ. Nie wszyscy jednak tak myśleli: przynajmniej jeden z nich, kardynał Carlo Confalonieri agitował dyskretnie za Albino Lucianim. Jednakże grupa jako całość uznała, że papieżem powinien być wybrany Siri. (...)

Jeden z argumentów przytoczonych przez zwolenników Siriego brzmiał, że papieżem ponownie musi zostać Włoch. Roszczenie to, podnoszone mimo faktu, że Włochami było tylko 27 spośród 111 uprawnionych do głosu kardynałów, jest typowym świadectwem sposobu myślenia, dominującego w Watykanie. Prasa jednak prawie wcale nie odnotowała szeptanej propagandy na korzyść Siriego. (...)

Ostatnim papieżem cudzoziemcem był wybrany w 1522 r. Holender, Adrian VI. (...)

Po śmierci papieża Pawła VI Kuria Rzymska jak zawsze zdecydowanie przystąpiła do przeforsowania po raz kolejny swoich interesów i jako mniejszość narzucenia swojej woli większości. Podczas jednej z pierwszych kongregacji generalnych, na której było obecnych dopiero 32 kardynałów, w większości Włochów, ustalono, że 111 uprawnionych do głosowania kardynałów nie powinno udać się na konklawe przed 25 sierpnia i że procedura wyborcza powinna rozpocząć się dopiero 26 sierpnia. Daty te tylko o jeden dzień wyprzedzają najpoźniejsze terminy, ustalone przez zmarłego papieża. Tak więc doszło do najdłuższego „vacatio sedis" w nowożytnej historii papiestwa. W 1878 r. kardynałowie, którzy nie korzystali jeszcze wówczas z usług „TWA" i „PANAM", potrzebowali tylko 10 dni, by zebrać się na konklawe, które wybrało papieża Leona XIII. Ustalony obecnie trzytygodniowy termin zapewnił kardynałom włoskim tyle czasu, ile to było tylko możliwe, by dać „cudzoziemcom" do zrozumienia, że najlepszym rozwiązaniem jest wybór Włocha na następcę Pawła VI. Spotkali się oni z nieoczekiwanym oporem. Albino Luciani nie był jedynym, który uważał że nadszedł czas, by papieżem został przedstawiciel Trzeciego Świata. Wielu kardynałów z Trzeciego Świata myślało tak samo. (...)

Tymczasem kardynałowe Benelli i Suenens, którzy przedkładali unikanie letnich upałów rzymskich tak długo, jak to możliwe, pracowali dyskretnie nad przygotowaniem warunków dla obiecującej sukces kandydatury człowieka, który mógłby odpowiadać oczekiwaniom latynoamerykańskich kardynałów, ojca Greeley'a i profesora Kuenga: Albino Lucianiego. Pojawieniu się w tygodniach poprzedzających rozpoczęcie konklawe w prasie włoskiej nazwiska Lucianiego towarzyszyła najczęściej wskazówka, że może to być tylko pociągnięcie taktyczne. Włoski watykanolog, Sandro Magister mówił w związku z tym o „bezbarwnym patriarsze Wenecji". (...) Poproszony przez prasę o skomentowanie sporadycznego pojawienia się jego nazwiska na liście kandydatów, Luciani powiedział z uśmiechem: „W najlepszym wypadku znajduję się na liście C". (...)

W sobotę, 26 sierpnia, zebrało się konklawe. (...)

Rano Luciani i inni kardynałowie celebrowali mszę w intencji „wyboru papieża". Tymczasem brat Clemente przyniósł do Kaplicy Sykstyńskiej tornistry z najpotrzebniejszymi rzeczami dla Lucianiego i kardynała Freemana. Po mszy obaj kardynałowie wraz ze swymi kolegami zebrali się w ozdobionej freskami Michała Anioła Capella Paolina. Dyrygowany przez papieskiego mistrza ceremonii, monsignore Virgilio Noe pochód kardynałów, na którego czele szedł chór Kaplicy Sykstyńskiej hołdujący śpiewem Duchowi Świętemu, udał się przez Sala Ducale, a następnie obok Cherubim Bernini do wnętrza Kaplicy Sykstyńskiej. Na okrzyk monsignore Noe „extre omnes" („wszyscy wyjść") kaplicę opuścili śpiewacy z chóru, ministranci, kamerzyści i wszyscy inni nieupoważnieni. Między obu strażnikami wejścia, monsignore Noe na zewnątrz i kardynałem Villotem wewnątrz, powoli zamknęły się drzwi. Dla 111 zamkniętych w kaplicy kardynałów otworzą się one ponownie dopiero wówczas, gdy zostanie wybrany papież. Potem oczekującym na placu Św. Piotra wiernym i wielu milionom zainteresowanym na całym świecie białe kłęby dymu obwieszczą, że skończyły się najbardziej tajne wybory na świecie i że tron papieski został na nowo obsadzony."

C.D.N.

Fragmenty książki Davida Yallopa „In God's Name".

W kręgu fantastyki

JACEK SAWASZKIEWICZ

Wahadło (3)

Z kosmonautą na przednim siedzeniu pojechałem do Instytutu. I w miarę tej jazdy ogarniał mnie coraz większy niepokój. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się przede mną wyludnione chodniki, martwe domy, zamknięte sklepy, unieruchomione wozy osobowe, furgonetki, ciężarówki i autobusy. Dochodziło południe, mimo to paliły się neony, uliczne lampy rtęciowe i jarzeniówki na wystawach.

Zatrzymałem fiata przed skrzyżowaniem za rzędem innych samochodów, i wyłączyłem silnik. Zapadła idealna cisza. Cisza tak w tym miejscu niespotykana, że niesamowita. Światła sygnalizacyjne zmieniały się w swoim ustalonym rytmie, nikt na nie jednak nie reagował. Samochody nadal stały pośrodku jezdni — milczące i nieruchome, i nie było tu nikogo.

Nikogo.

Żadnej ludzkiej istoty.

Z piskiem opon zawróciłem w kierunku domu, wjeżdżając lewą parą kół na krawężnik i omal nie potrącając dziecinnego wózka pozostawionego na chodniku. Rwałem pełnym gazem, a jazgot silnika odbijał się głuchym echem od frontonów oniemiałych budynków.

Moje Miasto także skazano na zagładę. Moje Miasto miało także posłużyć za poligon doświadczalny.

Wyskoczyłem z fiata i wpadłem na klatkę schodową. Przez długą chwilę alarmistycznie dzwoniłem do drzwi sąsiada na parterze. Potem do drugiego. A potem po prostu włamałem się do paru mieszkań. Wszędzie zastałem podobny widok: rozścielone łóżka, wanny wypełnione wodą, kanapki na stołach kuchennych, drugie śniadania przygotowane z myślą o dniu jutrzejszym, bieliznę ułożoną na krzesłach, szafy pełne ubrań, obuwie starannie ustawione parami na korytarzach, dokumenty, pieniądze, kosztowności.

To nie mogły być skutki zaplanowanej ewakuacji. Takie skutki mogło wywołać tylko ogłoszenie natychmiastowego ataku nuklearnego. Niespodziewane wypowiedzenie wojny.

Wojna.

Wbiegłem do swojego mieszkania na poddaszu i rozejrzałem się po kuchni i po obu pokojach. Z trudem zapanowałem nad instynktownym odruchem ucieczki. Zresztą nie było dokąd uciekać. Wojna już trwała. Dosłownie w każdym momencie mogłem przestać istnieć. Co za różnica, gdzie się to stanie — tutaj, na klatce schodowej, na ulicy, w samochodzie, czy poza Miastem.

Wyjąłem z lodówki pół litra „Czystej wyborowej" i napełniłem szklankę do pełna. Wypiłem tę wódkę duszkiem.

— Zaraz — powiedziałem głośno, siedząc na kanapotapczanie Renaty. — Nawet jeśli wybuchła wojna, to powinien jednak ktoś tutaj być w tym Mieście. Jakieś oddziały wojska, zmilitaryzowane oddziały specjalne, czołgi, transportery opancerzone, bo ja wiem co.

Ponownie napełniłem szklankę.

— No i przede wszystkim — mówiłem dalej — nie powinno być tych samochodów na ulicach. Przecież ludzie nie uciekli z Miasta pieszo.

Łapczywym łykiem „Czystej wyborowej" znowu przepłukałem gardło. Odrobinę spokojniej rozejrzałem się teraz po pokoju. Mój wzrok padł na radio ustawione między kolumnami głośników, na półce regału. Był to wysokiej klasy, pięciozakresowy, stereofoniczny aparat firmy Philips.

— Rany boskie — powiedziałem. — Od tego należało zacząć, ty idioto.

Włączyłem to radio. Przyciskałem klawisz po klawiszu, obracając pokrętłem strojenia to w jedną, to w drugą stronę. Wysokiej klasy, stereofoniczny aparat firmy Philips milczał na wszystkich pięciu zakresach fal. Z głośników dochodził jedynie szum wzmacniacza.

Nieprawdopodobne. Nieprawdopodobne, żeby nie pracowała żadna stacja radiowa na świecie.

Poszedłem do kuchni po nową butelkę „Czystej wyborowej".

*

Pradziadkowy zegar wybił trzynastą, a ja leżałem na kanapotapczanie Renaty. Byłem rozkosznie pijany.

Raczej unikam alkoholu, jeśli to w ogóle możliwe w moim zawodzie zaopatrzeniowca, ale kiedy już nasze — moje i alkoholu — drogi się skrzyżują, często mi się zdarza przeżywać urocze halucynacje. Tym razem było podobnie. Leżąc zamknąłem oczy i z punktu zjawił się Kudłaty.

— Śpisz, Renucha? — spytał.

Powstrzymałem go gestem ręki.

— Poczekaj sekundę, Kudłaty. Zapomniałem o charakteryzacji.

Nałożyłem koronkowy peniuar i liliowopopielatą perukę o lokach spadających na ramiona, i prędko wśliznąłem się pod przykrycie. Kudłaty stał przed kanapotapczanem. Rozmyślał.

— No — ponagliłem go. — Zaczynaj.

— Śpisz, Renucha? — spytał.

— Uhm — mruknąłem tonem przymilnym i leniwym.

— To ja, Kudłaty, poznajesz?

Nie, nie tak.

— Wpadłem zobaczyć, co tam u ciebie — poprawił się Kudłaty. — Posuń się.

Zmierzyłem go. Kudłaty był wysoki, tęgi i kudłaty. Oczy miał przekrwione od pracy twórczej. Cuchnął piwem.

— W ubraniu chcesz się pakować do łóżka? — zapytałem. Patrzyłem, jak ochoczo zwleka z siebie odzież i przyjmuje postawę pełną wyczekiwania. — Slipy też.

Slipy zdjął z ociąganiem. Wstydliwie zasłaniał podbrzusze i drapał się w gołe tyłek.

— No, Renucha, posuń się, do diabła.

— Chwileczkę — powiedziałem. — Wpierw mnie rozhecuj. Pobiegaj dokoła ławy.

Spojrzał na tę ławę z niechęcią, potem przeniósł spojrzenie na mnie.

— Co ty żartujesz?

— No, dalej! Rozhecuj mnie.

Puścił się truchtem wokół pokoju, niezgrabnie omijając fotele, pufy i stojak na kwiaty. W garściach ściskał genitalia. Podyktowałem mu tempo:

— Raz-dwa! Raz-dwa! Kolana unoś wyżej! Raz-dwa! I ręce zegnij w łokciach! Raz-dwa! Raz-dwa!

Rozsypane koperty płyt ślizgały się po dywanie i utrudniały mu bieg. Kudłaty co rusz tracił równowagę. Łapał ją dzięki ciasno ustawionym meblom.

— Raz-dwa! Łokcie, pamiętaj o łokciach! Raz-dwa! Kolana wyżej! Raz-dwa! Wyżej! Raz-dwa! Raz-dwa!

Na jednym z zakrętów nie trafił ręką na regał, zabrakło mu oparcia i grzmotnął na podłogę. Dźwignął się z niej niezdarnie, otarł usta wierzchem dłoni i sapnął. Łypnął na mnie przekrwionym wzrokiem.

— W porządku, Kudłaty — pochwaliłem go. — Teraz dwadzieścia pięć pompek.

— Nie wygłupiaj się, Renucha, jak Boga kocham.

— Powiedziałam — powiedziałem twardo. — Dwadzieścia pięć pompek.

Zrezygnowany zaczął robić te pompki. Po siedemnastej padł. Padł i leżał z nosem w dywanie.

— Co z tobą, Kudłaty? — zatroskałem się.

Zbył milczeniem moją troskę. Dyszał. Zalotnie podkręciłem loki na skroniach.

— Jeszcze osiem pompek — poinformowałem go. — Albo tych osiem pompek, albo pięćdziesiąt przysiadów. Jestem już prawie rozhecowana.

Wybrał przysiady. Dwadzieścia wykonał nawet dość raźno, trzecia dziesiątka przyszła mu już z trudem, przy czwartej zaczął stękać.

— Nie markuj, Kudłaty. Ręce mają być wyciągnięte, a pośladki dotykają pięt. Jasne?

Zrobił czterdziesty trzeci przysiad, stęknął z rozpaczą i gruchnął dupą na sztywną sierść dywanu.

— To ja już sobie pójdę — oświadczył słabo.

*

Bicie pradziadkowego zegara sprawiło, że Kudłaty zniknął. Poczłapałem do kuchni, by zaparzyć kawę. Kawa pobudza system nerwowy i znosi uczucie zmęczenia. Takie jest zdanie specjalistów. Przy okazji włączyłem bojler w łazience i puściłem wodę do wanny. Kąpiel również pobudza system nerwowy i znosi uczucie zmęczenia. To także jest zdanie specjalistów.

Pradziadkowy zegar przestał bić i podjął swoją monotonną opowieść.

— Trdyk-dak — powtarzał.

W łazience szumiała woda.

Zażyłem tabletkę od bólu głowy i z kawą usiadłem przy telefonie. Telefon był czynny. Kolejno zadzwoniłem do kilku znajomych, z góry wiedząc, że się nie zgłoszą. Zadzwoniłem też do Instytutu. I też bez skutku. W końcu wybrałem numer służby informacyjnej — pierwszy, jaki mi przyszedł na myśl.

Usłyszałem damski głos epatujący serdecznością:

— Dzień dobry. Dzisiaj proponuję paniom i panom domu przygotowanie dla ewentualnych gości tortu „Mocca". — Pół kilograma gotowych małych bez, czterdzieści deka masła lub margaryny, siedem całych jaj, czterdzieści deka cukru, trzy czubate łyżki drobno zmielonej kawy lub mała paczuszka kawy „Marago", pół laski wanilii, buteleczka kremowej śmietanki, łyżeczka żelatyny. Do przybrania: płatki czekoladowe i łyżeczka startej czekolady. — Przygotować masę. Cztery jajka z cukrem, rozerwaną laską wanilii i trzema łyżkami zimnej wody ubijać w żaroodpornej misce ustawionej na siatce azbestowej, na zapalonym gazie. Gdy masa będzie już bardzo gęsta, tak że spływa z łyżki szeroką wstążką, zestawić z ognia i ubijać jeszcze, do wystudzenia. W kamiennej misce roztrzepać masło, dodając po łyżce masę jajeczną. Po jej wyczerpaniu wlać po trochu wraz z fusami zaparzoną kawę lub wsypać kawę „Marago". Dokładnie rozetrzeć. — Dno i boki tortownicy wyłożyć bezami. Ułożyć równą warstwą przygotowaną masę kawową, przykryć bezami, lekko je wgniatając w masę. Ubić śmietankę, dodając pod koniec żelatynę zmiękczoną w niewielkiej ilości zimnej wody i rozpuszczoną w jak najmniejszej ilości wrzątku. Przybrać płatkami czekoladowymi i posypać startą na wiórkowej tarce czekoladą. Przechowywać w lodówce. — Dzień dobry. Dzisiaj proponuję paniom i panom domu przygotowanie...

Odłożyłem słuchawkę. Ten przepis sprawił, że zaczął doskwierać mi głód. Uprzytomniłem sobie, że ostatni posiłek jadłem wczoraj rano w Miasteczku, w restauracji „Continental". Posiłkiem tym było ciastko tortowe. Ani koniaku, ani wody destylowanej, ani też „Czystej wyborowej" nie sposób zaliczyć do posiłków.

Ponieważ — jak to zwykle u mnie bywa, zwłaszcza po wizytach Kudłatego — lodówka była pustawa, postanowiłem wybrać się do „Amaltei", największego supersamu w tej dzielnicy. Wpierw jednak wziąłem kąpiel.

Zmieniłem skarpetki, włożyłem siatkową koszulę i wyszedłem na dwór, wkraczając w słabnący upał dnia, który powoli przygasał nad tym wymarłym Miastem.

— Na szaber? — zapytał fiat.

— Przecież muszę coś jeść, no nie? — odrzekłem.

Obie pary frontowych drzwi „Amaltei" były zamknięte i opatrzone kratą. Te od zaplecza także zabezpieczała krata. Bez stosownych narzędzi i z moją praktyką złodziejską szkoda było marzyć o sforsowaniu zamków. Do środka mogłem się dostać jedynie przez okno wystawowe. Z bagażnika samochodu wydobyłem łyżkę do opon i zważyłem ją w dłoni. Potem odruchowo spenetrowałem wzrokiem wyludnioną ulicę.

— Do diabła, przecież muszę coś jeść — powtórzyłem.

Zamierzałem wybić otwór w rogu wystawy. Niewielki, żeby się tylko przez niego przecisnąć. Uderzyłem raz, nawet niezbyt mocno. Szyba pękła skosem, zadrżała i górna jej część runęła na ziemię z takim hukiem, że ani chybi usłyszano go w kwaterze głównej Interpolu.

— Wiesz, jak się to nazywa? — zapytał mnie fiat przez całą szerokość chodnika.

— Co?

— To się nazywa kradzież z włamaniem.

Zajrzałem do wnętrza sklepu.

— Nie przejmuj się — powiedziało jowialnie stanowisko kasowe. — Właź i rób swoje.

Wlazłem. Z metalowym wózkiem ruszyłem wzdłuż stoisk. Nie przebierałem w towarze: po prostu pchałem przed sobą ten metalowy wózek i mimochodem wkładałem do niego warzywa, mrożonki, konserwy i słoiki: koreczki śledziowe, marynaty, kurczak w rosole z makaronem, frytki, sardynki w oliwie, klopsiki, pomidory, pęczek cebuli. Zatrzymałem się dopiero przy stoisku cukierniczym. Wziąłem makownik, szarlotkę, karton kruchych ciastek, puszkę kawy „Orient" i tabliczkę czekolady. Mijając stoisko monopolowe wyjąłem z transportera butelkę „Czystej żytniej" i dwie butelki szampana. Przed opuszczeniem sklepu zaopatrzyłem się jeszcze w pęto kabanosów, w kostkę masła oraz w bochenek chleba. Chleb był chrupiący, aromatyczny i ciepły.

„Życzymy pomyślnych zakupów" — głosił napis nad wejściem do „Amaltei".

Cały swój łup ulokowałem na tylnym siedzeniu fiata.

— Ale nakradłeś — rzekł z podziwem kosmonauta.

Położyłem go twarzą w dół i wróciłem do domu.

*

W mieszkaniu pozapalałem wszędzie światła, bo na dworze już zmierzchało. Musiałem zejść do samochodu trzykrotnie, żeby przetransportować na poddasze wszystko to, co przywiozłem z supersamu.

— Trdyk-dak — cieszył się pradziadkowy zegar.

Woda kapiąca z nieszczelnej rurki przy bojlerze w łazience także bębniła z radością o dno wanny.

Otworzyłem słoik z klopsikami, na rozgrzaną patelnię wysypałem mrożone frytki. Krojąc pomidory i cebulę, i w ogóle krzątając się tak przy kuchni, popijałem ze szklanki ciepłą żytniówkę. Szampan mroził się w lodówce.

Z tym szampanem usiadłem po kolacji przy telefonie. Na kolanach położyłem książkę telefoniczną, przewróciłem pierwsze kartki i natknąłem się na spis kierunkowych numerów do niektórych stolic na świecie.

Połączenia otrzymywałem bez trudu, ale nikt się nie zgłaszał, chociaż numery z reguły były wolne. W kilku jednak wypadkach trafiłem na numery zajęte, co natchnęło mnie nadzieją, dopóki nie przypomniałem sobie tych samochodów i mieszkań opuszczonych bez żadnej rozsądnej przyczyny. Może ktoś nie kończąc rozmowy, raptem postanowił odejść od telefonu i zamiast odłożyć słuchawkę na widełki, położył ją obok aparatu.

Wybrałem następną kombinację cyfr, po niej jeszcze jedną i wtedy nieoczekiwanie usłyszałem ludzki głos. Przemówił prawie natychmiast, jakby czekał na mój telefon. Należał do kobiety, która płynną angielszczyzną wygłosiła parę zdań, potem umilkła i rozległ się śpiewny, dwusekundowy sygnał, rozwiewając resztki mojej nadziei. Świadczył on, że głos kobiety pochodził z ipsofonu.

Nagrałem sobie ten głos na taśmie magnetofonowej, kiedy zadzwoniłem pod tamten numer ponownie. Wspomagając się słownikiem angielsko-polskim, z trudem bo z trudem przetłumaczyłem to, o czym pragnęła zakomunikować mi ta kobieta. Brzmiało to mniej więcej tak:

— Dzień dobry. Mówi automat rejestrujący w mieszkaniu doktora Jonathana T. Smitha, numer telefonu: 2217568. Pan Smith wyjechał na weekend do Appleby Point, numer telefonu: Appleby Point 26. Wróci w poniedziałek rano. Mniej pilne wiadomości można przekazać automatowi rejestrującemu, po usłyszeniu sygnału. Dziękuję. Tiuuuuut!

„Tiuuuuut" — to był właśnie ten śpiewny, dwusekundowy sygnał, po którym można było przekazać mniej pilne wiadomości automatowi rejestrującemu, podczas gdy doktor Jonathan T. Smith bawił w Appleby Point, numer telefonu: Appleby Point 26.

Po raz trzeci wybrałem numer doktora Jonathana T. Smitha. Poczekałem na to śpiewne, dwusekundowe „tiuuuuut" i krzyknąłem:

— Niech pana szlag trafi na tym weekendzie w Appleby Point, doktorze Smith!

Do Appleby Point nie mogłem zadzwonić, ponieważ Appleby Point nie miało połączenia automatycznego z Miastem.

Doktor Jonathan T. Smith — pomyślałem — wyjechał na weekend. Z całym światem.

Wykończyłem butelkę szampana i otworzyłem drugą. Z tą drugą butelką i z zapalonym papierosem poszedłem do swojego pokoju, gdzie wyciągnąłem się na tapczanie.

— Cały świat wyjechał na weekend — powiedziałem.

— Trdyk-dak — przytaknął pradziadkowy zegar.

Oczywiście, ludzie opuścili swoje mieszkania wcale nie ze strachu przed wojną. Po prostu chcieli odetchnąć świeżym powietrzem i rozprostować kości. Obrzydły im już te betonowe mury, ten zgiełk i warkot, te spaliny i trujące wyziewy. Rzucili wszystko w diabły i wyruszyli na weekend. Zostawili funkcjonujące urządzenia, bo przecież niebawem tutaj wrócą, przerwali w połowie rozpoczętą pracę, machnęli ręką nawet na własne prywatne sprawy i nie kończąc ich, kierowani wspólnym impulsem, wyjechali na łono natury. Wzięli ze sobą swoje psy, koty, akwaria i klatki, zapomnieli tylko o mnie. No i dobrze.

Leżąc patrzyłem przez okno na ulicę. Ciemność nocy rozpraszało światło lamp rtęciowych, światła paliły się także w mieszkaniach sąsiednich budynków, z dołu różnokolorowa łuna biła od neonów reklamowych i dekoracyjnych nad sklepami.

Szampan z tej drugiej butelki był zimny, ale nie orzeźwiał. Wręcz przeciwnie. Zasnąłem.

C.D.N.

1 Nagle zastępstwo

Nowa Japonia

W „Życiu Literackim" można przeczytać co amerykańscy astrologowie i jasnowidze przepowiadają na najbliższe kilkanaście lat. Nie są to jednak wróżby dotyczące konfiguracji politycznych naszego świata a ni żadne plotki dotyczące przyszłych losów gwiazd filmowych. Tym razem są to przepowiednie o charakterze, by tak rzec, geologiczno-wulkanologicznym.

Jak z tych przepowiedni, pracowicie posegregowanych przez polskiego parapsychologa Leszka Szumana, wynika, schyłek naszego wieku zapowiada się wyjątkowo paskudnie. Otóż, na skutek ruchów tektonicznych, eksplozji wulkanów, upadku na nasz glob planetoidów i komet zamieszanie będzie nieliche.

Zatopione zostaną stany: Kalifornia, Oregon, Waszyngton i Alaska, trzęsienie ziemi zagrozi zatopieniem części miasta Nowy Jork, poprzez centralny Oregon utworzy się droga morska wschód-zachód sięgająca po granice stanu Idaho. Natomiast nowy ląd wyłoni się przy archipelagu Bahama na Morzu Karaibskim.

Tyle, w największym skrócie, nieszczęść dotknie Stany Zjednoczone. Miejmy nadzieję, że administracja waszyngtońska wyciągnie właściwe wnioski z tych przepowiedni i przygotuje się należycie do różnych akcji ratunkowych, do przesiedlania ludności itp. itd. *Jeśli natomiast zaniedba w tym względzie swoje obowiązki spotka się nie tylko z protestami wyborców, ale może się narazić także opinii światowej.* Można się spodziewać, że w ramach restrykcji felietonista Jan Rem z „Tu i Teraz" może administracji reaganowskiej (czy jaka tam ona będzie) tak przyłożyć, że Biały Dom zadrży w posadach nawet bez trzęsienia ziemi.

Trzeba przyznać, że również innym krajom i kontynentom amerykańscy jasnowidze nic dobrego nie wróżą. I tak na przykład wybuchnie Wezuwiusz, kawał Anglii z Londynem zostanie zatopiony, kłopoty będą miały: Grecja, Turcja, Izrael itd. Afryka zostanie rozerwana na kilka części, a Japonia zniknie z powierzchni ziemi całkowicie...

Ta ostatnia wiadomość zelektryzowała mnie niesłychanie. Jeśli Japonia, jeszcze przed końcem naszego wieku ma się pogrążyć w Pacyfiku, to narody świata nie mogą pozostać w tej sprawie obojętne. Już trzeba myśleć o ratowaniu narodu japońskiego!

Mam propozycję następującą: Złóżmy w ONZ ofertę. Przyjmijmy Japończyków do Polski!

Dlaczego akurat my?

Po pierwsze mamy duże tradycje w przechowywaniu uciekinierów, wysiedleńców, repatriantów itp. Żydów przechowywaliśmy, skoczków spadochronowych, jeńców zbiegłych z obozów, to Japończyków nie potrafimy?

Po drugie, jak dotąd nikt na świecie — poza nami — nie wpadł na pomysł utworzenia nad Wisłą drugiej Japonii. Dotychczasowe próby raczej się nie udały, a teraz kiedy sprowadzimy Japończyków i to nie jakichś tam pojedynczych tylko wszystkich naraz nasz kraj stanie się automatycznie drugą Japonią. Po trzecie korzyści będą obopólne, co postaram się wykazać na przykładach.

1) Budownictwo.

Rozwiniemy na dużą skalę budownictwo mieszkaniowe z papieru. Mieszane polsko-japońskie brygady budowlane będą stawiały w błyskawicznym tempie całe osiedla papierowych domków dla młodych małżeństw. Koszt bajecznie tani, kłopotów z surowcem żadnych! Makulatura z którą i tak nie wiadomo co zrobić... Nowa fabryka papieru w Kwidzynie powinien natychmiast przejąć resort budownictwa i trzeba ją przechrzcić na fabrykę domów. Nie będzie domów z wielkiej płyty, tylko z wielkiego arkusza!

2) Przemysł motoryzacyjny.

Do Bielska, do FSO, do Starachowic, Ursusa itd. sprowadzi się fachowców i sprzęt z japońskich fabryk. Z kopyta ruszy produkcja doskonałych samochodów Mazda-Polonez, Fudżi Jama-Beskid, Honda-Zuk i Syrena-Banzaj!

3) Kinematografia.

Film polsko-japoński podbije ekrany świata! Po pierwsze, świetny sprzęt, po drugie, fuzja znakomitych talentów. Już widzę oczyma wyobraźni historyczne supergiganty we wspólnej reżyserii Poręby i Kurosawy. Adaptacja klasyki polskiej i japońskiej w rodzaju „Gorale i samuraje", filmy sensacyjne jak np. „Porucznik Borewicz i siedmiu samurajów". Akcja toczy się w Skiroławkach, partnerką Bronisława Cieślaka będzie sama Madame Batterfly.

To będzie kino! Prawdziwe imperium namiętności!

Można wymienić wiele jeszcze dziedzin życia społecznego, gospodarczego i kulturalnego, na które zbawienny wpływ będzie miał hurtowy, globalny import Japonii do Polski. Pókico przygotowujmy już się do przyjęcia wielkiej fali japońskich imigrantów. W każdym polskim domu co najmniej jeden Japończyk!

Ja, ze względu na bardzo mały metraż, reflektuję na małą, zgrabną gejszę...

KAROL ANDRZEJ

2 Lewym okiem

Nieznaczne znaczenie

W grudniu odbył się w Szczecinie dwudniowy Kongres Kultury Języka Polskiego. Echa tego kongresu w środkach masowego przekazu były raczej wątłe, w telewizji prawie żadne, a szkoda, bo właśnie telewizję, radio i prasę atakowano mocno za niedbałość, żeby nie powiedzieć niechlujstwo językowe.

Sporo uwagi poświęciła Kongresowi w swym 51 numerze redakcja „Tu i Teraz" (która przecież wciąż jeszcze upiera się przy nieortograficznej formie swego tytułu, pisząc słowo „teraz" z dużej litery wbrew ustalonym zasadom). Numer 211 pisze na ostatniej stronie, że nie wiadomo kto jest winien zubożenia i schamienia naszego języka. „Gdzie są praprzyczyny tej językowej demoralizacji?" — woła i nie spostrzega, że na drugiej stronie tego samego pisma Stefan Kozicki konstatuje bez cienia wątpliwości, że najbardziej winna jest biurokracja i tylko jej okiełznanie i ograniczenie może poprawić istniejący stan rzeczy.

W tym samym numerze czytamy w artykule Jacka Wojciechowskiego takie zdanie: „Ich znaczenie jest więc nieznaczne, co jednak nie znaczy, że są bez znaczenia". Nie jest to żadna parodia, tylko zdanie wyjęte z artykułu o... kulturze. A w notatce znanej publicystki Anny Tatarkiewicz czytamy: „...notka, której autor jedną ręką mnie komplementuje, a drugą zgłasza pretensje z powodu listu..." itd.. Bardzo mnie rozśmieszyło to komplementowanie jedną ręką i zgłaszanie pretensji drugą, a przecież rozśmieszanie nie leżało chyba w intencji autorki?

Tym niedoróbkom nie jest chyba winna biurokracja. Nie wiem kto jest winien, że czytając nawet pisma społeczno-kulturalne napotyka się na zgrzyty, drażniące ucho czytelnika, obdarzonego stylistycznym słuchem.

Co do pojęcia pism społeczno-kulturalnych musimy stwierdzić, że niedługo ograniczy się ono do tygodników. Miesięczniki robią od lat bokami i dawno minął czas, kiedy była to najlepsza trybuna dla poważnych artykułów, esejów, studiów i naukowych przyczynków. W miesięcznikach przedwojennych spotyka się mnóstwo wciąż jeszcze interesujących materiałów, których większość zresztą znajdowała później miejsce w wydaniach książkowych. Dziś miesięczniki się raczej wyspecjalizowały, ubarwiły, nie ma takich jak niegdysiejszy „Pamiętnik Warszawski", „Przegląd Współczesny", „Marchołt" czy „Droga" (oczywiście abstrahuję tu od politycznych nastawień tamtych pism, chodzi mi o wszechstronność ich zainteresowań, o intelektualny poziom publikacji i ich wysoka wartość poznawcza). Być może zresztą, że zmieniły się upodobania czytającej publiczności, która odwróciła się od miesięczników i — tym bardziej — kwartalników na rzecz lektur o krótszym oddechu czasowym.

Łódzkie środowisko kulturalne od lat walczyło o własny miesięcznik i dotychczas go się nie doczekało. Podjęto natomiast wydawanie pisma o nie ustalonej częstotliwości (kwartalnik?) — „Osnowy". Od pierwszego numeru wzięła ona wysoki kurs, niewiele odbiegający od optymalnych oczekiwań od takiego pisma. Niestety — jej wejściu na rynek stoją na przeszkodzie rozliczne trudności. Drukarnia nie wywiązuje się z terminów, w wyniku czego „Osnowa" ukazuje się raz na kilka miesięcy, a czasem raz na rok. Ukazuje się — ale komu i gdzie? W kiosku przy dworcu Kaliskim widziałem cały pożółkły od słońca stos, w kioskach śródmiejskich — wcale. W czytelniach i klubach z MPiK-iem na czele „Osnowy" nie ma. Żadne inne pismo o jej istnieniu nie wspomni, nie zwróci uwagi — co jest zresztą zjawiskiem typowym szczególnie dla naszego miasta. Może za pół wieku ciekawi szperacze trafią gdzieś na półkach bibliotecznych na stare numery naszego pisma i będą w nich szukać wiadomości o naszym czasie, naszych myślach, niepokojach, porażkach i sukcesach?

Mieliśmy jednak nadzieję, że w Nowym Roku zmieni się coś na lepsze. Że Łódź będzie mieć swój miesięcznik, tak jak Kraków, Rzeszów i Jelenia Góra. Że będzie to pismo takie jak „Osnowa", ale dostępne wszędzie i czytane z zainteresowaniem, na jakie zasługuje.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Spojrzenie znad szachownicy

Znów zażyli mnie z Becketta

Znów niestety zażyli mnie z Becketta i chcąc nie chcąc muszę się wtrącić jako świeżo, że się tak wyrażę, upieczony specjalista od tego francuskiego Irlandczyka. Nie po to nadstawiałem głowy próbując wyinterpretować „Czekając na Godota" — patrz „Odgłosy", numer świąteczny — iżby teraz przestraszyć się „Wyludniacza", mimo iż tego opowiadania akurat nie znam. No, może rzuciłem na nie jednym okiem, ale z całą pewnością nie doczytałem do końca, słowem znalazłem się w tej samej sytuacji co prześwietna i małoletnia publiczność wypełniająca widownię Teatru Wielkiego na spektaklu autorskim Ewy Wycichowskiej do muzyki Grzegorza Ciechowskiego i zespołu „Republika".

W każdym razie tu i tam — w opowiadaniu i na scenie — jest walec bądź cylinder, czyli wszystko zgadza się mniej więcej. Choć myślę, że raczej mniej, niż więcej, bo mnie akurat ten walec przypominał okrągłą klatkę.

2.

Oczywiście nie jest to żadna recenzja, nie zwykłem nie proszony wyręczać kolegów, zresztą nawet bym nie śmiał. Będąc zgryźliwym starcem — przyjąłem arbitralnie, że lata dziennikarstwa liczą się podwójnie i wypadła mi osiemdziesiątka z okładem — mogę co najwyżej pomarudzić o sensach, nigdy o rocku.

Otóż przy pomocy różnobarwnych chorągiewek marynarze potrafią przekazywać dość skomplikowane sygnały z okrętu na okręt, ów swoisty szyfr muszą znać jednak nadawca i odbiorca. Dla postronnego obserwatora będzie to widowisko o pewnych walorach estetycznych, wszelako gruntownie odarte ze znaczeń.

Z Beckettem podobnie. Można Becketta tańczyć — na Zachodzie jest to bodaj dość modne — kto nie zna oryginału wyrozumie wszakże tyle tylko co nasz obserwator podczas marynarskich ćwiczeń.

Dałoby się zapewne przeprowadzić dowód na tę okoliczność. Skoro na podstawie zachowanych fragmentów kościca naukowcy potrafią odtworzyć wygląd wymarłych przed tysiącleciami gadów, to również po obejrzeniu baletowej wersji „Wyludniacza" widz powinien umieć dociec, o co w tym tekście idzie. Spróbujmy więc — po dobroci, kusząc nagrodami, albo jakoś inaczej.

Nie tak dawno w Kinie Nocnym telewizja pokazywała film „Słodkie wyznania", w którym dwóch inspektorów francuskiej policji tak długo fizycznie i psychicznie maltretuje młodego przestępcę, aż ten przyznaje się, czyli pęka. Wylosujmy trzy osoby z publiczności — podpytując je przedtem chytrze, czy znają opowiadanie — zaprośmy francuskich inspektorów na gościnny występ i niech poddadzą delikwentów przesłuchaniu któregoś tam stopnia. Nie pęknie nikt, a jeżeli któryś z maltretowanych widzów przyzna się, że wie o co chodzi, znaczy to, że oszukiwał i Becketta czytał. Albo nawet, że sam nazywa się Beckett.

3.

Bardziej prawdopodobne, że po którymś tam kuksańcu usłyszymy taką opowieść.

Gdzieś tam, nie wiadomo gdzie, sfanatyzowana młodzież rockowa dokonała puczu. Przywdziała czarne mundury — nie kojarząc ich zresztą z faszyzmem, bo o faszyzmie współczesna młodzież wie niestety dość mało — a opornych zamknęła do klatek, by poddać ich reedukacji. I tak długo częstowała uwięzionych swoją muzyką, aż biedacy zaczęli popadać w wariację — przecież te rozkojarzone gesty, pozy, kroki, to nic innego, tylko narastający obłęd.

Obraz drugi przedstawia rockową sielankę. Młodzi tyrani vel tytani przyglądają się z wysokości rytmicznym pląsom swoich reedukowanych podopiecznych. Jednak to pozór tylko, nieszczęśliwcom nie starcza sił, rytm ich już nie niesie, jeden za drugim padają tedy — za przeproszeniem — na mordę.

I za karę — to obraz trzeci — znów zostają zamknięci do spotworniałych, cylindrycznych klatek. Jak to przed skonaniem bywa, powracają do nich wizje szczęśliwego rodzinnego życia (ktoś coś je, goła panienka nakłada sukienkę, ktoś wnosi sedes, ktoś wynosi coś przez okno), powraca słodka muzyka Albinioniego, ale na moment tylko. Potem jest już tylko totalna nieobecność czyli niebyt, no i dudniący w uszach rock.

4.

A teraz już serio.

Pani Ewo, śliczna, uwielbiana, złota, wszystko, czego Pani dotknie staje się tańcem, ożywa nawet martwa i najczęściej bezużyteczna maszyneria Teatru Wielkiego, nie wszystko jednak da się tańcem opowiedzieć. Nie da się na przykład zatańczyć „Uczty" Platona, choć może wydać się to dziwne, bo spreparowano ją ponoć w formie komiksu. Nie da się też, proszę mi wierzyć, wiernie odtańczyć Kierkegaarda, mimo iż „Bojaźń i drżenie" to bardzo piękny tytuł na teatralny afisz.

Jak mam Panią przekonać, że miast u Becketta lepiej szukać inspiracji u Borgesa — a to też wielki pisarz — zaś miast w stronę filozofii lepiej zwracać się w stronę magii, mrocznych wierzeń i mitów, bo w swoich prażródłach taniec z magią, a nie z filozofią był przecież związany?! A jeżeli chce Pani mówić do młodzieży przede wszystkim, radziłbym wejrzeć w krainę science fiction, czy raczej podgatunku nazywanego fantasy, byle pióra prawdziwie dobrych autorów.

Wierzę, więcej niż wierzę, wiem, że taki balet — z magii i posępnych rytuałów wyrosły — zrobiłaby Pani wręcz genialnie, o jaki mur mam jednak bić uparta głową, iżby zechciała Pani chcieć?!

JERZY P.

4 Sport

Papierowy tygrys

Nie wszyscy być może pamiętają, że najlepsza obrona jest atak. Kiedy ktoś ci wytyka błędy i niedociągnięcia, to ty go zaraz wal po łbie zła atmosfera. Metodę tę na łamach „Sportowca", w 52 numerze z ubiegłego roku z powodzeniem zastosował w wywiadzie Jerzego Chromika, piłkarz RTS Widzew — Dariusz Dziekanowski.

„Wsiadam wtedy do samochodu — powiada Dariusz Dziekanowski (gdy mu atmosfera w Łodzi nie odpowiada — B.M.) — i wyjeżdżam do stolicy na dyskotekę. Po minięciu tablicy z napisem „Warszawa" otwieram szybę i powiew innego powietrza wpływa na mnie kojąco. Za dwie godziny czuję się jednak znów łodzianinem".

No, cóż! Chciałaby dusza do raju, ale cyrografy ją w Łodzi trzymają. Kontrakt się podpisało i warunków umowy trzeba dotrzymać. W Łodzi jednak Dariuszowi Dziekanowskiemu nie widzewska anilana źle pachnie i nie dymy z fabrycznych kominów przeszkadzają. Spojrzenie ma ostre i dobrze widzi zło tam, gdzie ono się tylko zakorzeni. Dali się nawet na to nabrać dwaj sportowi dziennikarze, jeden z „Głosu Robotniczego", a drugi z „Expressu Ilustrowanego" obaj doświadczeni, wytrawni, a posadzili przecież widzewskiego piłkarza i stołeczny tygodnik niemal o spisek. I mają pretensje do Dariusza Dziekanowskiego że w ogóle udzielił wywiadu. Jakby to było zabronione.

Cóż takiego powiedział napastnik Widzewa? Dużo powiedział.

O kompleksie stolicy:

„Nie bez znaczenia była rubryka w dowodzie osobistym — miejsce urodzenia. W Łodzi cierpia na kompleks stolicy."

O trenerze reprezentacji — Antonim Piechniczku:

„Piechniczek nigdy na mnie nie stawiał. Nie jestem w jego typie. Podczas treningów i odpraw ośmieszał mnie przed drużyną. Były docinki."

O byłym trenerze RTS Widzew — Władysławie Żmudzie:

„Nie mam Żmudzie nic do zawdzięczenia. Inni owszem. Mieli pewne miejsce w zespole, bo potrafili wykorzystać fakt, że Żmuda bał się własnego cienia."

O drużynie RTS Widzew:

„W klubie żyją starym Widzewem. Z tamtego zespołu pozostał jedynie Smolarek i wspomnienia. Odeszli ludzie z charakterem..

Za dużo jest rzemieślników. Podstawa do wyjścia na polsko był pokaz kulturystyczny. Ci najbardziej umięśnieni i spieci, na których trzeszczą koszulki i spodenki wychodzili, bo dawali gwarancję zwycięskiej walki wręcz. Zapomniano, że można pokonać przeciwnika sposobem, fortelem. Rozum z pomysłem zostawały na ławce rezerwowych..

Klasa wielkich drużyn polega na tym, że każdego stać na ustalenie wyniku meczu. Obok mnie gra jeszcze dziewięciu zawodników w polu, którzy uważają się za gwiazdy Widzewa tylko dlatego, że kiedyś byli siermiękami Bońka. Widzew bez Smolarka nie różni się od Radomiaka."

Wreszcie o sobie:

„Niewielu przypadam do gustu. Nie szukam okazji do integracji w alkoholowych libacjach. Mam trudny charakter. Coś z autokraty, a nawet z despoty. Zjawiska i osoby mierzę własną miarą. Nie jestem ani flegmatykiem, ani sangwinikiem. Dziękuję naturze za cechy właściwe cholerykowi. Większości to nie odpowiada."

„Ale kwiaty wiedną wśród chwastów" — to też o sobie. Dariusz Dziekanowski przyznaje, że nie gra najlepiej, że nie wszystko mu się udaje. Główne zło jednak widzi wokół siebie. I trzeba przyznać, że robi to bezkompromisowo, odważnie, pryncypialnie. Nie boi się autorytetów, nie boi się trenerów, nie boi się działaczy, nawet kolegów się nie boi. A ci przecież mogą po prostu nie podawać piłki na boisku i będzie głupio. Ale czy Dariusza Dziekanowskiego wypada karać za odwagę?

Przeczytałam ten wywiad bardzo uważnie i zadumałam się. Może młody piłkarz Widzewa tu i ówdzie przesadza, ale sporo racji ma. I Widzew dziś inny, i reprezentacja w opałach. Trwa trenerska karuzela. Może to i dobrze. Po wynikach sądzić ich będziemy. No, a Dariusza Dziekanowskiego? Gdy tak czytałam jego wypowiedzi, stanął mi jak żywy przed oczyma. I wtedy pomyślałam sobie: — na papierze odważny jest jak tygrys, na boisku delikatny jak dziewica.

Swego czasu, w rozmowie publikowanej w „Odgłosach", zapytałam Ludwika Sobolewskiego, czy Widzew nie popełnił błędu „kupując" Dariusza Dziekanowskiego. Prezes RTS Widzew bronił młodego piłkarza jak tylko mógł. Przy następnej rozmowie, jeśli mi się uda zadam to pytanie ponownie. Przecież kibice mają do Dziekanowskiego pretensje nie od dziś. O te nie strzelone bramki które śnią się po nocach nie tylko Antoniemu Piechniczkowi. I o zbyt delikatną grę na boisku. Gdybym miała coś doradzić napastnikowi Widzewa, to powiedziałabym tak: — mniej dziewicy a więcej tygrysa na boisku! Wypowiadaniem nawet najsłuszniejszych opinii meczów się nie wygrywa. Piłkarza ocenia się nie za to, co i jak mówi ale jak gra na boisku. I jedynie za to!

BOGDA MADEJ

RAPIER NAPOLEONA (10)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

— A pani, to niby co robiła wczoraj w hotelu z tym Meksykaninem? — odciął się reżyser. — Bez urazy, ale mam wrażenie, że był trochę od pani młodszy.

Montażystke zatkało na dobrych kilka sekund. Wreszcie przełknęła ślinę i powiedziała:

— Moje życie prywatne jest moją prywatną sprawą.

— To samo mogę powiedzieć o swoim życiu — rzekł Napoleon.

— Ja w każdym razie nie myślę dłużej z panem pracować — oświadczyła z godnością poczciwa niewiasta i opuściła salę zebrań, pociągając za sobą pięć czy sześć osób, głównie kobiet, które już dawno temu, nie z własnej woli wszelako, pożegnały się z rozkoszami miłości.

Ci, co zostali, popadli w milczenie. Dyskusja nad filmem przebiegała apatycznie. Pytania reżysera kwitowane były półsłówkami. Niektórzy wyraźnie unikali jego wzroku, a inni patrzyli nań z otwartą niechęcią.

W dwa dni później nastąpił krach. Zarząd wytwórni postanowił zawiesić umowę z Napoleonem i odsunąć go tymczasem od wszelkich zajęć na planie. Zamknięto mu również biuro, w którym przyjmował interesantów.

Był to cios brutalny, ale jeszcze do zniesienia. Prawdziwy dramat nastąpił w momencie, kiedy szefowie wytwórni cofnęli Polakowi wypłatę kolejnej zaliczki oraz oświadczyli mu wprost, że odtąd nie będą już pokrywać jego rachunków hotelowych oraz wszelkich innych wydatków związanych z pracą nad filmem.

Zarabiał dużo, ale nie miał żadnych oszczędności, wychodził bowiem z założenia że pieniądze są po to, aby je wydawać. Wydawał je głównie na przyjemności. Lubił zahulać, przywykł do życia na szeroką skalę. Taki facet jak on, nie mógł sobie pozwolić na rezydowanie w byle jakim hotelu a już na pewno nie w skromnym mieszkaniu wynajętym od samotnej wdowy lub rencistki. Marek Hłasko wegetował tu niby przed laty w takich warunkach, ale Marek Hłasko był pisarzem, tym czego potrzebował do szczęścia, było biurko i nic więcej, w świecie filmu natomiast, przede wszystkim liczy się blask — obiady w drogich i uczęszczanych restauracjach, lśniący niklem samochód oraz towarzystwo pięknych pań które momentalnie wyczuwają skrachowanych facetów i odwracają się do nich plecami.

— Wiesz kotku, dzisiaj jestem zajęta.

— A jutro?

— Zobaczymy. Zadzwoń wieczorem, to ci powiem. Bye — bye!

Kłopot polegał zresztą na tym że w cytowanym wypadku Napoleon nie potrzebował pieniędzy na zbytki, lecz na opłacenie adwokata. Pan mecenas jeden z najlepszych i najdroższych w Ameryce, oszacował swoje honorarium na sto tysięcy dolarów. Taką sumę widział ostatnio reżyser na filmie gangsterskim w kinie. Ale była ona mimo wszystko do zdobycia. Grono europejskich producentów dowiedziawszy się o niepowodzeniach Polaka w wytwórniach hollywoodskich, momentalnie zaproponowało mu intratne kontrakty na starym kontynencie. Wszelako aby je podpisać, Napoleon musiał złożyć krótką, choćby parodniową wizytę we Francji i Włoszech, a może nawet w Niemczech Zachodnich, na co, rzecz jasna, potrzebna była zgoda sędziego.

Napoleon molestował adwokata:

— Niech mi pan to załatwi.

— Spróbuję.

— Myśli pan, że mnie puszczą?

— Chyba tak.

Prawnik widział szanse. Trzeba tylko udowodnić, że nie chodzi tu o wyjazd turystyczny, lecz o zdobycie środków na obronę i, być może, na zapłacenie sądowi wysokiej grzywny pieniężnej. Jeśli chodzi o pieniądze, Amerykanie zawsze starają się pomóc człowiekowi w słusznym przeświadczeniu, że i oni mogą z tego coś mieć. Sędzia i prokurator nie stanowią pod tym względem wyjątku. Z pewnością wolą skazać zamożnego faceta, niż biedaka. Puszczą go, puszczą. Są gwarancje, że wróci Zbyt wiele wiąże go ze Stanami, zbyt promienne ma tu perspektywy aby czmychnąć jak pierwszy lepszy złoczyńca. Liczy ponadto na łagodny wyrok Jeśli pozwolą mu wyjechać utwierdzą go w tym złudnym przekonaniu. Niech jedzie. Prasa wprawdzie podniesie wrzask ale...

— Jest to dla nas bardzo istotne, aby oskarżony załatwił w Paryżu swoje sprawy finansowe — oświadczył sędzia zdumionym reporterom 19 kwietnia 1977 roku w Santa Monica.

Reporterzy zareagowali gwałtownie:

— Skandal!

— Każdy inny przestępca siedziałby teraz w więzieniu i tam oczekiwał na proces a on, tylko dlatego, że jest sławnym człowiekiem buja na wolności i w dodatku wolno mu podróżować!

— Ile pan za to wziął, panie sędzio?

— Skąd ma pan pewność, że on wróci?

Sędzia uśmiechnął się pobłażliwie.

— Nie bójcie się, wróci — powiedział. — Przysiągł mi, że jedzie tylko na tydzień i jedenastego maja będzie na procesie. Poręczył także za niego adwokat.

— A co na to prokurator?

— Nie stawia sprzeciwu.

— Wierzyć się nie chce! — wrzasnęła jakaś dziennikarka. — Nie zjecie panowie przypadkiem w trójkę pożegnalnej kolacji?

Co do Napoleona, złożył przed wyjazdem wobec kalifornijskiej gazety „Herald Examiner" lakoniczne oświadczenie:

„Nie uciekłbym nigdy z kraju. Mam wielkie zaufanie do sądownictwa. Wiem, że jestem niewinny i że moje kłopoty wkrótce się skończą".

Cannes

Aczkolwiek tok naszego opowiadania uwłacza wszelkim prawom chronologii, Robert Walden widziałby ewentualnie za celowe powrócić do przygód pięknej Korsyki absolwentki Sorbony, która w maju 1979 r. przyjechała na festiwal filmowy do Cannes aby wziąć odwet na swoim wiarołomnym kochanku, perkusiście jazzowym.

Odwet był srogi. Kochała się kolejno z szoferem i sekretarzem wybitnego reżysera, a także z niejakim Julesem Torino, który tego reżysera udawał. Kiedy po burzliwej konferencji prasowej z Napoleonem Robert Walden opuszczał wysokie progi hotelu Carlton, aby ruszyć w drogę do Marsylii, zobaczył Korsykę w towarzystwie znanego amerykańskiego aktora, blondyna który dojeżdżał powoli do czterdziestki, ale twarz miał, proszę zauważyć, niemowlęcą.

Młodzieniec ów, odkąd zdołał sięgnąć pamięcią był raczej z siebie zadowolony, lecz szczęśliwy poczuł się dopiero u boku paryżanki Wspaniała dziewczyna. Olśniewająca. Nie zbywało mu na tupecie, a przecież, podobnie jak wszystkim jego poprzednikom głos ugrzązł mu w krtani, kiedy przystąpił do właściwej akcji:

— Więc pójdziesz ze mną na bankiet?

— Tak.

— Ale... widzisz... powinienem włożyć na siebie strój wieczorowy.

— No to włóż go, na co czekasz? — powiedziała Korsyka udając, że nie wie do czego zmierza czterdziestoletnie, amerykańskie bobo.

— Musiałbym w tym celu wejść na parę minut do pokoju.

— I chciałbyś na pewno, żebym zawiązała ci muszkę?

— Yes.

— Dobra. Ale odwrócimy kolejność. Teraz zawiążesz ją sam, a ja zdejmę ci ją po bankiecie wraz z koszulą i spodniami. Zgoda?

— Zgoda — wysapało zachwycone bobo. — Ale gdzie na mnie poczekasz?

— Przed hotelem — powiedziała Korsyka.

Minęła portiera który pilnował drzwi ścięła podjazd dla samochodów i wsiadła do swojego czerwonego forda. Aktor wjechawszy tymczasem windą na górę, patrzył na to z przerażeniem przez frontowe okna apartamentu.

Dziewczyna nie zapalała jednak silnika. Podeszło do niej natomiast czterech młodych, coś jakby trochę zbyt śniadych facetów z którymi zaczęła konferować przez odkręconą szybę.

Aktor uspokoił się i sięgnął do szafy po smoking, nim wszelako wbił go na siebie, znowu wyjrzał przez okno i znowu zadygotał z nerwów gdyż na hotelowym parkingu pojawił się nagle kremowy mercedes, a tuż za nim kremowy volkswagen. Z mercedesa wysiadł przy pomocy szofera światowej sławy reżyser filmowy, z volkswagena zaś jego osobisty sekretarz, niejaki Matthew, Anglik u boku którego aktor widział już kiedyś Korsykę.

Dziewczyna, podobnie zresztą jak czterech śniadych facetów, przyglądała się Anglikowi.

Stracę ją! — pomyślał zrozpaczony Amerykanin.

Cisnął smoking na łóżko, trzasnął drzwiami i nie czekając na windę zbiegł po trzy stopnie ze schodów.

Na dworze z miejsca odzyskał dobre samopoczucie. Konkurencja zawieruszyła się gdzieś. Nie było Anglika, nie było reżysera, nie było śniadolicych facetów. Oparta o maskę samochodu dziewczyna czekała na niego z uśmiechem:

— Cóż to, nie przebrałeś się, kochanie?

— Nie muszę. — machnął ręką. — W końcu i ty nie masz balowej kreacji, więc lepiej będzie, jeśli obydwoje wystąpimy sportowo.

— Ach, tak?

Absolwentka Sorbony uniosła wypielęgnowaną troskliwie brew i znakomity aktor poczuł się nagle jak gówniarz. Cholera! Kobiety niby są słabsze, niby upośledzone, niby walczą o emancypację, ale zjawi się taka Korsyka i cały świat pada przed nią na pysk. Haniebna niesprawiedliwość. On, aby zostać tym, kim jest, musiał przejść przez siedem kręgów piekła upokorzeń: czołgać się pod drzwiami możnych, uśmiechać do znienawidzonych, całować po łapach stare i zdegenerowane wariatki ktorym chętnie dałby w morde. Musiał umizgać się do kamery i wdzięczyć do mikrofonu, nade wszystko zaś schlebiać dziennikarzom:

— Serwus, stary!

— Serwus!

— Udzielisz mi wywiadu?

— Tobie? No wiesz!? Jestem zaszczycony! Chodź! Zjemy obiad kropniemy po szklance. Bez urazy, Bill, ale chyba nie masz pieniędzy? Weź setkę, zwrócisz mi przy okazji, chciałbym jednak żebyś w recenzji użył w odniesieniu do mnie przymiotnika „brawurowy".

— Hmm.

— Przyznasz chyba że zagrałem nieźle.

— Widziałem cię w lepszych odsłonach.

— W każdym razie zależy mi na tym przymiotniku. Jest dla mnie szczęśliwy. Robi wrażenie na producentach i publiczności. To jak będzie, Bill? Zgoda?

BRAWUROWY DEBIUT MŁODEGO AKTORA

Tak napisał o nim dwadzieścia lat temu potężny „New York Times". I od tej pory płacił reporterom za powtórzenie tego słowa. Płacił, lecz mógłby nie płacić, bo naprawdę był brawurowy Starczyło, żeby pokazał na ekranie swoją pulchną, amerykańską twarz, żeby wykonał błahy gest i powiedział od niechcenia kilka słów zająkując się akurat tam, gdzie zająknąć się trzeba, i najgorszy scenariusz nabierał blasków.

Świat wierzył mu i kochał go za tę naiwność, za tę płynną i niewymuszoną brawurę. Aż tu nagle zjawia się dziewczyna, mówi: — Ach, tak? — unosi do góry wypielęgnowaną brew i on, wielki Robert, traci głowę.

W sali bankietowej zaczął cierpieć katusze zazdrości. Nie miał niby po temu żadnych racji i powodów, ale jakiś głos wewnętrzny ostrzegał go, że będą kłopoty. Witał się z kimś, coś do kogoś mówił, komuś tam przedstawił dziewczynę, wyprodukował kilka mniej więcej udanych uśmiechów, w sumie jednak był nieprzytomny. Twarze rozmazywały mu się w oczach, szmer rozmów biegł do niego z daleka. Pęcherz apelował już od dobrej godziny, aby poszukać ustępu, a przecież dalej ściskał ramię dziewczyny przekonany że wystarczy odwrócić głowę i rozpłynie się w powietrzu.

Jest ten Aglik! Jest ten cały jego szef, emigrant zza żelaznej kurtyny! Jest wreszcie ten mały polski zawadiaka ze swoją nieletnią aktorką! Szakale! Wszyscy trzej nie spuszczają z Korsyki oka.

Sekretarz Matthew i jego pracodawca, światowej sławy reżyser filmowy, istotnie przyglądali się Korsyce. Anglik robił to dyskretnie i ze strachem, reżyser otwarcie. Dziewczyna odbiła mu w pewnej chwili spojrzenie i gość zza żelaznej kurtyny, pomijając fakt, iż zalała go nagle fala żaru, zdumiał się głęboko, bowiem w pięknych, orzechowych oczach nieznajomej dostrzegł jakiś skierowany do siebie wyrzut, *jakiś szczery i niemaskowany żal.*

— Kim jest ta pani? — zapytał sekretarza.

— Która?

Poruszył głową wskazując Anglikowi Korsyke.

Ten uciekł ze wzrokiem.

— Wspominałem panu o niej wczoraj, szefie — bąknął i uśmiechnął się głupawo.

— A co wspominałeś?

— Ano, że wlazła mi do łóżka i chciała, żebym za to poznał ją z panem.

Reżyser poczerwieniał z gniewu. Zmrużył oczy i zacisnął rękę w pięść. Miał ochotę kropnąć w tę bezczelną, lisią mordę.

— Zgadza się, wspominałeś — syknął. — Ale wspominałeś o jakimś nędznym kurwiszonie, który próbuje wkręcić się do filmu. Zapomniałeś dodać, że dziewczyna jest piękna, wykształcona i prawdopodobnie bogata. Co się z tobą dzieje, Matthew?

I pomyślał: zwolnię drania. Wyrzucę go na zbity pysk, choćby za to, że mu brak inteligencji. Albo i nie brak, może ma jej za dużo? Może prowadzi własną grę?

Przypomniał sobie arystokratkę z Londynu. Korsyka była mimo wszystko lepsza. Cudo. Istny klejnot! Łypnął na Anglika. Tak czy owak, trzeba go odprawić. Dotąd sprawował się niby bez zarzutu, ale...

Reżyser zawiesił dylemat: odprawić czy zatrzymać Anglika gdyż ujrzał nagle dla siebie szansę. Amerykański aktor zniknął z pola widzenia i Korsyka została bez opieki.

Ruszył ku niej ściągnąwszy ze stołu dwa kieliszki szampana. Nim podszedł jednak do osamotnionej dziewczyny, wyprzedził go Napoleon ze swoją kilkunastoletnią gwiazdeczką. Nie lubił Polaka, więc zawrócił i chcąc nie chcąc wręczył drugi kieliszek sekretarzowi.

Rozmowa z Napoleonem sprawiała Korsyce przyjemność. Facet był miły, dowcipny i szarmancki. Nie puszył się, nie nadymał, nie prawił jej banalnych komplementów i nie połykał ze zdenerwowania śliny, co zdarzało się zazwyczaj wszystkim niecierpliwym zalotnikom. Nie brakowało mu wdzięku. Miał w sobie dużo owej wspaniałej niewyuczonej swobody, która tak bardzo przemawia do kobiet.

Pomyślała, że byłby wymarzonym partnerem na przeciąg kilku tygodni. Kto wie: może i dłużej? Ale wcześniej czy później rzuciłby ją bez wyrzutów sumienia, tak mniej więcej, jak rzucił ją Patrick, perkusista jazzowy.

Ciekawe. W gronie paryskich dziennikarzy i filmowców nieźle już rozochoconych i trochę za głośnych, dostrzegła znajomych Patricka. Mogłaby przysiąc, że patrzą na nią i że robią głupie uwagi. Samo to, że zamieniła z Polakiem parę słów stawiało ją w rzędzie jego potencjalnych kochanek.

Niech tam! Piękne kobiety nie muszą dbać o opinię. Jeśli nawet Patrick dowie się kiedyś z fałszywych źródeł że była przez jedną, szaloną noc kochanką Polaka, wyjdzie mu to tylko na zdrowie.

Szans w każdym razie na to nie miała. Raz, że aktoreczka pilnie strzegła swego mężczyzny, dwa, że Robert biegł już ku niej przez salę zaniepokojony i blady z przejęcia.

Bała się awantury, ale reżyser serdecznie uścisnął rękę aktora i przedstawił go swojej młodej pani ta zaś z niezwykłą przytomnością umysłu oświadczyła Amerykaninowi że uwielbia jego grę i tak dalej.

Aktor głównie ze względu na Korsyke, wysłuchał tego z satysfakcją wkrótce jednak zaczął napierać do wyjścia. Nie wierzył reżyserowi. Czuł, że Napoleon ma nad nim przewagę. Marzył o chwili, kiedy zostanie z dziewczyną sam na sam w hotelowym pokoju. To, że przed dwoma miesiącami wziął w San Diego ślub z pewną uczciwą, amerykańską kobietą, w którymś tam piątym czy szóstym miesiącu ciąży było teraz bez znaczenia. Zakochał się i już. Trudno! Kto wie, czy nie przedłuży swojego pobytu w Europie. Być może namówi Korsykę, aby pojechała z nim do Stanów.

Dopił szampana i zapytał:

— Idziemy?

Korsyka rzuciła Napoleonowi znaczące spojrzenie i skinęła głową.

Potem, w windzie, powiedziała:

— Mogłabym w zasadzie nie dotrzymać słowa.

— Czemu? — zdziwił się Amerykanin.

— Nie masz muszki, którą przyrzekłam ci zdjąć.

— Fakt. Ale mam koszule i spodnie — powiedział mężczyzna.

C.D.N.

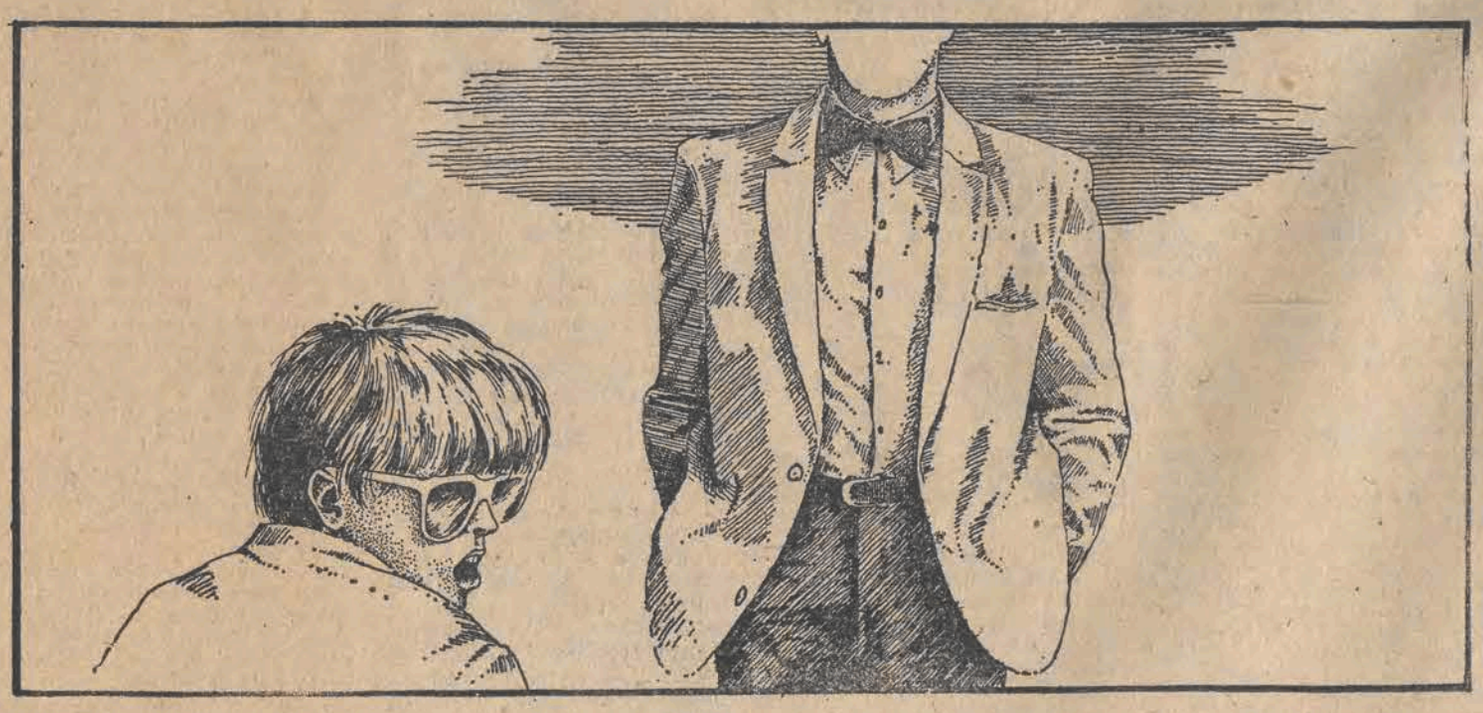

Rys. Janusz Szymański-Glanc